

Seanan McGuire

*Każde serce
to wrota

patyki i kości*

KAŻDE SERCE TO WROTA

PATYKI I KOŚCI

Seanan McGuire

Przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Spis treści

Każde serce to wrota

Część I. Złote popołudnia

Była sobie dziewczynka

1. Powrót do domu, opuszczenie domu
2. Piękni chłopcy i olśniewające dziewczyny
3. Ciągnie swój do swego

Część II. Lustrzanymi oczami

4. Błyskawica całująca niebo
5. Ocaleli, na razie
6. Ciała, które pogrzebaliśmy
7. Kakao
8. Jej szkielet spowity w tęczę
9. Ptaki Avalonu
10. Bądź nieruchomy jak kamień, a może przeżyjesz
11. Możesz nigdy nie wrócić do domu
12. I wszyscy przeżyli

Patyki i kości

Część I. Jack i Jill mieszkają na wzgórzu

1. Niebezpieczny powab cudzych dzieci
2. Praktycznie idealny w dosłownie niczym
3. Tak szybko dorastają

Część II. Jill i Jack idą w mrok

4. Na targ, na targ, kupić tłustą kurę
5. Role, które sami wybieramy
6. Pierwsza noc bezpieczeństwa
7. Żeby przynieść wiadro wody

Część III. Jack i Jill do zabicia mają czas

8. Niebo zadrzy, kamienie będą krwawić
9. Ktoś przychodzi na obiad

Część IV. Jill i Jack nie wracają

10. A z jej grobu wyrosła czerwona, czerwona róża...
11. A z jego grobu wrzosiec...
12. Wszystko, czego nigdy nie chcieliście
13. Tysiąc mil trudności między tym miejscem a domem

Tytuł oryginału: *Every Heart a Doorway. Down Among the Sticks and Bones*

Copyright © 2016, 2017 by Seanan McGuire

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka, Elwira Wyszyńska

Ilustracja na okładce: Dominik Broniek

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-75-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

KAŻDE SERCE TO WROTA

Złym

Część I

Złote popołudnia

Była sobie dziewczynka

Dziewczynki nigdy nie uczestniczyły w rozmowach kwalifikacyjnych. Tylko rodzice, opiekunowie, zdezorientowane rodzeństwo, które bardzo chciało pomóc, ale nie wiedziało jak. Siedzenie i słuchanie, jak ludzie, których one kochają najbardziej na świecie – przynajmniej na tym świecie – deprecjonują ich wspomnienia jako iluzje, doświadczenia jako fantazje, ich życie jako niewykrywalną chorobę, byłoby dla przyszłych uczennic zbyt trudne.

Co więcej, podkopałoby to ich zaufanie do szkoły, gdyby pierwszy raz zobaczyły Eleanor odzianą w dostojne szarości i fiolety, z włosami grzecznie ułożonymi jak u powściągliwej starszej ciotki, która istnieje tylko w dziecięcych bajkach. Prawdziwa Eleanor wcale taka nie była. Słuchanie tego, co mówiła, tylko pogorszyłoby sprawę, kiedy z wielką powagą i szczerością zapewniała, że jej przybytek zdoła naprawić to, co poszło źle w umysłach małych zagubionych owieczek. Ona mogła przyjąć te zepsute dzieci i je uleczyć.

Oczywiście kłamała, ale jej potencjalne uczennice w żadnym razie nie mogły się o tym dowiedzieć. Dlatego domagała się spotkań z ich prawnymi opiekunami na osobności, żeby móc wciskać im kit ze zręcznością urodzonego oszusta. Gdyby ci opiekunowie kiedyś się spotkali, żeby porównać notatki, stwierdziliby, że jej scenariusz jest sprawdzony, doprowadzony do perfekcji i naostrzony niczym broń, którą w rzeczywistości był.

– To rzadkie, ale wcale nie wyjątkowe zaburzenie, które ujawnia się w młodych dziewczętach przekraczających granicę kobiecości – mówiła, przez cały czas utrzymując kontakt wzrokowy ze zdesperowanymi, przytłoczonymi opiekunami kolejnej zagubionej dziewczyny.

Przy rzadkich okazjach, kiedy musiała rozmawiać z rodzicami chłopców, zmieniała swoją przemowę, ale tylko w takim stopniu, jakiego wymagała sytuacja. Opracowywała tę metodę od dawna i wiedziała, jak grać na obawach i pragnieniach dorosłych, którzy chcieli tego, co najlepsze dla swoich podopiecznych, podobnie jak Eleanor. Tylko że oni mieli zupełnie inne pojęcie o tym, co oznacza „najlepsze”.

Do rodziców mówiła:

– To tylko złudzenia, a trochę czasu spędzonego poza domem może z nich wyleczyć.

Do dziadków mówiła:

– To nie państwa wina, a ja mogę być rozwiązaniem.

Nie wszystkie rodziny zgadzały się, że szkoła z internatem jest najlepszym rozwiązaniem. Zwykle jeden na trzech potencjalnych uczniów wymykał się jej z rąk, a ona im współczuła, że ich życie będzie o wiele trudniejsze, choć mogliby zostać uratowani. Cieszyła się jednak z tych, których powierzano jej opiece. Przynajmniej dopóki u niej mieszkali, znajdowali się w przyjaznym otoczeniu. Nawet gdyby nigdy nie udało się im wrócić do domu, mieliby kogoś, kto ich rozumie, i towarzystwo rówieśników, które było nieocenionym skarbem.

Eleanor West spędzała dni na dawaniu im tego, czego sama nigdy nie miała, i żywiła nadzieję, że kiedyś to wystarczy, żeby zasłużyć na powrót do miejsca, do którego należała.

Powrót do domu, opuszczenie domu

Nawyk opowiadania, tworzenia czegoś cudownego z pospolitej rzeczy trudno było przełamać. Snucie opowieści przychodziło naturalnie po czasie spędzonym w towarzystwie gadających strachów na wróble albo znikających kotów; był to w pewnym sensie sposób, żeby zachować zdrowe zmysły i połączenie z cienką nicią ciągłości biegnącą przez wszystkie istnienia, choćby najdziwniejsze. Opowiedzieć o niemożliwych rzeczach, zmienić je w historię i wtedy można je kontrolować. Zatem:

Rezydencja stała pośrodku czegoś, co można by uznać za pole, gdyby nie to, że otaczało ono prywatny dom. Trawa była idealnie zielona, drzewa idealnie przystrzyżone, ogród olśniewał kolorami, które normalnie istniały tylko w tęczy albo w pudełku z zabawkami. Cienka czarna wstęga podjazdu wiła się od odległej bramy, tworzyła pętlę przed samym budynkiem i kończyła elegancko u stóp ganku. Na miejscu postojowym zatrzymał się jeden samochód, krzykliwie żółty i trochę zdezelowany na tle tej wymuskaney scenerii. Trzasnęły tylne drzwi od strony pasażera i gruchot odjechał, zostawiając na podjeździe nastoletnią dziewczynę.

Dziewczyna, wysoka i smukła, nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat. Jej oczy i usta wydawały się jeszcze nie do końca uformowane, jakby praca nad nimi nadal trwała. Była ubrana na czarno: czarne dżinsy, czarne botki z małymi czarnymi guzikami maszerującymi jak żołnierze od palców do łydki, i na biało: luźny podkoszulek, bransoletki ze sztucznych pereł na nadgarstkach. Kucyk przewiązała wstążką koloru pestek granatu. Włosy miała koloru kości z pasmami czerni, jakby olej wylał się na marmurową posadzkę, oczy jasne jak lód. Mrużyła je w blasku dnia. Najwyraźniej minęło trochę czasu, odkąd widziała słońce. Jej mała walizka na kółkach była jasnoróżowa, ozdobiona stokrotkami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie kupiła jej sobie sama.

Dziewczyna uniosła rękę, żeby osłonić oczy, i spojrzała na rezydencję. Zatrzymała wzrok na szyldzie przybitym do okapu ganku. Dom eleanor west dla

zbląkanych dzieci, głosiły duże litery. Niżej, mniejszymi literami, było napisane: „Żadnych domokrażców, żadnych gości, żadnych kwest”.

Dziewczyna zamrugła, opuściła rękę i powoli ruszyła w stronę schodów.

Na trzecim piętrze rezydencji Eleanor West puściła zasłonę i odwróciła się do drzwi. Właścicielka szkoły wyglądała na dobrze się trzymającą kobietę po sześćdziesiątce, choć tak naprawdę zbliżała się do setki; podróże po krainach, które kiedyś odwiedzała, tak przestawiły wewnętrzny zegar, że czas miał trudności z wywarciem właściwego wpływu na jej ciało. W niektóre dni Eleanor była wdzięczna za swoją długowieczność, bo dzięki niej mogła pomóc większej liczbie dzieci, niż zdołałaby, gdyby dawno temu nie otworzyła pewnych drzwi, gdyby nie postanowiła zboczyć z właściwej ścieżki. Kiedy indziej zastanawiała się, czy ten świat w ogóle dostrzegłby jej istnienie – małej krnąbrnej Ely West jakimś cudem żywej po tych wszystkich latach – i co wtedy by się z nią stało.

Na razie jednak miała silne plecy, a oczy bystre, jak w dniu, kiedy jako siedmioletnia dziewczynka wypatrzyła szczelinę między korzeniami drzewa rosnącego w posiadłości ojca. Gdyby jej włosy posiwiały, a skóra zrobiła się wiotka od zmarszczek i wspomnień... cóż, to w ogóle nie miało znaczenia. Jej oczy nadal wydawały się niedokończone. Ona była opowieścią, a nie epilogiem. Gdyby postanowiła opowiedzieć swoją, idąc teraz po schodach na spotkanie nowo przybyłej, nikogo by nie skrzywdziła. Bądź co bądź, opowiadanie to nawyk trudny do zwalczania.

Czasami ono jest wszystkim.

* * *

Nancy stała jak wrośnięta pośrodku holu i rozglądała się, ściskając rączkę walizki. Próbowwała rozeznąć się w otoczeniu. Nie miała pewności, czego właściwie spodziewała się po „szkole specjalnej”, do której wysłali ją rodzice, ale z pewnością nie tego – eleganckiej wiejskiej rezydencji. Ściany wyłożone tapetą w staromodny wzór z róż i pnączy klematisu, podłoga z wiśni, w skąpo umeblowanym holu wejściowym same antyki z solidnego, wypolerowanego drewna z mosiężnymi okuciami pasującymi do krętej balustrady schodów. Kiedy Nancy spojrzała w górę, starając się poruszać tylko oczami, bez podnoszenia brody, zobaczyła wyszukany żyrandol w kształcie rozwiniętego kwiatu.

– Został zrobiony przez jednego z naszych wychowanków.

Nancy oderwała wzrok od żyrandola i skierowała go na schody.

Schodząca po nich kobieta była chuda jak wysuszona staruszka, ale plecy miała proste, a ręka spoczywająca na balustradzie służyła tylko do kierowania,

nie do podparcia. Włosy białe jak u Nancy, ale bez pasemek buntowniczej czerni, tylko z trwałą ondulacją, przypominały dmuchawiec. Kobieta wyglądałaby dostojnie, gdyby nie jaskrawopomarańczowe spodnie zestawione z ręcznie dzierganym tęczowym swetrem i naszyjnikiem z półszlachetnych kamieni w dwunastu gryzących się ze sobą kolorach. Nancy poczuła, że jej oczy rozszerzają się mimo woli, i znenawidziła się za tę reakcję. Z dnia na dzień traciła opanowanie. Wkrótce będzie tak płochliwa i niestabilna jak inne istoty, a wtedy nigdy nie znajdzie drogi powrotnej do domu.

– Dosłownie cały jest ze szkła, nie licząc tych fragmentów, które takie nie są – ciągnęła kobieta, nie zważając na osłupiałe spojrzenie nowej uczennicy. – Nie jestem pewna, jak się robi takie rzeczy. Chyba ze stopionego piasku. Ale mam swój wkład w te duże pryzmaty w kształcie łez pośrodku. Wszystkie dwanaście to moje dzieło. Jestem z nich dumna. – Kobieta umilkła, najwyraźniej czekając na jakąś reakcję.

Nancy przełknęła ślinę. Ostatnimi czasy gardło miała tak suche, że nic nie było w stanie usunąć z niego pyłu.

– Skoro pani nie wie, jak robi się szkło, to jak pani zrobiła pryzmaty? – spytała.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Oczywiście ze swoich łez. Zawsze należy zakładać, że najprostsza odpowiedź jest tą prawdziwą, bo tak bywa w większości przypadków. Jestem Eleanor West. Witaj w moim domu. Ty musisz być Nancy.

– Tak – odpowiedziała wolno dziewczyna. – Skąd pani...?

– Cóż, jesteś jedyną uczennicą, której się dzisiaj spodziewaliśmy. Nie jest was tyle, ile bywało kiedyś. Albo coś się dzieje z drzwiami, albo stajecie się coraz lepsi w tym, żeby tu nie wracać. A teraz bądź cicho przez chwilę i pozwól, że ci się przyjrzę. – Eleanor zeszła z ostatnich trzech stopni i zatrzymała się przed Nancy. Otaksowała ją wzrokiem, a potem obesła ją powoli. – Hmm. Wysoka, chuda i bardzo blada. Musisz pochodzić z miejsca, gdzie nie ma słońca... ale wampirów również, sądząc po skórze twojej szyi. Myślę, że Jack i Jill bardzo się ucieszą, kiedy cię poznają. Mają już dość tego całego światła słonecznego i słodczy, którą tutaj przynoszą ze sobą ludzie.

– Wampiry? – powtórzyła Nancy ze zdumieniem. – One nie są prawdziwe.

– Nic z tego nie jest prawdziwe, moja droga. Ani ten dom, ani ta rozmowa, ani buty, które masz na nogach... a przy okazji, one wyszły z mody przed kilku laty, jeśli próbujesz dostosować się do swoich rówieśników. I nie jest to obuwie żałobne, jeśli chcesz tkwić przy swojej niedawnej przeszłości. Żadna z nas również nie jest prawdziwa. „Prawdziwy” to dziewięcioliterowe słowo, którego powinnaś używać jak najrzadziej, dopóki mieszkasz pod moim dachem. Będę ci za

to wdzięczna. – Eleanor znowu stanęła przed Nancy. – To włosy cię zdradzają. Byłaś w Podziemiu czy w Zaświatach? Nie mogłaś być w Nicości. Stamtąd nikt nie wraca.

Nancy gapiła się na nią i poruszała ustami, usiłując wydobyć z siebie głos. Starsza kobieta mówiła te rzeczy – te okrutne, niemożliwe rzeczy – z taką beztróską, jakby pytała o jakiś drobiazg, na przykład o jej kartę szczepień.

Wyraz twarzy Eleanor zmienił się na łagodny i przeprasający.

– Och, widzę, że cię zdenerwowałam. Obawiam się, że mam do tego skłonność. Sześć razy udawałam się do świata Nonsensu, zanim skończyłam szesnaście lat, i choć w końcu musiałam przestać, nigdy nie nauczyłam się hamować języka. Musisz być zmęczona po podróży i ciekawa, jak tutaj jest. Tak? Mogę cię zaprowadzić do twojego pokoju, kiedy tylko się dowiem, gdzie jest twoje miejsce na kompasie. Obawiam się, że to naprawdę ma znaczenie dla takich kwestii jak zakwaterowanie. Nie można umieścić podróżnika z Nicości z kimś, kto przebywał w Logice, jeśli nie ma się ochoty tłumaczyć z przemocy przed miejscową policją. Oni nas tutaj sprawdzają, nawet jeśli zwykle potrafimy sprawić, żeby patrzyli w inną stronę. Chodzi o to, żeby szkoła nie straciła akredytacji, choć według mnie jesteśmy raczej czymś w rodzaju sanatorium. Podoba mi się to słowo. A tobie? Sanatorium. Brzmi tak oficjalnie, a jednocześnie absolutnie nic nie znaczy.

– Nie rozumiem nic z tego, co pani mówi – wyznała Nancy.

Poczuła wstyd, że jej głos zabrzmiał jak pisk, ale jednocześnie była dumna, że w ogóle go odzyskała.

Twarz Eleanor jeszcze bardziej złagodniała.

– Nie musisz dłużej udawać, Nancy. Wiem, przez co przeszłaś, gdzie byłaś. Ja sama coś takiego przeżyłam dawno temu, kiedy wróciłam ze swoich podróży. To nie jest miejsce na kłamstwa albo udawanie, że wszystko w porządku. Wiemy, że nic nie jest w porządku. Gdyby było, nie znalazłabyś się tutaj. No dobrze. Gdzie trafiłaś?

– Ja nie...

– Zapomnij o takich słowach jak Nonsens i Logika. Później możemy zająć się tymi szczegółami. Po prostu odpowiedz. Gdzie byłaś?

– Na Dworze Umarłych. – Wymówienie tych słów na głos sprawiło jej niemal bolesną ulgę. Nancy znieruchomiała, wpatrując się w przestrzeń, jakby mogła zobaczyć swój głos wiszący w powietrzu, idealny jak owoc granatu. Potem przełknęła ślinę i choć nadal nie udało się jej usunąć suchości z gardła, powiedziała: – To było... Szukałam wiadra w piwnicy naszego domu i natknęłam się na drzwi, których nigdy wcześniej nie widziałam. Kiedy przez nie przeszłam,

znalazłam się w zagajniku granatów. Pomyślałam, że upadłam i uderzyłam się w głowę. Szłam dalej, bo... bo...

Bo powietrze pachniało tak słodko, niebo było czarne niczym aksamit, usiane punkcikami diamentowego światła, które w ogóle nie mrugało, tylko jaśniało nieruchomo i chłodno. Bo trawa była mokra od rosy, a drzewa ciężkie od owoców. Bo chciała się dowiedzieć, co jest na końcu długiej ścieżki biegnącej między drzewami, i nie chciała wracać, zanim wszystkiego nie zrozumie. Bo po raz pierwszy w życiu odniosła wrażenie, że znalazła się w domu, i to uczucie wystarczyło, by ruszyła przed siebie, najpierw wolno, potem szybciej i szybciej, aż w końcu biegła w czystym nocnym powietrzu, wszystko inne straciło znaczenie i już nigdy miało go nie odzyskać...

– Jak długo cię nie było?

Pytanie nie miało sensu. Nancy pokręciła głową.

– Przez wieczność. Lata... Byłam tam przez lata. Nie chciałam wracać. Nigdy.

– Wiem, kochanie. – Eleanor delikatnie położyła dłoń na łokciu Nancy i skierowała ją w stronę drzwi za schodami. Jej perfumy pachniały mniszkiem i piernikami, połączenie równie nonsensowne jak wszystko inne w tej kobiecie. – Chodź ze mną. Mam dla ciebie idealny pokój.

„Idealny pokój” mieścił się na parterze, w cieniu wielkiego starego wiązu, który odcinał prawie całe światło wpadające przez pojedyncze okno, tak że w środku panował wieczny półmrok. Kiedy Nancy do niego weszła i się rozejrzała, poczuła, że z jej ramion spada ciężar. Jedna połowa pokoju – ta z oknem – była kłębowiskiem ubrań, książek i różnych drobiazgów. Na łóżku leżały beztrosko rzucone skrzypce, smyczek balansował na brzegu półki na książki, gotowy spaść przy pierwszej okazji. Powietrze pachniało miętą i błotem.

Druga połowa wyglądała neutralnie jak w hotelu. Znajdowały się tam łóżko, mała komoda, półka na książki i biurko, wszystko z jasnego, nielakierowanego drewna. Ściany były puste. Nancy spojrzała na Eleanor i zobaczyła zachęcające skinienie głową. Wtedy weszła dalej i położyła walizkę na środku łóżka, które zapewne miało należeć do niej.

– Dziękuję – powiedziała. – Na pewno będzie mi tu dobrze.

– Przyznam, że ja nie jestem taka pewna – stwierdziła Eleanor, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na walizkę, ułożoną aż nazbyt równo. – Każde miejsce zwane Dworem Umarłych musi znajdować się w Podziemiu, a większość z nich podpada raczej pod kategorię Nonsensu niż Logiki. Zdaje się, że w twoim panowała większa dyscyplina. Cóż, mniejsza o to. Zawsze możemy cię przenieść, jeśli ty i Sumi okażecie się źle do siebie dopasowane. Kto wie? Może nauczysz ją trochę samokontroli, której obecnie jej brakuje. A jeśli nie, to miejmy nadzieję, że przynajmniej się nie pozabijacie.

– Sumi?

– Twoja współlokatorka. – Eleanor ruszyła przez bałagan w stronę okna. Otworzyła je, wychyliła się i przyjrzała wiązowi, aż wśród gałęzi znalazła to, czego szukała. – Raz, dwa, trzy, widzę cię, Sumi. Chodź i przywitaj się z nową koleżanką.

– Koleżanką? – Głos był młody i rozdrażniony.

– Uprzedzałam cię – powiedziała Eleanor, odsunęła się od okna i wróciła na środek pokoju. Poruszała się z godną podziwu zręcznością, zważywszy na to, jak wyglądała podłoga. Nancy spodziewała się, że panna West zaraz upadnie, ale tak się nie stało. – Mówiłam, że w tym tygodniu przyjeżdża nowa uczennica i że jeśli to będzie dziewczyna z odpowiednią przeszłością, zajmie wolne łóżko. Pamiętasz?

– Myślałam, że mówiła pani po to, żeby posłuchać swojego głosu. Tak pani robi. Wszyscy tak robią. – W oknie pojawiła się głowa, skierowana w dół; jej właścicielka najwyraźniej zwisała z gałęzi wiązu. Była mniej więcej w wieku Nancy, japońskiego pochodzenia, z długimi czarnymi włosami związanymi nad uszami w dwa dziecinne kucyki. Spojrzała na Nancy z nieskrywaną podejrzliwością i zapytała: – Jesteś służącą Królowej Ciast i przybyłaś tutaj, żeby mnie ukarać za wykroczenie przeciwko Hrabinie Waty Cukrowej? Bo nie mam teraz ochoty iść na wojnę.

– Nie – odpowiedziała zaskoczona Nancy. – Jestem Nancy.

– Nudne imię. Skąd się tu wzięłaś z takim nudnym imieniem? – Sumi wykonała szybki obrót i zeskoczyła z drzewa. Zniknęła na chwilę, ale zaraz pojawiła się za oknem, oparła łokciami o parapet i spytała: – Eleanor-Ely, jest pani pewna? To znaczy pewna pewna? Ona nie wygląda, jakby to było miejsce dla niej. Może kiedy zajrzała pani w jej papiery, znowu pani zobaczyła to, czego tam nie ma, a ona tak naprawdę powinna być w szkole dla młodocianych ofiar złego farbowania.

– Ja nie farbuję włosów! – gwałtownie zaprotestowała Nancy.

Sumi umilkła i wytrzeszczyła oczy. Eleanor też na nią spojrzała. Policzki Nancy zrobiły się gorące, ale jakoś zdołała się powstrzymać przed dotknięciem głowy.

– Kiedyś były całe czarne jak u mojej matki. Gdy tańczyłam z Panem Umarłych po raz pierwszy, on powiedział, że są piękne, i przesunął po nich palcami, a wtedy włosy wokół nich zbieleły z zazdrości. To dlatego zostały mi tylko czarne pasemka. Tam, gdzie on ich dotknął.

Przyjrzawszy się jej badawczym wzrokiem, Eleanor zauważyła, że te pięć pasemek tworzy widmowy zarys dłoni w miejscu, gdzie stojąca przed nią młoda blada kobieta została dotknięta raz i już nigdy więcej.

– Rozumiem – powiedziała.

– Ja ich nie farbuję – powtórzyła Nancy, nadal oburzona. – Nigdy bym tego nie zrobiła. To byłby brak szacunku.

Sumi nadal się na nią gapiła szeroko otwartymi oczami. Potem się uśmiechnęła.

– Och, podobasz mi się – stwierdziła. – Jesteś najbardziej szaloną kartą w talii, co?

– Nie używamy tutaj tego słowa – skarciła ją Eleanor.

– Ale to prawda – rzuciła Sumi. – Ona myśli, że tam wróci. Mam rację, Nancy? Myślisz, że otworzysz właściwe drzwi i zobaczysz za nimi schody do nieba, zrobisz jeden krok, drugi, trzeci, i znowu będziesz w swojej historii. Szalona dziewczyna. Głupia dziewczyna. Nie możesz wrócić. Gdy raz cię wyrzucą, nie możesz wrócić.

Nancy poczuła się tak, jakby jej serce próbowało wdrapać się do gardła i ją udusić. Przełknęła je z powrotem i wyszeptła:

– Mylisz się.

Oczy Sumi się rozjarzyły.

– Tak?

Eleanor klasnęła w dłonie.

– Nancy, może się rozpakujesz i rozgościsz? Kolacja jest o szóstej trzydzieści, a terapia grupowa o ósmej. Sumi, proszę, nie prowokuj jej do morderstwa. Niech dziewczyna spędzi tu przynajmniej jeden cały dzień.

– Wszyscy mamy własne sposoby na powrót do domu – odparła Sumi i zniknęła, żeby znowu robić to, co robiła, zanim panna West Eleanor jej przeszkodziła.

Eleanor posłała nowej uczennicy szybkie, przepaszające spojrzenie i też zniknęła. Gdy zamknęła za sobą drzwi pokoju, Nancy nagle została sama.

Stała bez ruchu przez czas potrzebny, żeby policzyć do dziesięciu, i rozkoszowała się ciszą. Kiedy przebywała na Dworze Umarłych, czasami musiała tkwić w jednym miejscu przez wiele dni, stapiać się z resztą żywych posągów. Służące, które miały mniej wprawy w trwaniu w bezruchu, przychodziły z gąbkami nasączonymi sokiem z granatów i przyciskały je do ust tych, którzy się nie ruszali. Nancy nie przetykała, tylko pozwalała, żeby sok spływał jej po gardle, przyjmowała go biernie, tak jak kamień chwyta blask księżyca. Nauka stania całkiem nieruchomo zajęła jej miesiące, nawet lata, ale tego dokonała, a Pani Cieni ogłosiła ją bardzo piękną, małą śmiertelniczką, która nie widzi potrzeby, żeby być szybką, gorącą albo niespokojną.

Ale w przeciwieństwie do cichego Dworu Umarłych ten świat był stworzony dla szybkich, gorących i niespokojnych istot. Nancy z westchnieniem porzuciła

bezruch i otworzyła walizkę. I znowu zamarła, tym razem z szoku i przerażenia. Jej ubrania – przezroczyste suknie i lekkie jak mgiełka czarne koszulki, które zapakowała z taką starannością – zniknęły, zastąpione przez bezład tkanin kolorowych jak rzeczy Sumi rozrzucone po jej stronie pokoju. Na stercie leżała koperta. Nancy podniosła ją drżącymi rękami i wyjęła z niej list.

Nancy,

przykro nam, że zrobiliśmy Ci taki podły żart, skarbie, ale nie zostawiłaś nam dużego wyboru. Jedziesz do szkoły z internatem, żeby poczuć się lepiej, a nie żeby rozpamiętywać to, co zrobili Ci porywacze. Chcemy odzyskać naszą prawdziwą córkę. Te ubrania były twoimi ulubionymi, zanim zniknęłaś. Kiedyś byłaś naszą małą tęczę! Pamiętasz?

Tyle zapomniałaś.

Kochamy Cię. Twój ojciec i ja kochamy Cię najbardziej na świecie i wierzymy, że do nas wrócisz. Proszę, wybacz nam, że spakowaliśmy Ci bardziej stosowne rzeczy, i wiedz, że zrobiliśmy to tylko dlatego, że chcemy dla Ciebie jak najlepiej. Chcemy Cię odzyskać.

Baw się dobrze w szkole, a my będziemy na Ciebie czekać, aż będziesz gotowa wrócić do domu.

List był skreślony niepewnym pismem matki. Nancy ledwo widziała litery, bo oczy miała przepełnione gorącymi łzami nienawiści. Ręce jej drżały, palce się zaciskały, aż zgmiotły papier w nieczytelny labirynt zagnieć i fałd. Nancy osunęła się na podłogę, podciągnęła kolana do piersi i utkwiała wzrok w otwartej walizce. Jak mogła nosić te rzeczy? To były codzienne kolory, przeznaczone dla ludzi gorących i szybkich, niechętnie widzianych na Dworze Umarłych.

– Co robisz? – Głos należał do Sumi.

Nancy się nie odwróciła. Ciało już ją zdradzało, poruszając się bez jej zgody. Jedyne, co mogła zrobić, to narzucić mu swoją wolę i w ogóle się nie ruszać.

– Wyglądasz, jakbyś siedziała na podłodze i płakała, co, jak wszyscy wiedzą, jest niebezpieczne, niebezpieczne, „nie-rób-tego” niebezpieczne. Jakbyś nie panowała nad sobą i za chwilę mogła całkiem się rozpaść. – Sumi nachyliła się i przysunęła tak blisko, że jej kuczki musnęły ramię Nancy. – Dlaczego płaczesz, dziewczyno duchu? Ktoś przeszedł po twoim grobie?

– Ja nie umarłam, tylko przez jakiś czas służyłam Panu Umarłych, to wszystko. Zamierzałam zostać tam na zawsze, ale on powiedział, że mam wrócić tutaj, do czasu, aż będę całkiem pewna. A ja już byłam pewna, zanim odeszłam, więc nie wiem, dlaczego nie ma tutaj moich drzwi. – Łzy spływające jej po policzkach

były zbyt gorące. Niemal parzyły. Nancy pozwoliła sobie na ruch. Uniosła rękę i wytarła je gwałtownie. – Płacę, bo jestem zła i smutna. I chcę do domu.

– Głupia dziewczyna. – Sumi ze współczuciem położyła rękę na jej głowie, a potem ją uderzyła, lekko, ale uderzyła. Następnie wskoczyła na łóżko Nancy i ukucnęła obok otwartej walizki. – Chyba nie masz na myśli domu, w którym mieszkają twoi rodzice, co? Szkoła, klasa, chłopcy, głędzenie, nie, nie, nie, to już nie dla ciebie, wszystkie te rzeczy są dla innych ludzi, ludzi, którzy nie są tak wyjątkowi jak ty. Masz na myśli dom, w którym żyje mężczyzna od tych twoich włosów. Albo nie żyje, bo jesteś dziewczyną duchem. Głupią dziewczyną duchem. Na pewno już to wiesz.

Nancy uniosła głowę i popatrzyła na Sumi ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego? Zanim przeszłam przez tamte drzwi, wiedziałam, że nie ma takich rzeczy, jak brama do innego świata. Teraz wiem, że jeśli otworzysz właściwe drzwi we właściwym czasie, w końcu znajdziesz swoje miejsce. Dlaczego nie miałabym tam wrócić? Może po prostu jeszcze nie jestem pewna.

Pan Umarłych nigdy by jej nie okłamał, nie zrobiłby tego. On ją kochał.

Tak.

– Bo nadzieja to nóż, który potrafi przeciąć fundamenty świata. – Głos Sumi nagle stał się krystaliczny i czysty, bez śladu wcześniejszego rozkapryszania. Dziewczyna spojrzała na Nancy spokojnym, nieruchomym wzrokiem. – Nadzieja rani. Tego musisz się nauczyć, i to szybko, jeśli nie chcesz, żeby ten nóż cię rozplątał. Nadzieja jest zła. Nadzieja oznacza, że trzymasz się rzeczy, które już nigdy nie będą takie same, a ty wykrwawisz się po trochu, aż nic nie zostanie. Ely-Eleanor zawsze mówi: „nie używaj tego słowa”, „nie używaj tamtego słowa”, ale nigdy nie zakazuje tych, które są naprawdę złe. Nigdy nie zakazuje nadziei.

– Ja chcę jedynie wrócić do domu – wyszeptwała Nancy.

– Głupi duch. My wszyscy tylko tego chcemy. Dlatego tutaj jesteśmy. – Sumi odwróciła się do walizki i zaczęła grzebać w rzeczach Nancy. – Ładne. Ale dla mnie za małe. Dlaczego musisz być taka chuda? Nie mogę kraść ubrań, które na mnie nie pasują. To byłoby głupie, bo nie stanę się mniejsza. Nikt nigdy taki się nie staje w tym świecie. Wysoka Logika wcale nie jest zabawna.

– Nienawidzę ich – wyrzuciła z siebie Nancy. – Weź je wszystkie. Potnij i zawieś jak serpenty na swoim drzewie. Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu je ode mnie zabierz.

– Bo mają niewłaściwe kolory, prawda? Nie twoja tęcza. – Sumi zeskoczyła z łóżka, zamknęła walizkę i ruszyła do drzwi, ciągnąc ją za sobą. – No, dalej, wstawaj. Idziemy z wizytą.

– Co? – Nancy popatrzyła na Sumi oszołomiona i zrezygnowana. – Przykro mi. Dopiero cię poznałam i naprawdę nie chcę nigdzie z tobą iść.

– W takim razie dobrze, że mi nie zależy, nie sądzisz? – Sumi uśmiechnęła się promiennie jak znienawidzone, znienawidzone słońce i wyszła z pokoju z walizką pełną ubrań.

Nancy nie chciała tych rzeczy i przez jedną kuszącą chwilę rozważała, czy nie zostać tam, gdzie jest. Potem wstała z westchnieniem i poszła za Sumi. W tym świecie miała tak niewiele. Zresztą w końcu będzie potrzebować czystej bielizny.

Piękni chłopcy i olśniewające dziewczyny

Sumi była niespokojna, jak bywają żywi, ale szybka nawet jak na żywych. Zanim Nancy wyszła z pokoju, ona już znajdowała się w połowie korytarza. Na dźwięk kroków obejrzała się przez ramię i łypnęła na nową koleżankę.

– Żwawo, żwawo, żwawo – ponagliła ją. – Jeśli kolacja nas dogoni, zanim zrobimy to, co trzeba zrobić, przypadną nam rogaliki z dżemem.

– A kolacja cię ściga? – zdziwiła się Nancy. – I jeśli cię nie dogoni, dostaniesz rogaliki z dżemem?

– Zwykle nie – odpowiedziała Sumi. – Nieczęsto. No dobrze, nigdy. Na razie. Ale to może się zdarzyć, jeśli poczekamy dostatecznie długo, a ja nie chcę tego przegapić! Kolacje są przeważnie mdłe i okropne, głównie mięso, ziemniaki i rzeczy zdrowe dla ciała i umysłu. Nudy. Założę się, że twoje kolacje z umarłymi były dużo zabawniejsze.

– Czasami – przyznała Nancy.

Zdarzały się bankiety, owszem, uczyły trwające całe tygodnie, stoły uginające się pod ciężarem owoców, win i ciemnych, bogatych deserów. Kiedyś na jednej z tych uczt spróbowała jednorozca i poszła spać z ustami swędzącymi od delikatnego jadu zawartego w słodkim mięsie tego stworzenia. Ale głównie były srebrne pucharki z sokiem z granatów i uczucie pustki w żołądku, wspomagające bezruch. W Podziemiu głód nigdy nie doskwierał długo. Był niepotrzebny i stanowił niską cenę ze spokoj, ciszę i tańce; za wszystko, co sprawiało jej tak wielką radość.

– Widzisz? Więc rozumiesz znaczenie dobrej kolacji. – Sumi szła dalej, skracając krok, żeby dostosować się do powolniejszego tempa Nancy. – Kade coś dla ciebie wymyśli, wyszuka, wyszukuje, zobaczysz. Kade wie, gdzie są najlepsze rzeczy.

– Kto to jest Kade? Proszę, musisz zwolnić. – Nancy czuła się tak, jakby biegła co sił w nogach, kiedy próbowała dotrzymać kroku Sumi.

Ruchy nowej koleżanki były zbyt szybkie, żeby oczy Nancy, przyzwyczajone do Podziemia, mogły je śledzić. Zupełnie jakby podążała za dużym kolibrem zmierzającym ku jakiemuś nieznanemu celowi i już czuła się wyczerpana.

– Kade jest tutaj od bardzo dawna. Jego rodzice nie chcą go z powrotem. –

Sumi zerknęła przez ramię i zamigotała do Nancy. Nie było innego słowa na opisanie wyrazu jej twarzy, dziwnej kombinacji zmarszczenia nosa i napięcia się skóry wokół oczu, a wszystko to bez widocznego uśmiechu. – Moi rodzice też mnie nie chcieli z powrotem, chyba że byłabym gotowa stać się znowu ich małą córeczką i odrzucić te wszystkie nonsensy o Nonsense. Wysłali mnie tutaj, a potem umarli i teraz już w ogóle nie będą mnie chcieli. Zostanę tu na zawsze, aż w końcu Ely-Eleanor będzie musiała dać mi poddasze. Będę żuć ciągutki na krokwiach i zadawać zagadki wszystkim nowym dziewczynom.

Gdy dotarły do schodów, Sumi zaczęła wskakiwać po stopniach. Nancy podążyła za nią bardziej statecznie.

– Nie wpadną ci do cukierków pająki, pierze i paprochy? – zapytała.

Sumi nagrodziła ją parsknięciem i prawdziwym uśmiechem.

– Pająki, pierze i paprochy! – zapiąła. – Już aliterujesz! Och, może jednak zostaniemy przyjaciółkami, dziewczyno duchu, i może to nie będzie takie straszne. No, chodź. Mamy dużo do zrobienia, a czas tutaj upiera się, żeby być linearnym, bo jest okropny.

Sumi nie zatrzymała się na podeście, tylko od razu ruszyła dalej w górę, nie zostawiając Nancy innego wyboru, jak pójście za nią. Wszystkie dni bezruchu wzmocniły jej mięśnie, bo musiały przez wiele godzin utrzymywać jej ciężar. Niektórzy ludzie sądzili, że tylko ruch daje siłę. Ci ludzie się mylili. Góra jest równie potężna jak fala, tylko... w inny sposób. Nancy czuła się jak góra, kiedy goniła Sumi, aż serce łomotało jej w piersi, a oddech wiązał w krtani, aż zaczęła się bać, że się udusi.

Sumi zatrzymała się przed prostymi białymi drzwiami oznaczonymi jedynie małym, niemal uprzejmym napisem: Nie wchodzić. Uśmiechając się szeroko, powiedziała:

– Gdyby tak myślał, nigdy by tego nie powiedział. On wie, że dla kogoś, kto spędził trochę czasu w Nonsense, to tak naprawdę jest zaproszenie.

– Dlaczego ludzie tutaj wciąż używają tego słowa na określenie miejsca? – spytała Nancy.

Najwyraźniej przydałby się jej kurs wstępny, który odpowiedziałby na wszystkie pytania dotyczące tej szkoły i sprawił, że czułaby się mniej zagubiona.

– Bo nim jest i nie jest, i to nie ma znaczenia. – Sumi zapukała do drzwi i krzyknęła: – Wchodzimy!

Gdy je otworzyła, Nancy zobaczyła coś w rodzaju skrzyżowania księgarni z pracownią krawiecką. Każdą dostępną przestrzeń zajmowały stosy książek. Wydawało się, że są z nich zrobione również meble – łóżko, biurko i stół – z wyjątkiem regałów stojących wzdłuż ścian, bo przynajmniej one były z drewna, prawdopodobnie ze względu na stabilność. Na papierowych hałdach leżały bele tkanin, od bawełny i muszliny po aksamit i najdelikatniejsze z cienkich, lśniących jedwabi. Pośrodku tego wszystkiego, na piedestale z wydań w miękkich okładkach siedział ze skrzyżowanymi nogami najpiękniejszy chłopiec, jakiego Nancy w życiu widziała.

Skórę miał opaloną na złoto, włosy czarne, a kiedy podniósł wzrok – z wyraźną irytacją – znad książki, którą trzymał w ręce, Nancy zobaczyła, że jego oczy są brązowe, a rysy idealne. Było w nim coś ponadczasowego, jakby wyszedł z obrazu do świata materialnego. I wtedy się odezwał.

– Co, kurwa, znowu tutaj robisz, Sumi? – Akcent z Oklahomy był gęsty jak masło orzechowe. – Mówiłem ci, że nie jesteś tu mile widziana po ostatnim razie.

– Jesteś wściekły tylko dlatego, że wymyśliłam lepszy system katalogowania twoich książek niż ty – odcięła się Sumi, zupełnie niespeszona. – Zresztą nie mówiłeś serio. Jestem słońcem na twoim niebie i tęskniłbyś, gdybym odeszła.

– Ułożyłaś je według kolorów, a ja potem musiałem przez całe tygodnie rozgryzać, gdzie co jest. Prowadzę tutaj poważne badania. – Kade wyprostował nogi i zsunął się ze stosu książek. Stracił przy tym jedną i złapał ją zręcznie, zanim upadła na podłogę. Potem odwrócił się i spojrzał na Nancy. – Jesteś nowa. Mam nadzieję, że ona już nie zwiodła cię na manowce.

– Na razie przyprowadziła mnie na strych – głupio odpowiedziała Nancy i natychmiast poczerwieniała: – To znaczy... nie, nie jest łatwo mną kierować. Przez większość czasu.

– Ona jest raczej z tych dziewczyn, co „stoją całkiem nieruchomo i mają nadzieję, że nic ich nie zje” – wtrąciła Sumi i pchnęła walizkę w jego stronę. – Zobacz, co zrobili jej rodzice.

Kade uniósł brwi, widząc w środku zjadliwy róż.

– Bardzo kolorowe – zauważył po chwili. – Farba mogłaby temu zaradzić.

– Z wierzchu tak. Ale nie da się ufarbować majtek. No, może ty potrafisz, ale wtedy zrobią się zupełnie sztywne i nikt nie uwierzy, że ich nie zniszczyłeś. – Sumi spoważniała na chwilę. Kiedy znowu się odezwała, klarowność jej słów była niemal irytująca. – Rodzice zamienili jej rzeczy, nim odesłali ją do szkoły. Wiedzieli, że to się jej nie spodoba, ale i tak to zrobili. Był liścik.

– Aha – mruknął Kade z błyskiem zrozumienia w oczach. – To jedna z tych. W porządku. Więc to będzie prosta wymiana?

– Przykro mi, ale nie rozumiem, co się dzieje – odezwała się Nancy. – Sumi złapała moją walizkę i z nią uciekła. Nie chcę nikomu sprawiać kłopotu...

– Nie sprawiasz mi kłopotu – przerwał jej Kade, Wziął walizkę od Sumi i odwrócił się do Nancy. – Rodzice nie zawsze lubią przyznawać, że coś się zmieniło. Chcą, żeby świat był dokładnie taki sam jak wcześniej, zanim ich dzieci wyruszyły na przygodę życia, a kiedy świat ich nie słucha, próbują wcisnąć go do pudełek, które sami zbudowali. Jestem Kade, tak przy okazji. Z Krainy Wrózek.

– Jestem Nancy i przykro mi, ale nie rozumiem.

– Poszedłem do Krainy Wrózek. Spędziłem tam trzy lata, ścigając tęczę i rosnąc. Zabiłem króla goblinów jego własnym mieczem, a on w chwili śmierci wyznaczył mnie na swojego następcę, księcia goblinów. – Kade ruszył w książkowy labirynt, niosąc walizkę Nancy. Tylko głos zdradzał jego położenie. – Król był moim wrogiem, ale i pierwszym w życiu dorosłym, który mnie dostrzegł. Dworzanie Tęczowego Księcia byli wstrząśnięci. Wrzucili mnie do pierwszej studni życzeń, którą mijaliśmy. Obudziłem się na polu pośrodku Nebraski, z powrotem w ciele dziesięcioletniego chłopca, w ubraniu, które miałem na sobie, kiedy wpadłem do Pryzmatu.

Sposób, w jaki powiedział słowo „Pryzmat”, nie pozostawiał wątpliwości, co Kade miał na myśli. Była to nazwa własna jakiegoś dziwnego przejścia, a te dwie sylaby sprawiały taki ból jego głosowi, jak nóż ciała.

– Nadal nie rozumiem – stwierdziła Nancy.

Sumi westchnęła przesadnie.

– On mówi, że wpadł do Krainy Wrózek, czyli jakby wszedł do lustra, tylko że tak naprawdę to była wysoka Logika, która udawała wysoki Nonsens, co jest nieuczciwe. Mnóstwo zasad, a jeśli jedną złamiesz... – Sumi przesunęła dłonią po gardle – ...wypadasz jak zeszłoroczne śmieci. Oni myśleli, że porwali małą dziewczynkę, bo wróżki uwielbiają zabierać małe dziewczynki, to dla nich jest coś w rodzaju uzależnienia, a kiedy odkryli, że mają małego chłopca, który tylko wyglądał jak mała dziewczynka, odrzucili go z powrotem.

– Aha – bąknęła Nancy.

– Tak. – Kade wyłonił się z labiryntu. Już nie niósł walizki. Zamiast niej trzymał w rękach wiklinowy kosz wypełniony tkaninami w kojących odcieniach czerni, bieli i szarości. – Mieliśmy tutaj kilka lat temu dziewczynę, która spędziła dekadę w miejscu jak z filmów Hammera. Wszystko czarno-białe, powiewne, koronkowe, superwiktoriańskie. Zdaje się, że to twój styl. Chyba dobrze oceniłem twój rozmiar, ale jeśli nie, możesz przyjść i powiedzieć, że potrzebujesz czegoś większego albo mniejszego. Uznałem, że nie przepadasz za gorsetami. Pomyliłem się?

– Co? Mm... – Nancy oderwała wzrok od kosza. – Nie. Niezupełnie. Po dniu albo dwóch usztywnienie robi się niewygodne. Tam, gdzie byłam, nosiliśmy się bardziej... eee, po grecku. Chyba. Albo prerafaelicku.

Oczywiście kłamała. Wiedziała dokładnie, jaki styl dominował w Podziemiu, w tych pięknych, cichych komnatach. Kiedy w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby wiedzieć, gdzie znaleźć drzwi, zaczęła przeczesać Google'a i sprawdzać linki w Wikipedii, natrafiła na dzieła malarza o nazwisku Waterhouse i krzyknęła z czystej ulgi, widząc ludzi w ubraniach, które nie raziły jej oczu.

Kade pokiwał głową.

– Nadzoruję wymianę ubrań i zawartość szaf, ale również szyję na zamówienie. Za to musiałybyś zapłacić, bo szycie na miarę wymaga więcej pracy. Przyjmuję informacje i gotówkę. Mogłabyś opowiedzieć mi o swoich drzwiach i o miejscu, do którego trafiłaś, a ja uszyłbym ci parę rzeczy, które bardziej by do ciebie pasowały.

Nancy poczerwieniała.

– Chciałabym.

– Super. A teraz wynoście się obie. Niedługo kolacja, a ja chcę skończyć książkę. – Kade uśmiechnął się. – Nigdy nie lubiłem niedokończonych historii.

* * *

Kiedy szły w dół po schodach, Sumi obserwowała nową koleżankę. Nancy przyciskała do siebie kosz z czarnymi i białymi ubraniami, policzki miała lekko zaróżowione. Kolory wydawały się niemal obsceniczne i nie na miejscu na jej twarzy.

– Chciałabyś się z nim pieprzyć?

Nancy omal nie spadła ze schodów. Chwyciła się balustrady, odwróciła do Sumi i wykrztusiła, czerwona jak burak:

– Nie!

– Jesteś pewna? Bo wyglądałaś, jakbyś chciała, a potem wyglądałaś na trochę zdenerwowaną, jakbyś uznała, że jednak nie chcesz. Jill... poznasz ją na kolacji, chciała się z nim pieprzyć, aż odkryła, że on kiedyś był dziewczyną, i wtedy zaczęła mówić o nim „ona”, ale panna Ely powiedziała, że tutaj szanujemy tożsamość innych, i potem wszyscy musieliśmy wysłuchać dziwacznej historii o dziewczynie, która kiedyś mieszkała na poddaszu, naprawdę była tęczą, udało się jej obrazić Króla Nieba w jednej z Krain Wrózek i została stamtąd wykopana. – Sumi umilkła, żeby nabrać powietrza, i dodała: – To było dość przerażające.

Nigdy nie myśli się o tym, że ludzie stamtąd trafiają tutaj, tylko że ludzie stąd lądują tam. Może ściany nie są tak nieprzenikalne, jak sądzimy.

– Tak – zgodziła się Nancy, odzyskując panowanie nad sobą. Ruszyła w dół po schodach. – Jestem całkiem pewna, że nie chcę... mieć z nim stosunków seksualnych, i uważam, że jego tożsamość płciowa to nie moja sprawa. – Była przekonana, że wyraża się we właściwy sposób. Znała te słowa, zanim opuściła ten świat i jego problemy. – To sprawa między nim a tymi, z którymi on postanowi się związać.

– Skoro nie chcesz baraszkować z Kade'em, chyba powinnam ci powiedzieć, że jestem pod wrażeniem – rzuciła Sumi lekkim tonem. – On jest farmerem z krańców królestwa i moją jedyną prawdziwą miłością, i pewnego dnia zamierzamy się pobrać. Albo raczej zamierzaliśmy, gdyby nie to, że trafiłam na wygnanie. Teraz on będzie sam uprawiał pola, a ja dorosnę i uznam, że on był tylko snem, i może pewnego dnia córka mojej córki odwiedzi jego grób z kwiatami lukrecji i modlitwą za zmarłych na ustach.

Jej ton nie zmienił się ani na chwilę, nawet kiedy mówiła o śmierci kogoś, kogo nazwała swoją jedyną prawdziwą miłością. Nancy spojrzała na nią z ukosa, próbując ocenić, na ile Sumi jest poważna, ale trudno to było stwierdzić.

Gdy dotarły do wspólnego pokoju, Nancy podjęła decyzję.

– Nie ma znaczenia, czy jesteś pod wrażeniem, czy nie. – Otworzyła drzwi i podeszła do swojego łóżka. Położyła na nim kosz z ubraniami. Powinna je przejrzeć dokładniej, sprawdzić krój i materiał, ale te rzeczy i tak były lepsze od tych, które zostawiła u Kade'a. – Nie robię tego. Z nikim.

– Żyjesz w celibacie?

– Nie. Celibat to wybór. Ja jestem aseksualna. Nie czuję tych rzeczy.

Można by pomyśleć, że to właśnie brak seksualnych pragnień przyciągnął ją do Podziemia – tylu ludzi nazywało ją „zimną rybą” i mówiło, że jest martwa w środku, kiedy chodziła do zwyczajnego ogólniaka, ze zwykłymi nastolatkami – ale żadna z osób, które spotkała w tamtych cudownych, nawiedzonych komnatach, nie była taka jak ona. Wszystkie odczuwały takie samo gorące pożądanie jak żywi. Pan Umarłych i Pani Cieni nie kryli się ze swoją namiętnością i cały pałac ogrzewał się w jej blasku. Nancy uśmiechnęła się lekko na to wspomnienie, aż zauważyła, że Sumi ją obserwuje. Potrząsnęła głową.

– Ja... po prostu tego nie robię. Potrafię docenić, że ktoś jest piękny, i inni mogą mnie pociągać w romantyczny sposób, ale tyle mi wystarcza.

– Hm – mruknęła Sumi, kierując się na własną połowę pokoju. – No dobrze. Będzie ci przeszkadzać, jeśli będę się masturbować?

– Co, teraz? – Nancy nie potrafiła ukryć przerażenia. Nie na myśl o masturbacji, tylko o tym, że dziewczyna, którą dopiero poznała, zdejmie spodnie

i przy niej zaszaleje.

– Eee... – Sumi zmarszczyła nos. – Nie, miałam na myśli, że w ogóle. Późno w nocy, kiedy światła są zgaszone, a księżycowe manty rozpościerają skrzydła na niebie, dziewczyna może nabrać ochoty, żeby palcami zaorać pole.

– Przestań, proszę – powiedziała Nancy słabym głosem. – Nie, nie będę zła, jeśli będziesz się masturbować. W nocy. Po ciemku. Bez mówienia mi o tym. Nie mam nic przeciwko masturbacji. Po prostu nie chcę tego widzieć.

– Podobnie jak moja ostatnia współlokatorka – rzuciła Sumi i wydawało się, że to koniec rozmowy, przynajmniej jeśli chodzi o nią.

Chwilę później wyszła przez okno i zostawiła Nancy samą z jej myślami, pokojem i nową garderobą.

Nancy przez prawie minutę patrzyła na puste okno, zanim opadła na łóżko i położyła głowę na rękach. Spodziewała się, że szkoła z internatem będzie pełna ludzi takich jak ona, cichych, poważnych i spragnionych powrotu do domów, które opuścili. A nie... czegoś takiego. Nie Sumi i ludzi rzucających niezrozumiałe techniczne terminy.

Poczuła się, jakby próbowała żeglować do domu bez mapy. Odesłano ją z powrotem do świata narodzin, żeby zyskała pewność... a ona jeszcze nigdy w życiu nie była mniej pewna.

* * *

Kolację podano w sali balowej na parterze, rozległym pomieszczeniu, jeszcze powiększonym przez marmurową posadzkę i katedralne sklepienie. Nancy zatrzymała się w wejściu, onieśmielona rozmiarami sali i widokiem szkolnych kolegów i koleżanek siedzących przy stołach. Miejsca wystarczyłoby dla setki uczniów, może więcej, ale znajdowało się ich tam jedynie czterdzieścioro. Byli tacy mali, a przestrzeń taka ogromna.

– Niegrzecznie i wrednie jest blokować dostęp do jedzenia – oświadczyła Sumi, przepychając się obok niej.

Nancy straciła równowagę, potknęła się o próg i wpadła do sali balowej. Kiedy w środku wszyscy umilkli i odwrócili się w jej stronę, Nancy zamarła. Był to jedynie mechanizm obronny, którego nauczyła się w czasie pobytu wśród zmarłych. Kiedy się nie ruszała, duchy nie mogły jej zobaczyć i ukraść jej życia. Bezruch stanowił najlepszą ochronę.

Na jej ramieniu spoczęła dłoń.

– A, Nancy, dobrze – powiedziała Eleanor. – Miałam nadzieję, że zdążę, zanim dotrzesz do stołu. Bądź grzeczną dziewczyną i zaprowadź starszą panią na

miejsce.

Nancy odwróciła głowę. Panna West przebrała się do kolacji, zamieniając jaskrawopomarańczowe spodnie i tęczy sweter na dopasowaną suknię z nierównomiernie ufarbowanego muślinu. Intensywny kolor tkaniny raził oczy Nancy jak słońce. Mimo to podała ramię dyrektorce, bo nie przyszło jej do głowy nic innego, co byłoby zgodne z nakazami dobrego wychowania.

– Jak układa się między tobą a Sumi? – zapytała Eleanor, kiedy szły w stronę stołów.

– Ona jest bardzo... gwałtowna – stwierdziła Nancy.

– Mieszkała w wysokim Nonsense przez prawie dziesięć lat subiektywnego czasu i tak jak ty nauczyłaś się być nieruchoma, ona nauczyła się nigdy nie zatrzymywać, bo ci, którzy się zatrzymywali, byli zabijani. Ja przebywałam bardzo blisko tamtego miejsca, więc rozumiem ją lepiej niż inni. To dobra dziewczyna. Nie sprowadzi cię na manowce.

– Zabrała mnie do chłopca imieniem Kade – poinformowała Nancy.

– Tak? To dla niej niezwykle, że tak szybko was sobie przedstawiła... chyba że... Miałaś kłopoty z ubraniami? Znalazłaś w walizce nie to, co spakowałaś?

Nancy nie odpowiedziała. Jej czerwone policzki i odwrócony wzrok mówiły same za siebie. Eleanor westchnęła.

– Napiszę do twoich rodziców i przypomnę im, że zgodzili się, żebym pokierowała twoją terapią. To, co wyjęli z twojej walizki, powinno tu dotrzeć pocztą w ciągu miesiąca. Tymczasem możesz zwrócić się do Kade'a o to, czego potrzebujesz. Drogi chłopiec po mistrzowsku posługuje się igłą i nicią. Naprawdę nie wiem, jak sobie bez niego radziłyśmy.

– Sumi wspomniała, że on trafił do świata, który nazywa się wysoką Logiką... Nadal nie rozumiem, co znaczą te słowa. Rzucacie je tutaj, jakby każdy je znał, ale dla mnie wszystkie są nowe.

– Wiem, kochanie. Dzisiaj wieczorem będziesz miała terapię grupową, a jutro wprowadzenie z Lundy i ona wszystko ci wyjaśni.

Kiedy dotarły do stołów, Eleanor wyprostowała się i zabrała dłoń z ramienia Nancy. Klasnęła dwa razy. Wszystkie rozmowy ucichły. Uczniowie, którzy w większości siedzieli w pewnym oddaleniu od siebie, a tylko kilkoro w zbitych grupkach, odwrócili się i spojrzeli na nią z wyczekiwaniem na twarzach.

– Dobry wieczór wszystkim. Niektórzy z was bez wątplenia już słyszeli, że mamy nową uczennicę. To jest Nancy. Będzie mieszkać z Sumi do czasu, aż któraś spróbuje zamordować drugą. Jeśli chcecie obstawiać, kto zabije kogo, porozmawiajcie z Kade'em.

Dziewczyny się roześmiały... bo były to głównie dziewczyny, uświadomiła sobie Nancy. Nie licząc Kade'a, który siedział sam z nosem w książce, naliczyła

tylko trzech chłopców w całej grupie. Wydawało się jej to dziwne jak na szkołę koedukacyjną, ale nic nie powiedziała. Eleanor obiecała jej wprowadzenie i może wtedy wszystko się wyjaśni, dlatego postanowiła poczekać z pytaniami.

– Nancy nadal przystosowuje się do tego świata po swoich podróżach, więc proszę, bądźcie dla niej mili przez kilka pierwszych dni, tak jak kiedyś my byliśmy mili dla was. – W tonie Eleanor pobrzmiwała stalowa nuta. – Kiedy będzie gotowa dołączyć do zgiełku i radosnej złośliwości, da wam znać. A teraz jedzcie, nawet jeśli nie macie ochoty. Jesteśmy w materialnym świecie. W waszych żyłach płynie krew. Postarajcie się ją tam zatrzymać. – Panna West odsunęła się od Nancy, zostawiając ją bez kotwicy.

Kolację podano w formie bufetu. Nancy zbliżyła się do stołu ustawionego pod jedną ze ścian i wzdrygnęła na widok tac z duszonym mięsem i pieczonymi warzywami. Wiedziała, że będą leżeć jej na żołądku jak kamienie, więc napełniła talerz winogronami, kawałkami melona i łyżką serka wiejskiego. Wzięła również szklankę soku żurawinowego i rozejrzała się po sali.

Kiedyś była w tym dobra. Nigdy nie należała do najpopularniejszych dziewczyn w szkole średniej, ale rozumiała grę na tyle, żeby w nią grać, i to dobrze. Umiała odczytywać temperaturę panującą w stołówce, znajdować bezpieczne płycizny, gdzie nie porwą jej prądy dziewczęcej podłogi, ale jednocześnie nie będzie jej grozić utonięcie w słonych skalnych sadzawkach outsiderów i pariasów. Pamiętała czasy, kiedy to miało duże znaczenie. Czasami żałowała, że nie może znowu stać się dziewczyną, której zależało na takich rzeczach. Kiedy indziej była nie do opisania wdzięczna, że powrót jest niemożliwy.

Chłopcy, nie licząc Kade'a, siedzieli razem, dmuchając w mleko i śmiejąc się. Nie, oni nie. Jedna grupka utworzyła się wokół dziewczyny tak olśniewająco pięknej, że wzrok Nancy odmawiał skupienia się na jej twarzy. Inne kółko uformowało się wokół misy na poncz wypełnionej różowym płynem, który wszyscy ukradkiem pociągali. Żaden krąg nie wyglądał zachęcająco. Nancy rozejrzała się ponownie, aż znalazła jedyną bezpieczną przystań. Ruszyła w jej stronę.

Sumi siedziała naprzeciwko dwóch dziewczyn, które nie mogły bardziej się od siebie różnić... ani bardziej podobnych. Jej talerz był wypełniony po brzegi. Pokryte tłuszczem kawałki melona opadały kaskadą na pieczeń wołową umazaną dżemem. Na ten widok Nancy ścisnął się żołądek, ale postawiła swoje naczynie na stole, odchrząknęła i zadała rytualne pytanie:

– To miejsce jest zajęte?

– Sumi właśnie wyjaśniała, że jesteś najnudniejszą tekturową parodią dziewczyny, jaka chodziła po tym czy innym świecie, i że powinniśmy cię

żałować – odezwała się jedna z dwóch nieznanomych, poprawiając okulary i mierząc Nancy wzrokiem. – Wygląda na to, że jesteś osobą w moim typie. Siadaj, proszę, i pomóż nam wyjść z marazmu, który panuje przy tym stole.

– Dziękuję – powiedziała Nancy i usiadła.

Dziewczyny miały takie same twarze, ale wyglądały zupełnie inaczej. Zdumiewające, jak trochę kredki do oczu i spojrzenie spod opuszczonych powiek albo okulary w drucianych oprawkach i stalowy wzrok potrafiły przeobrazić identyczność w całkowitą odmienność i indywidualność. Obie miały długie blond włosy, piegi na nosie i wąskie ramiona. Jedna była ubrana w białą koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka, dzinsy i czarną kamizelkę, która jednocześnie sprawiała wrażenie staroświeckiej i wyprzedzającej trendy. Włosy związała z tyłu, prosto i wygodnie, a jedyną ozdobę stanowiła muszka w drobny wzór z symboli ostrzegających przed zagrożeniem biologicznym. Jej bliźniaczka nosiła powłóczystą różową suknię z głębokim dekoltem i zadziwiającą liczbą koronkowych wstawek. Włosy dziewczyny opadały luźno lokami wielkości puszek z zupą i były przewiązane z tyłu różową wstążką. Podobna wstążka służyła jako naszyjnik w formie opaski. Obie wyglądały na osiemnaście, dziewiętnaście lat, ale oczy miały dużo starsze.

– Jestem Jack, skrót od Jacqueline – przedstawiła się ta w okularach i wskazała siostrę całą w różach. – To jest Jill, skrót od Jillian. Naszym rodzicom powinno się zabronić nadawania imion swoim dzieciom. Ty jesteś Nancy.

– Tak. – potwierdziła Nancy, bo co innego mogłaby odpowiedzieć. – Miło was poznać.

Jill, która nie poruszyła się ani nie odezwała, odkąd Nancy podeszła do stołu, skierowała wzrok na jej talerz i zauważyła:

– Nie jesz dużo. Jesteś na diecie?

– Niezupełnie. Ja po prostu... – Nancy się zawahała, a potem pokręciła głową.

– Mam rozstrojony żołądek ze stresu i całej reszty.

– Jestem stresem czy całą resztą? – zapytała Sumi, podnosząc umazany dżemem kawałek mięsa i wsadzając go do ust. Żując, mówiła dalej: – Chyba mogę być jednym i drugim. Jestem elastyczna.

– Ja jestem na diecie – pochwaliła się Jill. Na jej talerzu leżały tylko niedosmażone paski pieczeni, niektóre tak czerwone i krwiste, że wyglądały jak surowe. – Jem mięso co drugi dzień, a szpinak przez resztę czasu. Moja krew jest tak bogata w żelazo, że można ustawiać według niej kompas.

– To... eee, bardzo miłe – wymamrotała Nancy, wzrokiem szukając pomocy u Sumi.

Przez całe życie znała dziewczyny na diecie. Krew bogata w żelazo rzadko, jeśli w ogóle, była ich celem. Większości chodziło o węższą talię, ładniejszą cerę

i bogatszych chłopaków, a napędzała je głęboko zakorzeniona nienawiść do samych siebie, którą im wpojono, zanim były w stanie zrozumieć, w jakich ruchomych piaskach się pogrążają.

Sumi przełknęła.

– Jack i Jill na górę się wdrapały, na rzeź popatrzeć chciały, na dół runęła Jill i rozbiła łeb, za nią sturlała się Jack.

Jack zrobiła zboląłą minę.

– Nie cierpię tego wierszyka.

– I to wcale się nie wydarzyło – dodała Jill. Odwróciła się do Nancy z szerokim uśmiechem. – Trafiłyśmy do bardzo ładnego miejsca, gdzie spotkałyśmy bardzo miłych ludzi, a oni bardzo nas pokochali. Ale był mały problem z miejscową policją, więc musiałyśmy wrócić na jakiś czas do tego świata, dla własnego bezpieczeństwa.

– Co ci mówiłam o nadużywaniu słowa „bardzo”? – rzuciła Jack znużonym tonem.

– Jack i Jill są bardzo głupimi, głupimi dziewczynami. – Sumi nabiła kawałek melona na widelec, aż tłuszcz z pieczeni przysnął na stół. – Myślą, że wrócą, ale wcale tak nie będzie. Tamte drzwi są teraz zamknięte. Nie można wejść do wysokiej Logiki ani do wysokiej Nikczemności, jeśli nie jest się niewinnym. Nikczemność nie chce ludzi, których nie może zepsuć.

– Nie rozumiem nic z tego, co mówicie – stwierdziła Nancy. – Logika? Nonsens? Nikczemność? Co to w ogóle znaczy?

– To kierunki albo coś w tym rodzaju – odpowiedziała Jack. Nachyliła się, przesunęła palcem wskazującym po mokrym kręgu zostawionym przez szklanę i narysowała krzyż na blacie stołu. – W tak zwanym „prawdziwym świecie” masz północ, południe, wschód i zachód, zgadza się? Ale one nie działają w większości światów portalowych, które udało się nam skatalogować, więc używamy innych słów. Nonsens. Logika, Nikczemność i Cnota. Istnieją też mniejsze podkierunki, niewielkie odgałęzienia, które mogą gdzieś prowadzić, choć nie muszą, ale te cztery są główne. Większość światów to albo wysoki Nonsens, albo wysoka Logika, a w swoje fundamenty mają wbudowane pewne stopnie Nikczemności albo Cnoty. Zaskakująca liczba światów Nonsensu jest Cnotliwa. Jest tak, jakby nie potrafiły osiągnąć koncentracji uwagi wystarczającej do czegoś bardziej podłego niż drobne nieposłuszeństwo.

Jill posłała Nancy spojrzenie z ukosa.

– Czy to pomogło?

– Niezupełnie. Nigdy nie sądziłam, że... No wiecie, czytałam „Alicję w Krainie Czarów”, gdy byłam dzieckiem, ale nigdy nie myślałam o tym, jak się czuła Alicja, kiedy wróciła do miejsca, od którego zaczęła podróż. Uznałam, że

po prostu wzruszyła ramionami i sobie odpuściła. Ale ja tak nie potrafię. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, jestem z powrotem w swoim prawdziwym łóżku, w swoim prawdziwym pokoju, a wszystko to jest snem.

– To już nie jest dom, tak? – podsunęła Jill łagodnym tonem, a kiedy Nancy pokręciła głową, mruganiem odpędzając łzy, sięgnęła przez stół i poklepała ją po ręce. – Będzie lepiej. Nigdy całkiem na luzie, ale zacnie boleć trochę mniej. Jak długo tam byłaś?

– Niecałe dwa miesiące.

Siedem tygodni, cztery dni, odkąd Pan Umarłych powiedział jej, że musi być pewna. Siedem tygodni, cztery dni, odkąd drzwi jej komnat otworzyły się do piwnicy, z której wyszła tak dawno temu, w domu, który, jak sądziła, opuściła na zawsze. Siedem tygodni, cztery dni, odkąd jej wrzask zaalarmował rodziców, tak że zbiegli po schodach i chwycili ją w niechciane objęcia, wykrzykując, jak bardzo się denerwowali, kiedy zniknęła.

Z ich perspektywy nie było jej sześć miesięcy. Jeden miesiąc na każde nasiono granatu, które kiedyś zjadła Persefona. Dla niej lata, miesiące dla nich. Oni nadal sądzili, że córka ufarbowała włosy. Nadal myśleli, że w końcu im powie, gdzie była.

Nadal myśleli wiele rzeczy.

– Będzie lepiej – powtórzyła Jill. – Dla nas to było półtora roku. Ale nie tracimy nadziei. Ja dbam o poziom żelaza. Jack ma swoje eksperymenty...

Jej siostra nic nie powiedziała. Po prostu wstała i odeszła od stołu, zostawiając niedojedzoną kolację.

– Nie sprzątam po tobie! – krzyknęła za nią Sumi z pełnymi ustami.

W końcu oczywiście to zrobiły. Naprawdę nie miały innego wyjścia.

Ciągnie swój do swego

Według tego, co rodzice mówili Nancy o szkole, jednym z wielkich atutów tego przybytku była obowiązkowa terapia grupowa. Jak najlepiej wyciągnąć córkę z dziwnej dziury, do której wpełzła, niż kazać jej siedzieć i rozmawiać z ludźmi mającymi za sobą podobne traumy, a wszystko to pod czujnym okiem profesjonalisty? Kiedy Nancy utonęła w objęciach wyściełanego fotela, otoczona przez nastolatków, którzy wiercili się, żuli włosy albo w milczeniu gapili się ponuro w przestrzeń, nie mogła się nie zastanawiać, co rodzice pomyśleliby o tej rzeczywistości.

I wtedy do pokoju weszła ośmiolatka.

Ubrana jak bibliotekarka w średnim wieku, w ołówkową spódnicę i białą bluzkę, obie o wiele dla niej za poważne. Włosy miała ściągnięte z tyłu w ciasny, surowy kok. Ogólny efekt był taki, jakby dziecko zabawiało się przebieraniem w rzeczy matki. Nancy usiadła prosto. W szkolnych broszurach wspomniano o przedziale wiekowym od dwunastu do dziewiętnastu lat, co obejmowało przedwcześnie dojrzałych i tych, którzy potrzebowali trochę czasu, żeby nadgonić. Nie było mowy o dzieciach poniżej dziesiątego roku życia.

Dziewczynka zatrzymała się na środku pokoju i przyjrzała wszystkim obecnym po kolei. Wiercipięty nieruchomiały jedna po drugiej, żujący włosy przestawali żuć, nawet Sumi, która robiła misterną kocią kołyskę z kawałka włóczki, bez słowa opuściła ręce. Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Tych, którzy są tutaj od jakiegoś czasu, witam na środowej wieczornej terapii. Dzisiaj będziemy rozmawiać z gośćmi wysokiej Nikczemności, ale jak zawsze dyskusja jest otwarta dla wszystkich. – Jej głos pasował do ciała. Ton był modulowany jak u dorosłej kobiety, ale wysoki i dziwny z powodu dziecięcych strun głosowych. Dziewczynka spojrzała na Nancy. – Jeśli chodzi o nowych, mam na imię Lundy i jestem licencjonowaną terapeutką ze specjalizacją w psychologii dziecięcej. Zamierzam wam pomóc przejść przez proces leczenia.

Nancy wytrzeszczyła oczy. Żadna inna reakcja nie przyszła jej do głowy.

Kiedy Lundy podeszła do ostatniego wolnego fotela, Kade nachylił się i szepnął do Nancy:

– Ona jest jedną z nas, tylko że trafiła do wysokiej Logiki, do wysokiej Nikczemności, z której wykopują gości w dniu ich osiemnastych urodzin. Ona nie chciała odejść, więc poprosiła jednego z miejscowych aptekarzy, żeby jej pomógł. To jest rezultat. Wieczne dzieciństwo.

– Nie wieczne, panie Bronson – poprawiła go Lundy ostrym tonem.

Kade usiadł prosto, wzruszył ramionami i zapadł się w fotelu. Terapeutka westchnęła.

– Dowiedziałyby się pani tego wszystkiego w czasie wprowadzenia, panno...

– Whitman.

– Panno Whitman. Jak mówiłam, dowiedziałyby się pani tego w czasie wprowadzenia, ale ja nie żyję w wiecznym dzieciństwie. Starzeję się na odwrót, z każdym miesiącem robię się o tydzień młodsza. Będę żyła bardzo, bardzo długo. Może dłużej, niż gdybym starzała się w zwykły sposób. Ale i tak mnie wyrzucili, bo złamałam zasady. Nigdy nie wyjdę za mąż ani nie będę mieć własnej rodziny, a moje córki nigdy nie znajdą drogi do drzwi, które kiedyś zaprowadziły mnie na Targ Goblinów. Poznałam więc niebezpieczeństwa wynikające z zawierania wymuszonych umów z faerie i teraz mogę służyć jako przestroga dla innych. Nadal jednak jestem waszą terapeutką. To zdumiewające, jakie stopnie można w tych czasach zdobyć przez Internet.

– Przepraszam – wyszeptała Nancy.

Lundy zbyła jej przeprosiny machnięciem ręki i usiadła.

– To nieważne, naprawdę. Wszyscy w końcu się dowiadują. No dobrze. Kto chce pierwszy zabrać głos?

Nancy siedziała w milczeniu, podczas gdy inni uczniowie mówili. Nie wszyscy. Trochę mniej niż połowa przebywała kiedyś w świecie znajdującym się po stronie kompasu zwanej Nikczemnością. A może tylko oni mieli ochotę się tym dzielić? Jill wyrecytowała beznamiętny pean na cześć wrzosowisk i smaganych wiatrem wzgórz, wśród których znalazła się razem z siostrą, a Jack jedynie wymamrotała coś o płonących wiatrakach i ważności zabezpieczeń przeciwpożarowych w laboratorium.

Dziewczyna o włosach koloru światła księżycowego padającego na pszenicę wpatrywała się w swoje ręce, kiedy mówiła o chłopcach ze szkła, których pocałunki raniły jej usta, ale ich serca były dobre i prawdziwe. Dziewczyna zbyt piękna, żeby patrzeć na nią bezpośrednio, powiedziała coś o Helenie Trojańskiej i połowa klasy się roześmiała, ale nie dlatego, że to było zabawne, tylko dlatego, że najbardziej ze wszystkiego pragnęli, by ta piękność ich lubiła.

Kade wygłosił krótką, gorzką przemowę o tym, że Nikczemność i Cnota to tylko etykiety i nic nie znaczą. Świat, w którym on był, oznaczano jako „Cnota” na wszystkich mapach, ale i tak go stamtąd wyrzucili, kiedy się zorientowali, kim on jest.

W końcu zapadła cisza i Nancy uświadomiła sobie, że wszyscy patrzą na nią. Skuliła się w fotelu.

– Nie wiem, czy miejsce, w którym się... znalazłam, było złe, czy nie – powiedziała. – Mnie nigdy nie wydawało się podłe. Zawsze wydawało mi się... dobre. Tak, były zasady, i tak, były kary, jeśli się je złamało, ale nigdy niesprawiedliwe, a Pan Umarłych dbał o wszystkich, którzy służyli na jego dworze. Nie sądzę, żeby ten świat był nikczemny.

– Ale jak możesz być tego pewna? – zapytała Sumi głosem łagodnym mimo lekko drwiącego tonu. – Nawet nie potrafisz właściwie wymówić „nikczemny”. Może był na wskroś zły, pełen wijących się robali i paskudztw, a ty nie potrafiłaś tego dostrzec. – Rzuciła spojrzenie z ukosa na Jill, niemal jakby sprawdzała jej reakcję. Jill, która wpatrywała się w Nancy, chyba tego nie zauważyła. – Nie powinnaś zamykać drzwi tylko dlatego, że nie podoba ci się to, co jest po drugiej stronie.

– Wiem, bo wiem – oświadczyła Nancy z uporem. – Nie trafiłam do żadnego złego miejsca. Trafiłam do domu.

– Właśnie o tym ludzie zapominają, kiedy zaczynają mówić o różnych rzeczach w kategoriach zła i dobra – odezwała się Jack i zerknęła na Lundy. Poprawiła okulary i mówiła dalej: – Dla nas miejsca, do których trafiliśmy, były domem. Nie obchodziło nas, czy są dobre, złe, neutralne czy inne. Obchodziło nas to, że po raz pierwszy nie musieliśmy udawać, że jesteśmy kimś, kim nie byliśmy. Po prostu byliśmy sobą. A to wielka różnica.

– I chyba na tym dzisiaj skończymy. – Lundy wstała. Nancy z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że gdzieś w połowie sesji zaczęła myśleć o tej małej dziewczynce jako o dorosłej kobiecie. Chodziło o jej postawę: zbyt dojrzałą jak na ciało, które zamieszkiwała, i o zbyt duże znużenie malujące się na twarzy. – Dziękuję wszystkim. Panno Whitman, zobaczmy się jutro rano na wprowadzeniu. Wszyscy pozostali, spotykamy się jutro wieczorem i porozmawiamy z tymi, którzy podróżowali do światów wysokiej Logiki. Pamiętajcie, że tylko dowiadując się o podróżach innych, możemy naprawdę zrozumieć własne.

– Och, cudownie – mruknęła Jack. – Uwielbiam siedzieć na krześle elektrycznym dwa wieczory z rzędu.

Lundy ją zignorowała i wyszła z pokoju. Gdy tylko zniknęła, w progu stanęła Eleanor, cała w uśmiechach.

– No dobrze, pora, by grzeczne małe dziewczynki i chłopcy poszli do łóżek. – Klasnęła w ręce. – Zmykajcie, moje racuszki. Słodkich snów. Starajcie się nie lunatykować i proszę, nie budźcie mnie o północy, próbując stworzyć portal w spiżarni na dole. To się nie uda.

Uczniowie wstali i opuścili salę, niektórzy parami, inni samotnie. Sumi wyszła przez okno, ale nikt nie skomentował jej zniknięcia.

Nancy wróciła do swojego pokoju i z zadowoleniem stwierdziła, że jest zalany blaskiem księżyca i wypełniony ciszą. Rozebrała się, włożyła białą koszulę nocną ze sterty ubrań, które dał jej Kade, i wyciągnęła się na łóżku, na kołdrze. Zamknęła oczy, zwolniła oddech i odpłynęła w słodki, nieruchomy sen. Jej pierwszy dzień się skończył, przed sobą miała przyszłość.

* * *

Wprowadzenie z Lundy następnego ranka okazało się dziwne, co najmniej. Odbywało się w małym pokoju, który kiedyś był gabinetem, zanim wypełniły go tablice i zapach kredy. Lundy stała na środku, z ręką opartą o składaną drabinkę na kółkach, którą przeciągała od tablicy do tablicy i wchodziła na nią, kiedy musiała pokazać jakiś skomplikowany wykres. Taka potrzeba pojawiała się z niepokojącą częstotliwością. Nancy siedziała nieruchomo na jedynym krześle w pokoju i kręciło się jej w głowie, kiedy starała się nadażyć.

Wyjaśnienia głównych kierunków, udzielane przez Lundy, były mniej pomocne niż te, które usłyszała od Jack, pełne wykresów oraz niedbałych uwag o pomniejszych kierunkach, jak Kaprys i Dicz. Nancy gryzła się w język, żeby nie zadawać pytań. Bardzo się bała, że nauczycielka spróbuje na nie odpowiedzieć, a wtedy jej głowa może eksplodować.

W końcu Lundy się zatrzymała i wyczekująco spojrzała na Nancy.

– No i? – rzuciła. – Ma pani jakieś pytania, panno Whitman?

Jakiś milion, a wszystkie jednocześnie pchały się jej na język, nawet takie, których Nancy wcale nie chciała zadawać. Wzięła głęboki wdech i zaczęła od tego, które wydawało się najłatwiejsze.

– Dlaczego jest o tyle więcej dziewczyn niż chłopców?

– Bo „chłopcy zawsze będą chłopcami”, jak głosi samospełniające się proroctwo – odparła Lundy. – Generalnie są zbyt głośni, żeby łatwo dało się ich przeoczyć albo o nich zapomnieć. Kiedy znikają z domu, rodzice wysyłają ekipy poszukiwawcze na bagna i nad stawy. To nie jest wrodzona reakcja, tylko wyuczona, ale chroni ich przed drzwiami, zatrzymuje bezpiecznie w domu. Nazwij to ironią, jeśli chcesz, ale przez tyle czasu czekamy, aż nasi chłopcy się

zawieruszą, że oni nigdy nie mają po temu okazji. Dostrzegamy ciszę mężczyzn. Polegamy na ciszy kobiet.

– Aha – mruknęła Nancy.

To miało sens na swój okropny sposób. Większość chłopców, których znała, była hałaśliwymi istotami, zachęcany przez rodziców i przyjaciół do tego, by robić wokół siebie szum. Nawet ci z natury cisi zmuszali się do hałasowania, żeby uniknąć drwin i krytyki. Ilu z nich mogłoby wejść do starej szafy albo do króliczej nory i po prostu zniknąć, nie wzbudzając tysiąca alarmów? Szybko zostaliby odnalezieni i zawleczeni z powrotem do domu, zanim dotarliby do pierwszego zaczarowanego lustra albo wspięli się na pierwszą zakazaną wieżę.

– Zawsze byliśmy otwarci na uczniów, tylko po prostu nie dostajemy ich wielu.

– Wszyscy tutaj... wydaje się, że wszyscy chcą wrócić. – Nancy zrobiła pauzę, zastanawiając się, jak sformułować następne pytanie. – Jak to jest, że wszyscy chcą wracać? Myślałam, że ludzie, który przeszli przez takie rzeczy, chcą po prostu odzyskać swoje stare życie i zapomnieć, że kiedyś poznali inne.

– To oczywiście nie jest jedyna szkoła. – Lundy uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie Nancy. – Myślałaś, że panna West mogłaby przygarnąć każde dziecko, które wpadło na obraz i odkryło magiczny świat po drugiej stronie? To się zdarza na całym świecie. Sama bariera językowa by to uniemożliwiła, podobnie jak koszty. Są dwie szkoły w Ameryce Północnej, ten kampus i siostrzana placówka w Maine. To tam trafiają uczniowie, którzy nienawidzili swoich podróży, żeby się nauczyć, jak żyć dalej. Jak zapomnieć.

– Więc my jesteśmy tutaj, żeby... co? – zapytała Nancy. – Nauczyć się, jak rozpamiętywać? Eleanor ubiera się, jakby nadal żyła po drugiej stronie lustra. Sumi jest... – Nie znalazła słowa na to, kim jest Sumi, więc umilkła.

– Sumi to klasyczny przykład kogoś, kto zaakceptował życie w świecie wysokiego Nonsensu – powiedziała Lundy. – Nie można winić jej za to, co on z nią zrobił, podobnie jak to nie twoja wina, że niemal przestajesz oddychać, kiedy nikt na ciebie nie patrzy. Ona będzie potrzebowała dużo pracy, zanim będzie gotowa znowu stawić czoło zewnętrznemu światu, i musi tego chcieć. Właśnie to decyduje, która szkoła jest dla was najlepsza: chęć. Chcesz wracać, więc trzymasz się zwyczajów, których nauczyłaś się w czasie podróży, bo to lepsze niż przyznać, że podróż się skończyła. Nie uczymy was, jak rozpamiętywać. Nie uczymy również, jak zapomnieć. Uczymy, jak pójść dalej.

Było jeszcze jedno pytanie, które należało zadać, ważniejsze i bardziej bolesne niż wszystkie poprzednie. Nancy na chwilę zacisnęła powieki, pogrążając się w bezruchu. Potem otworzyła oczy i spytała:

– Ilu z nas wróciło?

Lundy westchnęła.

– Każdy uczeń, z którym mam wprowadzenie, zadaje mi to pytanie. Odpowiedź brzmi, że nie wiemy. Niektórzy ludzie, jak Eleanor – jak ja – wciąż wracają, aż w końcu na dobre zostają w tym świecie albo w tym drugim. Inni odbywają podróż tylko raz w życiu. Jeśli rodzice postanowią cię zabrać albo ty postanowisz opuścić szkołę, nie będziemy mieli żadnego sposobu, by się dowiedzieć, co się z wami stało. Znam troje uczniów, którzy wrócili do światów, które opuścili. Dwa z nich były wysoką Logiką, oba Krainami Wrózek. Trzeci był wysokim Nonsensem. Podziemiem, jak to, które ty odwiedziłaś, choć nie tym samym. Do tamtego wchodziło się w czasie pełni przez specjalne lustro. Dziewczyna, którą straciliśmy z powodu tego świata, pojechała do domu na wakacje, a wtedy drzwi otworzyły się dla niej po raz drugi. Później dowiedzieliśmy się, że matka kiedyś również tam trafiła – był to portal pokoleniowy – i chciała oszczędzić córce bólu powrotu.

– Och – szepnęła Nancy.

– Jest szansa, panno Whitman, że dożyjesz swoich dni w tym świecie. Możesz opowiedzieć ludziom o swoich przygodach, kiedy już staną się odległe i kiedy mówienie o nich będzie bolało trochę mniej. Wielu z naszych absolwentów stwierdziło, że ten rodzaj dzielenia się jest zarówno katartyczny, jak i lukratywny. Ludzie uwielbiają dobrą fantazy. – Wyraz twarzy Lundy był smutny, ale życzliwy, jak u lekarza przekazującego fatalną diagnozę. – Nie twierdzę, że drzwi są zamknięte na zawsze, bo nie ma żadnej pewności. Ale powiem ci, że wtedy prawdopodobieństwo, że tam trafisz, było dla ciebie takie samo jak teraz. Mówi się, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Cóż, jest dużo bardziej prawdopodobne, że zostaniesz rażona piorunem ponownie, niż że znajdziesz drugie drzwi.

– Och – powtórzyła Nancy.

– Przykro mi. – Lundy uśmiechnęła się dziwnie promiennie. – Witamy w szkole, panno Whitman. Mamy nadzieję, że u nas poczujesz się lepiej.

Część II

Lustrzanymi oczami

Błyskawica całująca niebo

Budynek był za duży jak na liczbę jego mieszkańców, pełen pustych pokoi i cichych przestrzeni. Wydawało się jednak, że one wszystkie goszczą duchy uczniów próbujących – bez powodzenia – znaleźć drogę powrotną do światów, które ich odrzuciły, zatem Nancy uciekła na zewnątrz. Nienawidziła pośpiechu, ale słońce paliło tak mocno, że pobiegła w stroję najgęstszego zagajnika, jaki wypatrzyła, osłaniając oczy ramieniem. Wpadła w cień drzew, mruganiem odpędzając łzy spowodowane zarówno przez blask, jak i przerażenie. Oparła się plecami o stary dąb, osunęła na ziemię, ukryła twarz na kolanach i całkowicie znieruchomiała, płacząc.

– To trudne, co? – Głos należał do Jill, cichy, tęskny, pełen bolesnego zrozumienia.

Nancy uniosła głowę. Blondynka siedziała na korzeniu drzewa, jasnowładowa suknia była udrapowana wokół jej smukłej postaci, parasolka oparta na lewym ramieniu chroniła przed słońcem przesianym przez gałęzie. Tym razem opaska na szyi miała głęboki fioletowy kolor wina z czarnego bzu.

– Przepraszam – bąknęła Nancy, powolnym ruchem wycierając łzy. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

– To najbardziej cieniste miejsce na terenie posiadłości. Jestem pod wrażeniem. Mnie znalezienie go zajęło tygodnie. – Uśmiech Jill był miły. – Nie próbowałam cię stąd przepędzić. Po prostu miałam na myśli, że trudno jest przebywać w otoczeniu tych wszystkich ludzi, którzy trafili do swoich pastelowych światów jak ze snu, pełnych słońca i tęczy. Oni nas nie rozumieją.

– Uhm – mruknęła Nancy, patrząc na jej pastelową suknię.

Jill się roześmiała.

– Nie wkładam ich dlatego, że chcę pamiętać, gdzie byłam. Noszę je, bo Pan lubił mnie w jasnych kolorach. Wtedy lepiej było widać krew. Czy nie dlatego ty nosisz biel? Bo twój Pan lubił cię taką widzieć?

– Ja... – Nancy urwała. – On nie był moim Panem, tylko władcą i nauczycielem, i mnie kochał. Noszę się na czarno i biało, bo kolor jest zarezerwowany dla Pani Cieni i jej dworu. Chciałabym kiedyś do niego dołączyć, jeśli się sprawdzę, ale do tego czasu mam być posągiem, a posągi powinny wtapiać się w tło. Wyróżnianie się jest dla ludzi, którzy na to zasłużyli. – Dotknęła fioletowej wstążki we włosach, jedyne go koloru, na który zasłużyła, i spytała: – Ty miałaś... Pana?

– Tak. – Jasny uśmiech Jill mógłby zastąpić słońce. – Był dla mnie dobry. Dawał mi smakołyki i błyskotki, mówił, że jestem piękna, nawet kiedy nie czułam się dobrze. Jack cały czas spędzała zamknięta ze swoim rozkosznym doktorkiem, ucząc się rzeczy co najmniej niestosownych dla kobiety, ale ja mieszkałam w wysokich wieżach z Panem, a on nauczył mnie wielu pięknych rzeczy. Tylu pięknych, cudownych rzeczy.

– Przykro mi, że tutaj trafiłaś – powiedziała Nancy.

Uśmiech zniknął. Jill machnęła ręką, jakby próbowała odpędzić jej słowa.

– To nie jest na zawsze. Pan chciał się pozbyć Jack. Ona nie zasłużyła na to, co my mieliśmy. Dlatego tak wszystko zorganizował, że otworzyły się drzwi do naszego świata, a ja się potknęłam i niechcący przez nie wpadłam tuż za nią. Ale on znajdzie sposób, żeby znowu je dla mnie otworzyć. Zobaczysz. – Wstała, kręcąc parasolką. – Wybacz. Muszę iść.

Nie czekając na odpowiedź Nancy, odeszła szybkim krokiem.

– I właśnie dlatego, dzieci, czasami nie pozwalamy bliźniaczkom Addams chodzić między ludzi – odezwał się ktoś. Nancy spojrzała w górę. Kade, który siedział na jednym z wyższych konarów drzewa, pomachał do niej z ironiczną miną. – Cześć, Nancy z Krainy Czarów. Jeśli szukałaś odosobnionego miejsca, kiepsko wybrałaś.

– Nie sądziłam, że ktoś tutaj będzie – powiedziała Nancy.

– Bo w domu inne dzieciaki raczej ukrywały się w swoich pokojach zamiast biegać po dworze, tak? – Kade zamknął książkę. – Kłopot polega na tym, że jesteś w szkole dla tych, którzy nigdy nie nauczyli się dokonywać logicznych wyborów. Dlatego, gdy chcemy być sami, biegniemy do najwyższych drzew i najgłębszych dziur, a ponieważ jest ich ograniczona liczba, kończy się tak, że spędzamy dużo czasu razem. Widzę po twoim płaczu, że wprowadzenie nie poszło dobrze. Niech zgadnę. Lundy powiedziała ci o piorunie trafiającym dwa razy w to samo miejsce.

Nancy pokiwała głową. Nie odezwała się. Nie ufała własnemu głosowi.

– Ona ma rację, skoro twój świat cię wykopał.

– Nie wykopał mnie – zaprotestowała Nancy. Jednak mogła mówić, kiedy naprawdę musiała. – Zostałam odesłana, żeby czegoś się nauczyć, to wszystko. Wracam tam.

Kade tylko popatrzył na nią ze współczuciem.

– Pryzmat nigdy nie przyjmie mnie z powrotem – stwierdził. – Nie ma szans, to po prostu się nie wydarzy. Naruszyłem ich zasady, bo nie byłem tym, kim chcieli, żebym był, a ludzie, którzy prowadzą tamten konkretny cyrk, są bardzo czepialscy, jeśli chodzi o zasady. Ale Eleanor wracała mnóstwo razy. Jej drzwi nadal są otwarte.

– Jak... to znaczy, dlaczego...? – Nancy pokręciła głową. – Dlaczego przestała? Skoro jej drzwi nadal są otwarte, dlaczego jest tutaj, z nami, a nie tam, gdzie jej miejsce?

Kade przełożył nogi tak, że obie znalazły się po tej samej stronie gałęzi. Następnie zeskoczył z drzewa i lekko wylądował przed Nancy. Wyprostował się i powiedział:

– To było dawno temu, kiedy jej rodzice jeszcze żyli. Ona myślała, że może mieć wszystko, przenosić się tam i z powrotem, spędzać jak najwięcej czasu w swoim prawdziwym domu, nie łamiąc serca ojcu i matce. Ale zapomniała, że dorośli nie rozkwitają w Nonsense, nawet jeśli się w nim wychowali. Za każdym razem, kiedy tutaj wracała, stawała się trochę starsza. Aż pewnego dnia wróciła tam i to niemal ją załamało. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to musiało być? Jakby otworzyć drzwi, które powinny zaprowadzić cię do domu, i odkryć, że już nie możesz oddychać powietrzem.

– To brzmi strasznie – przyznała Nancy.

– I tak pewnie było. – Kade usiadł naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi nogami. – Oczywiście Eleanor spędziła dość czasu w Nonsense, żeby on ją zmienił. Spowolnił starzenie. Pewnie dlatego mogła to wszystko ciągnąć tak długo. Jack sprawdziła archiwa, kiedy ostatnim razem byliśmy na wycieczce w mieście, i odkryła, że Eleanor ma prawie sto lat. Zawsze oceniałem ją na sześćdziesiąt parę. Spytałem ją o to i wiesz, co mi odpowiedziała?

– Co? – Nancy była jednocześnie zafascynowana i przerażona. Czy Podziemie zmieniło coś więcej niż tylko jej włosy? Czy ona miała pozostać taka sama, nieśmiertelna i niezmienna, podczas gdy inni wokół niej będą się starzeć i umierać?

– Powiedziała, że po prostu czeka, aż stanie się otępią jak kiedyś jej ojciec i matka, bo wtedy znowu będzie w stanie tolerować Nonsens. Zamierza prowadzić tę szkołę, aż zapomni, dlaczego tam nie wraca, a kiedy wróci, będzie w stanie zostać. – Kade pokręcił głową. – Nie potrafię zdecydować, czy to geniusz, czy szaleństwo.

– Może po trochu jedno i drugie – podsunęła Nancy. – Ja zrobiłabym wszystko, żeby wrócić do domu.

– Większość uczniów też – rzekł z goryczą Kade.

Nancy się zawahała.

– Lundy powiedziała, że jest podobna szkoła dla tych, którzy nie chcą wracać. Dla ludzi, którzy chcą zapomnieć. Dlaczego zapisałeś się tutaj zamiast tam? Mógłbyś być szczęśliwszy.

– Ale widzisz, ja nie chcę zapomnieć. Chcę pamiętać Pryzmat bardziej niż cokolwiek innego. To, jak pachniało powietrze, jak brzmiała muzyka. Wszyscy grali na piszczalkach, nawet małe dzieci. Lekcje zaczynało się w wieku dwóch lat i to był inny sposób komunikacji. Można było przeprowadzić całą rozmowę bez odkładania instrumentu. Dorastałem tam, nawet jeśli skończyło się tak, że zostałem wyrzucony i musiałem robić wszystko od początku. Tam zrozumiałem, kim jestem. Pocałowałem dziewczynę o włosach koloru kapusty i oczach koloru skrzydełek ćmy, a ona też mnie pocałowała, i to było cudowne. To, że nie wróciłbym, nawet gdyby ktoś mi zapłacił, nie oznacza, że chcę zapomnieć choćby sekundę z tego, co mi się przydarzyło. Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym nie trafił do Pryzmatu.

– Och – mruknęła Nancy. To oczywiście miało sens, ale po prostu ona jeszcze nigdy nie patrzyła na swoje przeżycia pod tym kątem. Pokręciła głową. – To wszystko jest dużo bardziej skomplikowane, niż się spodziewałam.

– Co ty powiesz, księżniczko. – Kade wstał i podał jej rękę. – Chodźmy. Odprowadzę cię do szkoły.

Nancy się zawahała, ale potem ujęła wyciągniętą dłoń i pozwoliła, żeby Kade pomógł jej wstać.

– Dobrze.

– Jesteś ładna, kiedy się uśmiechasz – stwierdził Kade, prowadząc ją spomiędzy drzew w stronę głównego budynku.

Nancy nie wiedziała, jak na to zareagować, więc się nie odezwała.

* * *

Lekcje głównych przedmiotów prowadzone przez nauczycieli przywożonych z miasta, przez Lundy i samą pannę Eleanor, okazały się zaskakująco nudne. Nancy odnosiła niejasne wrażenie, że istniał wykaz tego, co było wymagane przez państwo, i wszyscy dostawali edukacyjny ekwiwalent zbilansowanego posiłku.

Przedmioty nieobowiązkowe były trochę lepsze: muzyka, sztuka i coś, co nazywało się „historia wielkiego kompasu”, a Nancy domyślała się, że chodzi o różne portalowe światy i ich wzajemne relacje. Z wahaniem rozważyła możliwości i dokonała wyboru. Może sylabus powie jej coś więcej o tym, gdzie znajduje się jej Podziemie.

Po przeczytaniu wstępnych rozdziałów podręcznika nadal miała mętlik w głowie. Najbardziej powszechnym kierunkiem były Nonsens zwykle połączony z Cnotą i Logika zwykle połączona z Nikczemnością. Zwariowany świat Sumi był wysokim Nonsensem. Pryzmat Kade'a był wysoką Logiką. Na podstawie tych informacji Nancy doszła do wniosku, że jej świat najprawdopodobniej jest Logiką. Podziemie miało stałe zasady i oczekiwano, że będą one przestrzegane. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego powinno się je uważać za Nikczemność tylko dlatego, że jest rządzone przez Władcę Umarłych. Cnota wydawała się bardziej prawdopodobna. Jej pierwsza prawdziwa lekcja miała się odbyć za dwa dni. Za dużo czekania. I zarazem bardzo krótka chwila.

Pod koniec pierwszego dnia Nancy była wyczerpana i miała wrażenie, że jej głowa jest przeładowana ponad wszelką rozsądną pojemność, zarówno przyziemnymi rzeczami, takimi jak matematyka i historia, jak i wciąż poszerzającym się słownictwem potrzebnym do rozmów z innymi uczniami. Jedna nieśmiała dziewczyna z brązowymi warkoczami i w okularach o grubych szklach wyznała, że jej świat znajduje się na złączeniu dwóch pomniejszych kierunków kompasu i jednocześnie jest wysokim Rymem i wysoką Linearnością. Nancy nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc nie powiedziała nic. Coraz częściej wydawało się, że to jest najbezpieczniejsze wyjście.

Kiedy Nancy weszła do pokoju, Sumi siedziała na swoim łóżku i wplatała kolorową wstążkę we włosy.

– Zmęczona jak sikorka na bachanaliach, duszku?

– Nie wiem, co masz na myśli, więc uznam, że chcesz, żebym potraktowała twoje pytanie dosłownie – odparła Nancy. – Tak. Jestem zmęczona. Idę do łóżka.

– Ely-Eleanor uprzedzała, że będziesz zmęczona – rzuciła Sumi. – Nowe dziewczyny zawsze są. Powiedziała, że możesz opuścić sesję dzisiaj wieczorem, ale żeby nie weszło ci to w zwyczaj. Słowa są ważną częścią procesu leczenia. Słowa, słowa, słowa. – Zmarszczyła nos. – Poprosiła mnie, żeby zapamiętała ich tak dużo, i wszystkie w takim porządku, w jakim ona je ułożyła, a wszystko dla ciebie. Ty wcale nie jesteś Nonsensem, prawda, duszku? Nie chciałabyś słuchać tylu słów, gdybyś była.

– Przepraszam. Nigdy nie mówiłam, że jestem z... miejsca takiego jak to, które ty odwiedziłaś.

– Założenia to pułapka, ale ty jesteś lepsza niż większość współlokatorek, które ona próbowała mi przydzielić. Zatrzymam cię. – Sumi wstała i ruszyła do drzwi. – Śpij dobrze, duszku. Zobaczymy się rano.

– Zaczekaj! – Nancy nie zamierzała się odzywać. To słowo samo wymknęło się jej z ust. Jej bezruch erodował. Ogarnęło ją przerażenie, że jeśli zostanie w tym okropnym, ruchomym świecie zbyt długo, nigdy nie będzie w stanie wrócić.

Sumi odwróciła się i przekrzywiła głowę.

– Czego znowu chcesz?

– Chciałam tylko wiedzieć... To znaczy zastanawiałam się... Ile masz lat?

– Aha. – Sumi znowu ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w progu. – Jestem starsza, niż na to wyglądam, młodsza, niż powinnam być. Moja skóra to zagadka nie do rozwiązania i nawet rezygnacja ze wszystkiego, co kocham, nie da mi odpowiedzi. Moje okno się zamyka, jeśli o to pytasz. Codziennie budzę się trochę bardziej linearna, trochę mnie zagubiona, i pewnego dnia będę jedną z tych kobiet, które mówią: „Miałam cudowny sen”. Serio. Dostatecznie stara, by wiedzieć, że zatracam się w procesie bycia znajdowaną. To chciałaś usłyszeć?

– Nie.

– Szkoda – skwitowała Sumi i wyszła z pokoju. Zamknęła za sobą drzwi.

Nancy rozebrała się, rzucając rzeczy na podłogę, i stanęła naga przed jedynym lustrem w pokoju. Światło elektryczne drażniło jej skórę. Nancy wyłączyła je i uśmiechnęła się, widząc, że jej odbicie zmieniło się w najczystszy marmur, w twardy, nieugięty kamień. Zastygła w bezruchu na prawie godzinę, aż w końcu poczuła, że mogłaby zasnąć, więc wśliznęła się naga pod kołdrę.

Obudziła się w pokoju zalanym blaskiem słonecznym i wypełnionym wrzaskiem.

Krzyki nie były niezwykłą rzeczą w Krainie Umarłych. Sztuką było odczytywanie ich znaczenia: rozkoszy, bólu, czystej nudy w obliczu nieczułej wieczności. Były też krzyki paniki i strachu. Nancy w jednej chwili wyskoczyła z łóżka, chwyciła koszulę nocną leżącą w nogach łóżka i wciągnęła ją przez głowę. Nie miała ochoty znaleźć się w być może niebezpiecznej sytuacji całkiem goła. Nie miała ochoty dokądkolwiek biec, ale wrzaski nadal rozbrzmiewały, więc uznała, że należy to zrobić.

Łóżko współlokatorki było puste. Myśl, że to ona może krzyczeć, przemknęła Nancy przez głowę, ale szybko została odrzucona. Sumi nie była wrzaskliwa. To ona była powodem, dla którego inni wrzeszczeli.

Grupka dziewczyn tłoczyła się na korytarzu, tworząc nieprzeniknioną ścianę z flaneli i jedwabiu. Nancy wepchnęła się pomiędzy nie i zatrzymała jak wryta. Był to bezruch tak absolutny, tak zupełny, że w innych okolicznościach poczułaby dumę. Tutaj wydawał się nie tyle całkowitą martwością, ile paralizem królika wywołanym widokiem węża.

Powodem krzyku była Sumi. Z zamkniętymi oczami siedziała bezwładnie pod ścianą. Nie oddychała, a jej dłonie – zręczne, nigdy bezczynne dłonie – zniknęły ucięte w nadgarstkach. Już nigdy nie miały zawiązać ani jednego węzła, utkać kociej kołyski z wełny. Ktoś je ukradł. Ktoś wszystko jej ukradł.

– Och – wyszeptała Nancy.

Jej głos podziałał jak kamień wrzucony do nieruchomego stawu, mały, ale tworzący falki, które dotykały wszystkiego na swojej drodze. Jedna z dziewczyn odwróciła się i pobiegła, wołając pannę Eleanor. Kolejna zaczęła szlochać, przyciskając plecy do ściany i osuwając się na podłogę, aż wyglądała jak okrutna parodia Sumi. Nancy pomyślała o tym, żeby kazać jej wstać, ale zrezygnowała. Co wiedziała o żalu w obliczu śmierci? Wszyscy martwi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkała, byli mili i niezbyt przejęci tym, że już nie mają materialnego ciała. Może Sumi znajdzie drogę do Podziemia i będzie mogła powiedzieć Panu Umarłych, że Nancy nadal próbuje zyskać pewność, żeby móc wrócić. Władca na pewno byłby zadowolony, gdyby usłyszał, że ona się stara.

Z opóźnieniem uświadomiła sobie, że sytuacja może wyglądać podejrzanie. Współlokatorka umiera tuż po jej przybyciu z Podziemia – może wszyscy uznaliby, że wołała martwych od żywych albo że uwagi Eleanor o tym, że się pozabijają, były ostrzeżeniami – ale ponieważ nie tknęła Sumi, uznała, że nie musi się martwić. Należało raczej martwić się o coś innego, na przykład o Eleanor, teraz śpiesząca korytarzem razem z dziewczyną, która po nią pobiegła, i z Lundy po drugiej stronie. Lundy miała na sobie babciną flanelową koszulę nocną i wałki we włosach. Powinno to wyglądać śmiesznie, ale wyglądało jedynie smutno.

Dziewczyny się rozstąpiły, żeby przepuścić pannę West. Eleanor zatrzymała się dwa kroki od Sumi, przyciskając dłoń do ust. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Och, moja biedna dziewczyno – wyszeptła, klękając i przyciskając palce do szyi uczennicy. Była to tylko formalność; Sumi nie żyła już od jakiegoś czasu. – Kto ci to zrobił? Kto mógł ci to zrobić?

Nancy wcale się nie zdziwiła, gdy kilka dziewczyn odwróciło się i na nią spojrzało. Była nowa; dotykana przez umarłych. Nie powiedziała im, że jest niewinna. Po prostu uniosła rękę, pokazując bladą, nieskazitelną skórę. W żadnym razie nie mogłaby tak dokładnie i niepostrzeżenie umyć ich w jednej ze wspólnych łazienek. Nawet w środku nocy dokładne szorowanie dłoni, żeby pozbyć się krwi spod paznokci, przyciągnęłoby uwagę.

– Zostawcie w spokoju biedną Nancy, ona tego nie zrobiła – rzekła Eleanor. Wytarła łzy i wyciągnęła rękę do Lundy, a ona pomogła jej wstać. – Żadna córka Podziemia nie zabiłaby kogoś, kto nie zasłużył na miejsce w tych świętych komnatach, prawda, Nancy? Ona mogłaby zostać morderczynią któregoś dnia, ale nie po dwóch dniach znajomości. – Jej ton był pełen smutku, ale jednocześnie rzeczowy, jakby zagrożenia, że Nancy może kiedyś zacząć kosić swoje koleżanki jak zboże, nie uważała za realne.

Nancy uważała, że tu i teraz rzeczywiście go nie ma. Patrzyła tępo, jak Lundy bierze skądś prześcieradło – z szafy z bielizną, w takim wielkim domu musiały być szafy z bielizną – i nakrywa ciało Sumi. Krew z kikutów przesączała się przez

materiał niemal od razu, ale widok i tak był lepszy niż nieruchoma dziewczyna ze wstążkami we włosach.

– Co się stało?

Nancy spojrzała w bok. Obok niej pojawiła się Jack. Kołnierzyk koszuli miała rozpięty, muszka wisiła niezawiązana. Ona sama wyglądała na niedokończoną.

– Jeśli nie wiesz, co się stało, to skąd się tu wzięłaś? – Nancy przyszło do głowy, że nie ma pojęcia, gdzie jest pokój Jack, więc się poprawiła. – Chyba że to twój korytarz.

– Nie, Jill i ja mieszkamy w suterenie. Tam jest nam wygodniej, zważywszy na wszystko. – Poprawiła okulary i spojrzała na czerwone plamy na prześcieradle. – To krew. Kto jest pod spodem?

Dziewczyna z brązowymi warkoczami ze świata Rymu i Linearności odwróciła się i łypnęła na Jack. W jej wzroku była tak czysta nienawiść, że Nancy mimo woli zrobiła krok do tyłu.

– Jakbyś nie wiedziała, morderczynie – wyrzuciła z siebie dziewczyna. – Ty to zrobiłaś, prawda? To samo stało się ze świnką morską Angeli. Nie potrafisz utrzymać rąk i skalpeli przy sobie.

– Mówiłam ci, że to było kulturowe nieporozumienie – oświadczyła Jack. – Świnka znajdowała się w części wspólnej, więc pomyślałam, że może ją wziąć każdy, kto chce.

– To było zwierzątko domowe – warknęła tamta.

Jack bezradnie wzruszyła ramionami.

– Zaproponowałam, że poskładam ją z powrotem. Angela odmówiła.

– Nowa dziewczyno. – Głos należał do Kade'a. Nancy obejrzała się i zobaczyła, że chłopiec głową wskazuje jej pokój. – Może weźmiesz tę Addams i pokażesz jej swoją sypialnię? Ja spróbuję przechwycić drugą, zanim się pojawi i narobi kłopotów.

– Wszystko, żeby uniknąć gniewnego tłumu z pochodniami – rzuciła Jack i ścisnęła rękę Nancy. – Pokaż mi swój pokój.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. Nancy nie zaprotestowała. W tych okolicznościach zabranie podejrzanej z oczu i być może z serc wydawało się ważniejsze niż zmuszanie Jack, żeby grzecznie poprosiła. Nancy pociągnęła ją do drzwi, nadal szeroko otwartych po tym, jak przez nie wypadła.

Jack puściła jej dłoń, gdy tylko znalazły się w środku. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i wytarła palce. Jej policzki poczerwieniały, kiedy zobaczyła zaskoczone spojrzenie Nancy.

– Może trudno w to uwierzyć, ale żadna z nas nie wyszła z naszych podróży bez szwanku, nawet ja – wyjaśniła. – Może za dużo wiem o świecie natury i jego licznych cudach. Wiele z tych cudów niczego nie pragnęłoby bardziej niż stopić

twoją skórę. Wszyscy ci ludzie w swoich strasznych laboratoriach wieszający na drutach martwe ciała? To dlatego zwykle noszą rękawiczki.

– Nie do końca rozumiem, jak wyglądał świat, do którego trafiłaś – powiedziała Nancy. – Ten Sumi był cały cukierkowy i w ogóle nie miał sensu, Kade poszedł na wojnę czy coś w tym rodzaju, ale świat, który ty opisujesz, i świat, który opisuje Jill, jakoś do siebie nie pasują.

– Bo wcale do siebie nie pasowały, choć są tym samym miejscem – odparła Jack. – Nasi rodzice byli... powiedzmy „apodyktyczni”. Z rodzaju tych, którzy zawsze chcą, żeby wszystko było poukładane. Chyba bardziej niż my same nienawidzili tego, że jesteśmy identycznymi bliźniaczkami.

– Ale wasze imiona...

Jack wzruszyła ramionami i schowała chusteczkę do kieszeni.

– Nie tyle byli wkurzeni, ile bardzo nie chcieli przepuścić okazji, żeby zrobić z naszego życia piekło. Rodzice są wyjątkowi pod tym względem. Z jakiegoś powodu spodziewali się chłopców albo może Świętego Graala błyskawicznej rodziny nuklearnej, czyli chłopca i dziewczynki. Zamiast tego dostali nas. Widziałaś kiedyś parę perfekcjonistów próbujących zdecydować, które z ich identycznych dzieci jest „tym mądrym”, a które „tym ładnym”? To byłoby nawet zabawne, gdyby stawką w tej grze nie było nasze życie.

Nancy zmarszczyła brwi.

– Wyglądasz tak samo jak twoja siostra. Jak mogli myśleć, że tylko ona jest ładna, zamiast dostrzec, że obie jesteście śliczne?

– Och, Jill wcale nie była tą ładną. Musiała być tą mądrą i spełnić ich oczekiwania. To ja byłam ładna. – Uśmiech Jack był szybki, krzywy i drwiący. – Jeśli obie prosiłyśmy o lego, ona dostawała naukowców i dinozaury, a ja kwiaciarnię. Jeśli obie prosiłyśmy o buty, ona dostawała trampki, ja baleriny. Oczywiście nigdy nas nie pytali. Moje włosy łatwiej się czesało, kiedy byłyśmy małe, pewnie dlatego, że ona miała na swoich dżem, i – bum! – role zostały przydzielone. Nie mogłyśmy od nich uciec. Aż pewnego dnia otworzyłyśmy stary kufer i znalazłyśmy w środku schody.

Ton Jack stał się nieobecny. Nancy nie ruszała się i nic nie mówiła. Ledwo śmiała oddychać. Jeśli chciała usłyszeć tę historię, nie mogła przerywać. Coś w sposobie, w jaki Jack wpatrywała się w ścianę, mówiło, że to będzie jej jedyna szansa.

– Zeszłyśmy po tajemniczych schodach. Których oczywiście nie mogło tam być. Kto nie zszedłby po niemożliwych schodach, które znalazł na dnie kufra? Miałyśmy po dwanaście lat. Byłyśmy ostrożne i złe na naszych rodziców, złe na siebie nawzajem. – Jack zawiązała muszkę szybkimi, wściekłymi ruchami. – Zeszłyśmy na dół i na dnie zobaczyłyśmy drzwi. A na nich napis. Dwa słowa.

„Bądź pewny”. Pewny czego? Miałyśmy po dwanaście lat, nie byłyśmy pewne niczego. Więc przez nie przeszłyśmy. Znalazłyśmy się na ciągnącym się w nieskończoność wrzosowisku, między górami a wzburzonym morzem. I to niebo! Nigdy wcześniej nie widziałam tylu gwiazd ani takiego czerwonego księżyca. Drzwi zatrzasnęły się za nami. Nie mogłyśmy wrócić, nawet gdybyśmy chciały, a nie chciałyśmy. Miałyśmy po dwanaście lat. Zamierzałyśmy przeżyć przygodę, nawet gdyby miała nas zabić.

– I przeżyłyście? – zapytała Nancy. – To znaczy przygodę.

– Jasne – odparła Jack posępnie. – Ona nas nie zabiła. W każdym razie na dobre. Ale zmieniła wszystko. W końcu to ja stałam się tą mądrą. Doktor Bleak nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o ludzkim ciele, o rekombinacji i ożywianiu tkanek. Twierdził, że jestem jego najlepszą uczennicą. Że mam niewiarygodnie utalentowane ręce. – Jack spojrzała na swoje palce, jakby widziała je po raz pierwszy. – Jill poszła w innym kierunku. Świat, do którego trafiłyśmy, był... feudalny, prawie, podzielony na wsie, wrzosowiska i protektoraty, z panami i paniami dzierżącymi nad nimi władzę. Nasz Pan był pijawką. Stary jak świat, miał upodobanie do małych dziewczynek. Nawet doktora Bleaka uważał za dziecko. Ale potrzebował krwi, żeby przeżyć. Złożył Jill mnóstwo obietnic. Mówił jej, że może pewnego dnia zostać jego córką i rządzić u jego boku. Domyślałam się, że dlatego tak się o nas troszczono. Kiedy wieśniacy pomaszerowali na zamek, wysłał moją siostrę, żeby ukryła się ze mną w laboratorium. Doktor Bleak powiedział... on... ee, powiedział, że przebywanie tam jest dla nas zbyt niebezpieczne, więc otworzył portal. Żadna z nas nie chciała odchodzić, ale ja rozumiałam, że to konieczne. Obiecałam, że zostanę naukowcem, nieważne, co się wydarzy, i że pewnego dnia znajdę drogę powrotną do niego. Jill... ją musiał uspić. Znalazłyśmy się z powrotem w starym kufrze z niedomkniętym wiekiem, a schody zniknęły. Od tamtej pory szukam sposobu, żebyśmy obie mogły wrócić.

– Och – szepnęła Nancy.

Jack znowu uśmiechnęła się krzywo.

– Spędzenie pięciu lat na praktyce u szalonego naukowca trochę zmienia spojrzenie na świat. Wiem, że Kade nienawidzi tego, że musiał dwa razy przejść okres dojrzewania. Uważa, że to niesprawiedliwe, a ja sądzę, że dla niego rzeczywiście tak. Dysforia płciowa to forma tortury. Ale chciałabym, żebyśmy dostały takie same karty. Miałyśmy po dwanaście lat, kiedy weszłyśmy do kufra. Po siedemnaście, kiedy z niego wyszłyśmy. Może potrafiłybyśmy przystosować się do tego głupiego, kolorowego, ograniczonego świata, gdybyśmy obudziły się ze wspólnego snu i trafiły prosto do szkoły. Zamiast tego zeszyłyśmy na parter i znalazłyśmy naszych rodziców jedzących kolację z naszym czteroletnim bratem,

któremu przez całe życie mówiono, że nie żyjemy. Nie, że zaginęliśmy. To byłoby kłopotliwe. Boże broń, żebyśmy kiedyś narobiły kłopotów.

– Jak długo tu jesteś? – zapytała Nancy.

– Prawie rok. Najdrożsi mamusia i tatuś wsadzili nas do autobusu i wyprawili do szkoły z internatem miesiąc po naszym powrocie do domu. Nie mogli znieść tego, że jesteśmy pod jednym dachem z ich drogocennym synkiem, który nie opowiadał szalonych historii o tym, jak błyskawica zygzakuje z nieba i wrzuca pięknego trupa prosto do krainy żywych. – Jej oczy zrobiły się łagodne i senne. – Myślę, że panowały tam inne zasady. Nauka była najważniejsza, ale magiczna. Nie interesowało jej, czy coś jest możliwe. Chodziło o to, czy należy coś zrobić, a odpowiedź zawsze brzmiała: tak.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nancy i Jack odwróciły się i zobaczyły, że Kade wsadza głowę do środka.

– Tłum się rozproszył, ale muszę spytać. Jack, zabiłaś Sumi?

– Nie obrażają mnie twoje podejrzenia, tylko sugestia, że mogłabym zabić dla dłoni. – Jack prychnęła, prostując plecy. Nagle wydała się władcza, a Nancy uświadomiła sobie, do jakiego stopnia jej wyższość była tylko pozą, czymś, co trzymało świat na dystans. – Gdybym zabiła Sumi, nie byłoby żadnego ciała. Każdy jej skrawek dobrze bym wykorzystała, a ludzie latami by się zastanawiali, czy w końcu udało się jej otworzyć drzwi do Krainy Słodocy. Niestety nie zabiłam jej.

– Ona nazywała to Krainą Cukierków, a nie Słodocy, ale wszystko jasne. –

Kade wszedł do pokoju. – Serafina i Lorieł zabrały Jill w jakieś cichsze miejsce, a my zaczekamy, aż wszyscy się uspokoją. Mamy zostać w naszych pokojach i się nie pokazywać, a Eleanor wezwie koronera.

Nancy zeszywniała.

– Co teraz się z nami stanie? Nie odeślą nas chyba, co?

Nie mogła wrócić. Rodzice ją kochali, bez wątpienia, ale ich miłość była tego rodzaju, że wypełniała jej walizkę kolorami i próbowała umawiać na randki z miejscowymi chłopcami. Ich miłość chciała ją naprawić i nie dostrzegała, że ona nie jest popsuta.

– Eleanor jest tutaj od dawna. – Kade zamknął drzwi. – Sumi była jej podopieczną, więc w sprawę nie wmieszają się żadni rodzice, a miejscowe władze wiedzą, co i jak. Zrobią wszystko, żeby nie zamknęli szkoły.

– Byłoby lepiej, żeby w ogóle nikogo nie wzywała – wyburczała Jack. – Niezgłoszona śmierć to tylko zniknięcie w niedzielnym ubraniu.

– Widzisz, to właśnie takie odzywki tłumaczą, dlaczego nie masz wielu przyjaciół – zauważył Kade.

– Ale Sumi do nich należała – odparowała Jack. Spojrzała na drugą stronę pokoju. – Skoro ona nie ma rodziny, co zrobimy z jej rzeczami?

– Na poddaszu jest miejsce – rzucił Kade.

– Więc spakujmy je – zaproponowała Nancy zdecydowanym tonem. – Gdzie znajdziemy jakieś pudła?

– W piwnicy – odpowiedziała Jack.

– Pójdę z tobą – oznajmił Kade. – Nancy, ty tutaj zostaniesz. Jeśli ktoś spyta, zaraz wrócimy.

– Dobrze – zgodziła się Nancy i znieruchomiała od razu po ich wyjściu.

Nie pozostawało jej nic innego jak czekać. W bezruchu była błogość, której nie znalazłoby się nigdzie indziej w tym gorącym, szybkim, okropnym świecie. Nancy zamknęła oczy i oddychała głęboko, żeby uczynić brak ruchu jedynym, co się liczyło. W koncentracji przeszkadzały jej obrazy Sumi, utrudniały powstrzymywanie kolan od drżenia, palców od zginania się. Nancy odpędziła od siebie te wizje i próbowała odzyskać spokój.

Nadal nie udało się jej go znaleźć, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i Kade ogłosił:

– Jesteśmy gotowi spakować świat do pudeł!

Nancy otworzyła oczy i zmusiła się do uśmiechu.

– Więc bierzmy się do pracy – powiedziała.

Rzeczy Sumi były tak pomieszane i chaotyczne jak ona sama. Bez ładu i składu walały się na jej łóżku i w komodzie. Stos książek o wyrobie cukierków był przewiązany dwoma stanikami sportowymi. Bukiet róż z kart do gry leżał pod łóżkiem obok falbaniastej niebieskiej sukienki, w którą Sumi raczej nigdy by się nie wystroiła, i kanapki z wołowiną przeterminowaną o dobry miesiąc. Zanim wzięli się do pracy, Jack wciągnęła na dłonie rękawiczki, więc bez skargi pozbywała się wszelkiego zabrudzonego albo biologicznie wątpliwego materiału; najwyraźniej przesadna wrażliwość dotyczyła tylko jej nagiej skóry. Kade przejrzał ubrania Sumi, złożył je starannie i schował do pudła. Nancy była pewna, że wszystkie trafią z powrotem do jego wielkiej grupowej szafy. Nie miała nic przeciwko temu. Sumi też by to nie przeszkadzało, gdyby żyła. Martwej tym bardziej.

Nancy przypadło zadanie posegregowania reszty rzeczy, które nie były ani śmieciami, ani tkaninami. Wydobyła spod łóżka pudła z papierem do origami i nićmi do haftowania – Sumi najwyraźniej zawsze dobrze sobie radziła z pracami ręcznymi – odsunęła je na bok i dalej kopała. Jej badawcze dłonie trafiły na pudełko po butach. Wyciągnęła je, usiadła i otworzyła wieczko. Na podłogę wysypały się zdjęcia. Niektóre przedstawiały Sumi taką, jaka była w czasie ich nazbyt krótkiej znajomości, w źle dobranym ubraniu i z potarganymi kucykami.

Inne ukazywały poważną, smutnooką uczennicę w szkolnym mundurku, czasami ze skrzypcami, kiedy indziej z pustymi rękami. Z samych fotografii wynikało, że ta dziewczyna rozumiała zalety tego, że jest niedostrzegana, że jest posągiem, choć nie wybrała bezruchu tak jak Nancy. On został jej narzucony do czasu, aż znajdzie drzwi prowadzące do świata, w którym miałyby szansę być szczęśliwa.

Nancy uświadomiła sobie, że wnuczka Sumi nigdy nie odwiedzi grobu farmera, i dużego wysiłku wymagało od niej powstrzymanie się od płaczu nad tą nieodwracalną stratą. Sumi mogła pójść do Krainy Umarłych, mogła nawet być tam szczęśliwa, ale wszystkie rzeczy, które robiłaby wśród żywych, stały się niemożliwe, gdy jej serce przestało bić. Śmierć była cenna, co nie zmieniało faktu, że życie jest ograniczone.

– Biedny dzieciak. – Kade pochylił się i wyjął zdjęcie z nieruchomych palców Nancy. Patrzył na nie przez chwilę, a potem wsunął do kieszeni koszuli. – Zabierzmy stąd te rzeczy. Nie powinnaś na nie patrzeć, kiedy jej już nie ma.

– Dziękuję – powiedziała Nancy szczerze. Zdjęcia uświadomiły jej, że Sumi naprawdę odeszła. I to było niesprawiedliwe.

Przeniesienie całego dobytku Sumi na strych, ustawienie pudeł na nieużywanych półkach i upchnięcie w zakurzonych zakamarkach, których tam nie brakowało, zajęło całej trójce niecałą godzinę. Gdy skończyli, Jack zdjęła rękawiczki i zaczęła starannie wycierać palce świeżą chusteczką. Kade wyjął zdjęcie z kieszeni i przykleił je na tablicy z ogłoszeniami obok fotografii Sumi takiej, jaką знаła Nancy: z promiennym wzrokiem i jeszcze bardziej promiennym uśmiechem, z dłońmi lekko rozmazanymi, jakby zostały uchwycone w ruchu.

– Zostanę dzisiaj z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu – zaproponował Kade. – Nie powinnaś spać tam sama. To może być niebezpieczne.

– Ja nie zostanę u ciebie na noc, czy masz coś przeciwko temu, czy nie – oznajmiła Jack. – W twoim pokoju jest za dużo słońca, a Jill ma skłonność do lunatykowania, kiedy mnie przy niej nie ma.

– Nie powinnaś zostawiać jej sama – potwierdził Kade. – Uważaj na siebie, dobrze? Dużo ludzi szuka winnego, a ty jesteś najlepszym kozłem ofiarnym w szkole.

– Zawsze chciałam być w czymś najlepsza – skwitowała Jack filozoficznie.

– Świetnie. A teraz lepiej idźmy na sesję, zanim dostaniemy od Lundy wykład na temat punktualności.

Wyszli rządkiem z poddasza. Nancy obejrzała się na zdjęcie Sumi przypięte do tablicy, takie spokojne, takie nieruchome. Potem zgasiła światło i zamknęła drzwi.

Ocaleli, na razie

Poranne lekcje odwołano. Odbyły się dopiero po lunchu. Może za wcześnie, ale wydawało się, że to będzie najlepsza rzecz w szkole pełnej zdenerwowanych uczniów: rutyna mogła powstrzymać ich przed zamartwianiem się śmiercią koleżanki. Była to jednak rutyna wymuszona i pełna napięcia. Zapomniano o pracach domowych, pytania wypisane na tablicach pozostały bez odpowiedzi, nawet nauczyciele wyraźnie woleliby znajdować się w jakimś innym miejscu. Gdy ktoś umiera, powrót do normalności nigdy nie jest łatwy. Po brutalnym morderstwie wszystko mogło się wydarzyć.

Kolacja okazała się jeszcze gorsza niż lekcje. Nancy siedziała naprzeciwko bliźniaczk, kiedy dziewczyna z brązowymi warkoczami podeszła do stołu i wylała zupę na głowę Jack.

– Ups – powiedziała bez emocji. – Potknęłam się.

Jack siedziała bez ruchu, podczas gdy zupa ściekała jej z czoła i płynęła po nosie. Jill zerwała się z krzesła i wrzasnęła:

– Lorie! – Jej krzyk sprawił, że raptownie ucichły wszystkie rozmowy w sali. – Jak mogłaś?

– To było niechcący – oświadczyła Lorie. – Tak jak twoja siostra „niechcący” rozplatała świnę morską Angeli i „niechcący” zamordowała Sumi. Wiesz, że zostanie złapana. Poszłoby szybciej, gdyby się przyznała.

– Lorie kichnęła, zanim wylała na ciebie zupę – odezwała się jej towarzyszą z wyrazem fałszywej troski na twarzy. – Tak sobie pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć.

Jack zaczęła drzeć. Potem, nadal ociekając zupą, zerwała się od stołu i rzuciła do drzwi. Jill pobiegła za nią. Połowa uczniów wybuchła śmiechem. Druga połowa patrzyła za nimi z niemą satysfakcją, najwyraźniej uważając wszystko, co robiła Jack, za żałosne. Ona już została osądzona i uznana za winną przez ławę przysięgłych złożoną z rówieśników. Prawu pozostało jedynie się dostosować.

– Jesteście obrzydliwe.

Nancy była tylko trochę zaskoczona, kiedy sobie uświadomiła, że to jej głos. Odsunęła krzesło, zostawiając kolację złożoną z winogron i wiejskiego serka prawie nietkniętą, i spiorunowała wzrokiem obie dziewczyny.

– Jesteście potwornymi ludźmi. Cieszę się, że nie przeszliśmy przez te same drzwi, bo nie chciałabym podróżować przez świat, który nie nauczył swoich turystów żadnych manier.

Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie z wysoko uniesioną głową, podążając za śladem z zupy przez całą jadalnię i korytarz aż do piwnicznych schodów.

– Chodzisz wolno, ale przemieszczasz się szybko. Jak to robisz? – Kade dogonił ją na szczycie schodów i podążył za jej spojrzeniem w ciemność. –

Właśnie tam mieszkają bliźniaczki Addams. Przez jakiś czas zajmowały twój pokój, aż dzieciak, który miał dla siebie piwnicę, skończył szkołę.

– Był w tym samym świecie?

– Nie, odwiedził rasę ludzi kretów. Chyba zrozumiał, że lubi słońce i kąpiele, więc zrezygnował z pomysłu, żeby tam wrócić.

– Aha. – Nancy ostrożnie zrobiła krok w dół. – Wszystko będzie z nią dobrze?

– Jack nie lubi być brudna. Mają własną łazienkę. Będzie wykąpana i z powrotem w swoim nieco chorobliwym stanie, zanim sesja się skończy. – Kade pokręcił głową. – Mam tylko nadzieję, że nie zrobi się gorzej. Jack poradzi sobie z odrobiną zupy, skoro pracowała dla szalonego naukowca. Dla niej gniew miejscowych był częścią codziennej pracy. Ale jeśli ludzie tutaj staną się agresywni, ona zacznie walczyć i w ten sposób udowodni, że oskarżając ją, mieli rację.

– To okropne – stwierdziła Nancy. – Pozwoliłam, żeby rodzice mnie tutaj przysłali, bo panna West zapewniała, że rozumie, co mi się przydarzyło, i pomoże mi nauczyć się z tym żyć.

– A ty miałaś nadzieję, że jeśli wszystko zrozumiesz, będziesz mogła znowu to zrobić – zauważył Kade, a kiedy Nancy się nie odezwała, zaśmiał się ze smutkiem. – Hej, w porządku. Rozumiem. Większość z nas jest tutaj, bo chce otwierać drzwi na życzenie, przynajmniej z początku. Czasami to pragnienie mija. Czasami drzwi wracają. Czasami po prostu musimy pogodzić się z tym, że jesteśmy wygnancami w naszych własnych krajach.

– A jeśli nie potrafimy? – spytała Nancy. – Co wtedy się z nami dzieje?

Kade milczał przez dłuższą chwilę. Potem wzruszył ramionami.

– Chyba otwieramy szkoły dla ludzi, którzy nadal mają to, czego pragniemy najbardziej na świecie. Nadzieję.

– Sumi powiedziała, że „nadzieja” to złe słowo.

– Sumi się nie myliła. No, chodźmy na sesję, zanim wpadniemy w tarapaty.

Idąc w milczeniu korytarzami, widzieli, że w pokojach, które mijali, nikogo nie ma. Świadomość, że trzymanie się razem jest jedynym sposobem, by być bezpiecznym, utrwaliła się z nadzwyczajną szybkością. Nancy przyłapała się na tym, że wydłuża krok, by dostosować się do tempa Kade'a i za nim nadążyć. Nie lubiła się śpieszyć. To było w złym guście i w do... w Podziemiu skończyłoby się naganą. Tutaj jednak okazało się konieczne, a nawet pożądane, więc nie miała powodu czuć się winna. Starła się trzymać tej myśli, kiedy razem z Kade'em wchodzili do pokoju, w którym odbywała się sesja.

Wszyscy odwrócili się i na nich spojrzeli. Loriel uśmiechnęła się szyderczo.

– Nie daliście rady wyciągnąć naszej małej kilerki z piwnicy?

– Dość tego, panno Youngers – skarciła ją ostro Lundy. – Uzgodniliśmy, że przestaniemy spekulować, kto mógł zrobić krzywdę Sumi.

Ona teraz ma tylko imię, a nie tytuł czy nazwisko, pomyślała Nancy. To nie w porządku. Martwi zasługują na więcej godności, a nie mniej. Godność to wszystko, co mają.

Ruszyła do pustego fotela i usiadła. Ucieszyła się, kiedy Kade zajął miejsce obok niej. Loriel łypnęła na nią gniewnie. Najwyraźniej nie tylko Nancy uważała go za pięknego, choć byłaby gotowa się założyć, że jest jedyną, która podziwia jego urodę bardziej w kategoriach estetycznych niż romantycznych.

– Pani uzgodniła – odparowała Loriel. – Reszta z nas się boi. Kto mógł ją zabić? A potem jeszcze okaleczyć ciało? Mamy prawo wiedzieć, co się dzieje i jak zadbać o swoje bezpieczeństwo!

– Zważywszy na bałagan, jestem pewna, że ona wykrwawiła się z powodu ran – stwierdziła Jack. – Umarli nie krwawią tak mocno.

Wszyscy obecni popatrzyli na bliźniaczki stojące w progu, wyszorowane i w czystych ubraniach. Jack w tweedowej kamizelce i koszuli z długimi rękawami zapiętymi na guziki bardziej niż kiedykolwiek wyglądała na niedzisiejszą profesorkę. Jill miała na sobie kremową suknię, którą Nancy wzięłaby raczej za koszulę nocną niż za strój odpowiedni na terapię grupową.

– Ten, kto ją zabił, nie był naukowcem.

– Co masz na myśli? – zapytał jeden z nielicznych chłopców, wysoki Latynos, który obracał między palcami długi kawałek drewna wyrzeźbiony tak, że przypominał kość łokciową.

Nancy poczuła z nim dziwną więź, kiedy na niego spojrzała. Może on też był w miejscu takim jak jej Podziemie, pełne cieni, sekretów i bezpieczeństwa. Może zrozumiałby, gdyby do niego podeszła, żeby porozmawiać o ciszy i szacunku dla zmarłych.

Ale to nie była właściwa pora. Jack zareagowała na pytanie prychnięciem pełnym wyższości i nazbyt spokojnym tonem.

– Widziałam jej ciało, tak jak reszta z was. Wiem, że niektórzy uznali, że to ja jestem odpowiedzialna za jej śmierć. Wiem też, że ci, którzy wierzą w moją winę, pewnie nie uwierzą w nic innego. Oprą się na tym, co o mnie wiedzą. Czy gdybym postanowiła zacząć mordować szkolne koleżanki, zostawiłabym ciało?

Chłopiec z kością uniósł brew.

– Słuszna uwaga – przyznał.

– Słuszna uwaga nie oznacza, że ona nie jest zabójczynią – sprzeciwiła się Loriel, ale bez wcześniejszego zapachu. Jej oskarżenia zderzyły się z rzeczywistością i straciły moc. Dziewczyna skrzyżowała ręce przed sobą i odchyliła się na oparcie fotela. – Będę miała na nią oko.

– Dobrze – powiedziała Lundy. – Teraz wszyscy musimy mieć na siebie oko. Nie wiemy, kto zrobił krzywdę Sumi. Eleanor współpracuje z władzami, więc powinniśmy wkrótce dowiedzieć się czegoś więcej, ale na razie musimy pilnować się nawzajem. Nikt nie może zostawać sam... Tak, panno Youngers?

Loriel opuściła rękę, kiedy uwaga grupy skierowała się z powrotem na nią.

– A jeśli ktoś z nas znajdzie drzwi, zanim morderca zostanie złapany? – spytała. – Przecież nikogo ze sobą nie zabiorę tylko dlatego, że nie możemy nigdzie chodzić sami, a za nic nie zrezygnuję z przejścia. Nie i już.

– Chyba wszyscy możemy się zgodzić, że jeśli ktoś znajdzie drzwi, zanim wszystko się wyjaśni, przejdzie na drugą stronę, a ten, kto zostanie, znajdzie sobie inne towarzystwo – powiedziała Lundy ze spokojem i rozwagą.

Nancy uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że Lundy wcale się nie spodziewa, że któreś z nich znajdzie drzwi. Nie tak szybko. Może nigdy. Przestała w to wierzyć. Świadczyły o tym jej ton i dobór słów. I może miała rację. Jej drzwi pozostawały zamknięte, cokolwiek się działo. Lundy musiała przyzwyczaić się do myśli, że to jest świat, w którym umrze.

– Może spróbujemy z trzysobowymi grupami – odezwał się chłopak z kością.
– Skoro nie da się zorganizować przejścia, trzeba przestać szukać drzwi.

Kilkoro uczniów się roześmiało. Inni mieli bolesny wyraz twarzy. Loriel należała do tych drugich.

– Proszę nam opowiedzieć o swoich drzwiach, panno Youngers – poleciła Lundy.

– Prawie je przegapiłam. – Głos Loriel stał się nieobecny. – Były takie małe. Idealne małe drzwi wycięte w nadprożu werandy tuż pod lampą. Jak wejście dla ciem. Chciałam tylko zobaczyć, co to jest, więc zbliżyłam się i postukałam w nie czubkiem palca wskazującego. Wtedy świat zawirował i zrobił się dziwny, a ja stałam w holu po drugiej stronie drzwi i patrzyłam w tył na niemożliwie wielki ganek. Nie przeszłam przez nie. One mnie wciągnęły. Tak bardzo mnie chciał Świat Sieci.

Opowieść Loriel była efektowna i rozwlekła, majestatyczna i epicka historia o pajęczej księżniczce i małych dynastiach. Zawsze miała świetny wzrok, ale po spędzeniu roku na służbie u najmniejszych wyostrzył się jej tak bardzo, że musiała nosić soczewki z iryzowanego szkła, bo patrzenie na powiększony świat sprawiało ból. Walczyła i zwyciężała, kochała i traciła, aż w końcu Królowa Pyłu zapytała ją, czy chce być księżniczką tamtej krainy i zostać w niej na zawsze.

– Powiedziałam, że niczego bardziej nie pragnę, ale muszę wrócić do domu i powiedzieć moim rodzicom, zanim się zgodzę. – Loriel pociągnęła nosem. Łzy zaczęły płynąć, kiedy mówiła o śmierci ukochanego Księcia Os, i wydawało się, że będą płynąć w nieskończoność. – Ona mnie uprzedziła, że trudno będzie odnaleźć drzwi. Że musiałabym ich szukać z całych sił. Ja odpowiedziałam, że mogę to zrobić. To było prawie dwa lata temu. Szukałam wszędzie, ale ich nie wypatrzyłam.

– Niektóre otwierają się tylko raz – rzekła Lundy.

W pokoju rozległ się szmer potwierdzenia. Nancy zmarszczyła brwi i usiadła głębiej w fotelu. Drażnienie w czyjejś przeszłości wydawało się okrutne, najpierw przyszpilanie do podłogi, a potem mówienie takich rzeczy. Loriel z pewnością już wiedziała, że raczej nie wróci przez małe drzwi do swojego jeszcze mniejszego świata. Była dostatecznie bystra, żeby do tej pory samej się zorientować. Jaki był sens w mówieniu tego na głos?

Jeśli to była szkoła dla tych, którzy chcieli dojść do ładu ze swoimi przeżyciami i miło je wspominać, Nancy nie miała ochoty oglądać drugiego kampusu.

– Powiedziała, że mogę wrócić – ciągnęła Loriel. – Obiecała mi to. Królowa dotrzymuje obietnic. Po prostu muszę szukać uważniej. Kiedy znajdę drzwi, znikam.

– A twoi rodzice? Są przygotowani na to nieuniknione zniknięcie?

Loriel prychnęła.

– Powiedziałam im, kiedy u nich byłam: rok dla mnie, dwanaście dni dla nich, a oni stwierdzili, że najwyraźniej mam jakąś traumę i nie można mi ufać. Przesłali mnie tutaj, żebym wyleczyła się z szaleństwa. Ale ze mną wszystko jest w porządku. Odebrałam podróż, to wszystko.

– W dodatku podróż do udokumentowanego świata. – Eleanor stała w progu i wyglądała, jakby w ciągu jednego dnia postarzała się o dziesięć lat. Na delikatnej skórze wokół ust i oczu rysowały się nowe zmarszczki wyczerpania. –

Odkąd zaczęłam was przyjmować, do Świata Sieci zostało wciągniętych pięćdziesięciu dzieci. Dwoje z nich znalazło drzwi po swoim powrocie do domu. Widzicie więc, że jest nadzieja. Dla Loriel i dla nas wszystkich. Nasze drzwi są ukryte, ale szukając uważnie, możemy je znaleźć.

– Eleanor. – Lundy wstała. – Miałaś odpoczywać.

– Odpoczęłam dość, żeby zrobić, co należy – odparła panna West i weszła do sali. Kilkoro uczniów wstało, żeby zaprowadzić ją do wolnego fotela. Uśmiechnęła się i poklepała ich po policzkach. – Dobrze z was dzieci, tak, nawet z ciebie, Lundy. Wszyscy jesteście dla mnie dziećmi, a ja waszą nauczycielką, jedyną, która nie zamierza was okłamywać. Więc posłuchajcie mnie teraz, bo wygląda na to, że sami macie sobie w głowach i doprowadzacie się do rozstroju. Nie wszyscy odnajdziecie drzwi. Niektóre naprawdę pojawiają się tylko jeden raz w wyniku jakiegoś dziwnego zbiegu okoliczności, którego nie potrafimy przewidzieć ani odtworzyć. Przyciąga je potrzeba albo współczucie. Nie emocje, tylko wpływ jednej rzeczy na inną. Istnieje powód, dla którego trafiliście do miejsc, które tak bardzo do was pasowały. Wyobraźcie sobie przez chwilę, że wpadacie do świata opisywanego przez waszego sąsiada.

Nancy z niepokojem zerknęła na Jack i Jill, wyobrażając sobie, jakie byłoby jej życie, gdyby znalazła ich drzwi zamiast swoich. Wrzosowiskom nie zależało na bezruchu, tylko na posłuszeństwie i krwi. Nic z tego nie było jej mocną stroną. Wokół niej inni uczniowie spoglądali po sobie, robiąc porównania i tak jak ona uznając je za nieprzyjemne.

– Sumi miała Nonsens w sercu, więc otworzyły się dla niej drzwi, które zaprowadziły ją do świata, gdzie mogła dumnie się z nim obnosić, a nie ukrywać. To była jej prawdziwa historia. Dotarcie do miejsca, w którym mogła być wolna. To również wasze historie, każdego z was. – Eleanor uniosła podbródek. Spojrzenie miała pogodne. – Znaleźliście wolność, choćby tylko na chwilę, a kiedy ją straciliście, przyszliście tutaj w nadziei, że ją odzyskacie. Ja też mam taką nadzieję ze względu na was. Chcę przeproszać waszych rodziców, kiedy znikniecie, mówić im, że zbiegowie zawsze uciekają ponownie, jeśli mają choć połowę szansy. Chcę widzieć wasze plecy bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Nie musiała mówić, na czym najbardziej jej zależy, bo oni podzielali jej głód, jej przemożne, nieodparte pragnienie. Najbardziej pragnęła tego, co czekało ją po drugiej stronie drzwi. Ale w przeciwieństwie do reszty z nich wiedziała, gdzie one są. Po prostu na razie były dla niej zamknięte, dopóki nie znajdzie drogi powrotnej do dzieciństwa.

Chłopiec z drewnianą kością uniosł rękę.

– Eleanor?

– Tak, Christopherze?

– Dlaczego pani drzwi zostały, a wszystkie nasze zniknęły? – Przygryzł wargę, a potem dodał: – To wydaje się niesprawiedliwe. Powinniśmy móc wrócić.

– Stałe drzwi takie jak panny West są mniej powszechne niż tymczasowe – wyjaśniła Lundy, ponownie na znajomym gruncie. – Większość dzieci, które przez nie przechodzą, nie wraca albo z pierwszej podróży, albo po krótkim powrocie do pierwotnego świata. Chociaż mamy kilka relacji, szansa na znalezienie odpowiedniego dla was stabilnego portalu jest znikoma.

– A co, na przykład, z Narnią? – dociekał Christopher. – Tamte dzieciaki przechodziły przez najróżniejsze drzwi i wciąż trafiały na dużego gadającego lwa.

– To dlatego, że Narnia była chrześcijańską alegorią udającą fantasy, ty dupku – odezwał się inny z chłopców. – C.S. Lewis nigdy nie przeszedł przez żadne drzwi. Nie wiedział, jak działają. Pewnie słyszał o dzieciakach takich jak my, chciał opowiedzieć jakąś historię, więc ją zmyślił. Jak wszyscy pisarze. Oni zmyślali, a ludzie robili ich sławnymi. My mówimy prawdę, a rodzice przysyłają nas do tego wychwalanego wariatkowa.

– Nie używamy tutaj takich określeń. – W głosie Eleanor pobrzmiewała stal. – To nie jest szpital psychiatryczny, a wy nie jesteście obłąkani... Zresztą co z tego, gdybyście byli? Ten świat nie wybacza i jest okrutny dla tych, których uznaje za choćby trochę odstających od normy. Jeśli ktoś powinien być dobry, wyrozumiały, pełen akceptacji i miłości dla swoich współwyrzutków, to właśnie wy. Jesteście strażnikami tajemnic wszechświata, ukochanymi przez światy, o których większość nawet nie śni, a tym bardziej ich nie zobaczy. Nie rozumiecie, że powinniście być dla siebie dobrzy? Dbać o siebie nawzajem? Nikt poza tym pokojem nigdy nie zrozumie, przez co przeszliście, tak jak rozumieją to ludzie, którzy teraz was otaczają. To nie jest wasz dom. Sama wiem o tym najlepiej. Ale to wasza stacja pośrednia i sanktuarium, więc macie traktować jedni drugich z szacunkiem.

Obaj chłopcy stracili rezon pod jej spojrzeniem. Christopher spuścił wzrok. Jego kolega wymamrotał:

– Przepraszam.

– W porządku. Już późno, a wszyscy jesteśmy zmęczeni. – Eleanor wstała. – Prześpijcie się trochę. Wiem, że to nie będzie łatwe. Nancy, możesz...

– Już mówiłem, że z nią dzisiaj zostanę – odezwał się Kade.

Nancy ogarnęła falą ulgi. Bała się, że będzie musiała pójść do innego pokoju, i chociaż nie spędziła tutaj dużo czasu, już przywiązała się do swojego łóżka.

Eleanor w zamyśleniu spojrzała na Kade'a.

– Jesteś pewien? Chciałam jej zaproponować, żeby przeniosła się do kogoś na tym samym korytarzu. To duże zobowiązanie.

– Nie, w porządku. Sam się zgłosiłem. – Kade uśmiechnął się. – Lubię Nancy. Była przyjaciółką Sumi. Myślę, że trochę stabilności dobrze jej zrobi, a moje niewygody są zupełnie bez znaczenia. Chcę pomóc. To mój dom. – Rozejrzał się po sali. – Mój dom na zawsze. Skończyłem osiemnaście lat w zeszłym miesiącu,

rodzice mnie nie chcą, Pryzmat nie przyjmie z powrotem, nawet gdybym chciał tam pójść. Dlatego jest dla mnie ważne, żebyśmy dbali o to miejsce, bo ono dba o nas, odkąd tu trafiliśmy.

– Idźcie do łóżek, moi drodzy – powiedziała Eleanor. – Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

* * *

Ciało leżało na frontowym dziedzińcu, pokryte cienką warstewką rosy, z twarzą zwróconą ku obojętnemu niebu. Martwi zachowywali zdolność widzenia, co chętnie wyjaśniłaby Nancy, gdyby ją zapytano, ale to ciało niczego nie widziało, bo nie miało oczu, tylko czarne, obwiedzione krwią dziury zamiast nich. Ręce leżały złożone na piersi, stygnące palce trzymały okulary. Loriel Youngers już nigdy nie znajdzie swoich drzwi (które przez cały ten czas czekały na nią w rogu jej sypialni w domu rodzinnym, wysokie na pół cala, utrzymywane przez bardzo skomplikowane czary stworzone przez Królową Pyłu, jej adopcyjną matkę; i miały tam czekać przez kolejne sześć miesięcy, zanim magia przestanie działać, a królowa uda się do swoich komnat na roczną żałobę). Loriel nigdy nie przeżyje kolejnej wielkiej przygody ani nie uratuje innego świata. Jej rola w tej historii się skończyła.

Leżała nieruchomo, kiedy wstało słońce, a gwiazdy zgasły. Na trawie obok jej nogi wylądował kruk, łypiąc na nią czujnie. Kiedy ona nawet nie drgnęła, ostrożnie wskoczył na jej kolano, gotowy uciec, nim pułapka się zatrzaśnie. Dziewczyna nadal się nie ruszała, więc ptak wzbił się w powietrze i podleciał do jej głowy. Tam szybko zanurzył dziób w krwawej dziurze, która kiedyś była okiem.

Angela – ta od wypreparowanej świnki morskiej i zaczarowanych trampek, które kiedyś pozwalały jej biegać po tęczach – właśnie wyszła na ganek, pocierając zaspane oczy i zamierzając nakrzyczeć na współlokatorkę za to, że wykradła się z pokoju, chociaż miały trzymać się razem. Czasami Loriel nie potrafiła utrzymać zamkniętych oczu na tyle długo, żeby zasnąć, a potem miała zwyczaj włóczyć się po całym terenie i szukać zagubionych drzwi. Znajdowanie jej drzemiącej na trawie nie należało do rzadkości. Z początku umysł Angeli odmówił zarejestrowania nieruchomego ciała jako czegoś niezwykłego.

Wtedy ptak wyjął zakrwawiony dziób z oczodołu i zakrakał rozgniewany, że ktoś przerywa mu śniadanie.

Gdy rozległ się krzyk, kruk pofrunął w poranne niebo. Wrzask Angeli nie obudził Loriel.

Ciała, które pogrzebaliśmy

Wszyscy uczniowie zebrali się w jadalni, wyciągnięci z łóżek przez wrzaski Angeli albo bębnienie personelu do drzwi pokojów. Nancy została wyrwana ze snu przez Kade'a potrząsającego ją za ramię. Chłopiec nachylał się tak nisko, że widziała delikatny filigranowy wzór na jego tęczówkach. Odsunęła się gwałtownie, rumieniąc się i otulając kołdrą. Kade tylko się roześmiał i odwrócił plecami, jak przystało na dżentelmena, a ona wstała i ubrała się pośpiesznie.

Siedząc teraz przy stole nad talerzem stygnącej jajecznicy, Nancy przyłapała się na tym, że wspomina jego śmiech. Miała przeczucie, że przez jakiś czas nikt nie będzie się tutaj śmiał. Może już nigdy.

– Loriel Youngers znaleziono martwą dziś rano na frontowym trawniku – oznajmiła Lundy, stojąc przed nimi sztywno wyprostowana, z zaplecionymi rękoma. Wyglądała jak porcelanowa lalka bliska rozpadnięcia się na kawałki. –

Byłam przeciwna mówieniu wam czegoś więcej. Nie uważam, by takie ponure rzeczy były odpowiednie dla uszu młodych osób. Ale to szkoła panny West, a ona uznała, że wiedząc o tym, co się stało, bardziej weźmiecie sobie do serca jej prośbę, żeby trzymać się razem. Pannę Youngers znaleziono bez oczu. Zostały... usunięte. Z początku sądziliśmy, że mogły to zrobić zwierzęta, ale po bliższym zbadaniu okazało się, że oczy usunięto ostrym przedmiotem.

Nikt nie zapytał, jakim ostrym przedmiotem. Nawet Jack, choć Nancy widziała, że dziewczyna aż drży z wysiłku, żeby powstrzymać się od pytań. Jill natomiast wydawała się zupełnie spokojna i należała do nielicznych uczniów, którzy naprawdę jedli. Spędzenie kilku lat w horrorze musiało w dużym stopniu stępić jej wrażliwość.

– Inaczej niż w przypadku Sumi rodzice Loriel nadal się nią opiekowali, a my jeszcze nie skontaktowaliśmy się z władzami. – W głosie Lundy dźwięczała jakaś dziwna nuta. – Eleanor zastanawia się, co robić. Proszę, dokończcie śniadanie, a potem wróćcie do swoich pokojów. Nie chodźcie nigdzie sami, nawet do

łazienki. Szkoła nie jest bezpieczna. – Odwróciła się, nie czekając na ich reakcję, i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

Kiedy wyszła, Jack w końcu zmarszczyła brwi i wyrzuciła z siebie pierwsze pytanie.

– Eleanor mówiła wczoraj wieczorem, że zamierza okłamywać naszych rodziców, jeśli znikniemy. Dlaczego po prostu nie możemy się postarać, żeby Loriel zniknęła, i też skłamać?

– Nie wszyscy czują się tak swobodnie jak ty na myśl o pozbywaniu się ciał – rzuciła Angela przez łzy. Płakała od chwili znalezienia ciała Loriel. Nie wyglądało na to, żeby kiedyś miała przestać.

– To nie jest złe pytanie – stwierdził Christopher. Mówiąc, nerwowo dotykał swojego talizmanu. Po raz pierwszy Nancy zastanowiła się, czy kość może być prawdziwa, a nie z drewna, jak początkowo zakładała. – Panna West już ma swój system, żeby wszystko wyglądało, jakbyśmy uciekli, choć tak naprawdę znaleźliśmy drzwi. Dlaczego nie miałyby okłamać rodziny Loriel? Oni i tak ją stracili. Kłamstwo oznacza przynajmniej, że wszyscy będziemy mogli tu zostać, zamiast wracać.

„Wracać” miało w tej szkole dwa różne znaczenia, zależnie od tego, jak się wypowiadało to słowo. To była najlepsza rzecz na świecie. I również najgorsze, co mogło się komuś przydarzyć. To był powrót do miejsca, które rozumiało ciebie tak dobrze, że sięgało przez rzeczywistości, żeby cię znaleźć i przyjąć do siebie. A także odesłanie do rodziny, która chciała cię kochać, dbać o twoje zdrowie i bezpieczeństwo, ale nie znała cię dostatecznie dobrze, więc tylko raniła. Dwoistość tego określenia przypominała dwoistość drzwi: one zmieniały życie i je niszczyły, a wszystko to jednym prostym zaproszeniem. „Chodź i zobacz”.

– Nie chcę zostać w miejscu, w którym ciała po prostu znikają – oświadczyła Angela. – Nie po to tutaj przyjechałam.

– Zsiądź ze swojego wysokiego konia – powiedziała ostrym tonem Jack. – Trup to konsekwencja życia. Naprawdę chcesz, żebyśmy uwierzyli, że kiedy biegałaś po tęczach, nigdy nie widziałaś, jak ktoś spada? Ten, kto spada z nieba jak kamień, nie wstaje ot tak sobie i nie odchodzi. On umiera. I jeśli nie trafi do takiego miejsca jak Wrzosowiska, pozostaje martwy. Ktoś pozbywał się tych ciał. Jedno pośliznięcie i pozbyliby się twojego.

Angela spojrzała na nią oczami wielkimi z przerażenia.

– Nigdy o tym nie myślałam. Widziałam... widziałam, jak ludzie spadają. Tęcze były śliskie. Nawet w odpowiednich butach można było spaść, jeśli za bardzo się zwolniło.

– Ktoś pozbywał się tamtych ciał – powtórzyła Jack. – Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, zgadza się? Jeśli zadzwonimy do rodziców Loriel

i powiemy im, co się stało, jesteście skończeni. Każdy, kto ma poniżej osiemnastu lat, zostanie zabrany do domu przez kochające rodziny. Połowa z was przed końcem roku będzie na psychotropach, których nie potrzebujecie, ale hej, przynajmniej ktoś będzie wam przypominał, żeby jeść, podczas gdy wy będziecie wgapić się w ścianę. Reszta trafi na ulicę. Żadnych świadectw ukończenia szkoły, żadnego sposobu, żeby radzić sobie ze światem, który nie chce nas z powrotem.

– Ty przynajmniej masz perspektywę – włączył się Christopher, znowu obracając kość w palcach. – Do ilu college'ów zostałeś przyjęty?

– Do każdego, do którego złożyłam podanie, ale wszystkie zakładają, że najpierw skończę szkołę średnią, zanim się u nich zjawię – odpowiedziała Jack. –

I oczywiście muszę brać pod uwagę Jill. Nie mogę ruszyć w świat, póki nie zadbam o moją siostrę.

– Sama potrafię o siebie zadbać – oświadczyła Jill.

– Nie będziesz musiała. – Panna West ze znużeniem weszła do jadalni i spojrzała na Jack i Kade'a. – Postarajcie się, żeby zniknęła, moi drodzy. Zabierzcie ją w jakieś miejsce, gdzie nikt jej nie znajdzie, nawet gdyby szukał przez tysiąc lat. Odprawimy ceremonię żałobną. Uczcimy ją najlepiej, jak potrafimy. Ale nie mogę narażać nas wszystkich z powodu jednego straconego życia. Niemal tego żałuję. Czułabym się mniej jak potwór, a bardziej jak dziecko, które tańczyło z lisami pod październikowym księżycem. Po prostu nie potrafię się zmusić, żeby to zrobić.

– Oczywiście – powiedziała Jack i zaczęła wstawać z krzesła.

Angela zerwała się pierwsza.

– Ona ją zabiła, a teraz pani pozwoli, żeby zabrała ciało?! – krzyknęła piskliwie, wskazując Jack. Jej twarz była maską oburzenia. – Ona jest morderczynią! Loriel to wiedziała, ja wiem i nie mogę uwierzyć, że wy nie wiecie!

– Punkt za użycie feminatywu, choć jestem trochę urażona, że tak pochopnie oskarżasz mnie o tę zbrodnię – powiedziała Jack. – Co miałabym zrobić z oczami, Angelo? Nie interesuje mnie okulistyka. Na pewno istnieją jakieś fascynujące zastosowania dla czopków i pręcików, ale ja nie mam umiejętności ani odpowiednich instrumentów, żeby je zbadać. Gdybym miała zabić ją dla oczu, zrobiłabym to za dziesięć lat, kiedy będę szefową działu badań i rozwoju w firmie biotechnologicznej dostatecznie dużej, żeby morderstwo uszło mi na sucho. Zabicie jej teraz nie przynosi mi żadnych korzyści.

– Możemy przestać wskazywać sobie palcami i załatwić sprawę? Proszę. – Kade wstał. – Już mamy jedno ciało. Nie chcę następnego.

– Mogę pomóc – zaoferowała się Nancy. Pozostali odwrócili się w jej stronę. Ona lekko się zarumieniła, ale dodała: – Zadbam o to, żeby zmarłym okazać należyty szacunek. Ciała, które zostają po ich odejściu, nie budzą we mnie strachu.

– Jesteś upiorną dziewczyną – stwierdził Christopher i wstał, chowając kość do kieszeni. – Ja też pomogę. Szkieletowa Dziewczyna nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym tego nie zrobił.

– Ja nie – uprzedziła Jill. – Zniszczyłabym sobie sukienkę.

– Dziękuję wam wszystkim – powiedziała Eleanor. – Poranne lekcje są odwołane. Zobaczmy się po lunchu, kiedy już się pozbieracie.

– Zły dobór słów – skomentowała Jack, ale wyglądała na zamyśloną, kiedy ruszyła do drzwi przed Kade'em i Nancy.

Christopher szedł na końcu. Kość wystawała z jego kieszeni jak uniesiony środkowy palec.

Razem wyszli na ganek. Loriel nadal leżała na trawniku, nakryta prześcieradłem. Przez chwilę Nancy mogła myśleć tylko o tym, że jeśli to wszystko wkrótce się nie skończy, zabraknie im bielizny pościelowej. Kiedy ruszyła dalej z Christopherem i Jack, Kade się zatrzymał.

– Przepraszam – wykrztusił. – Nie mogę. Ja po prostu... nie mogę. To nigdy nie należało do moich zadań. – W Pryzmacie był księżniczką, zanim się okazało, że tak naprawdę jest księciem. W przeciwieństwie do reszty z nich nigdy nie zajmował się martwymi. Zabijał, owszem. Właśnie dzięki temu zasłużył na tytuł Księcia Goblinów. Ale jego udział w ich śmierci kończył się na ostrzu miecza.

– W porządku – powiedziała Nancy łagodnie, oglądając się na niego przez ramię. – Martwi są dużo bardziej wyrozumiali niż żywi. My się nią zajmiemy. Ty trzymaj straż.

– To mogę zrobić. – Kade odetchnął z ulgą.

Pozostali ruszyli w stronę ciała. Cała trójka wywodziła się z bardzo różnych tradycji. Jeśli chodzi o Nancy, szanowała całe doświadczenie śmierci. Dla Christophera ciało było tymczasowe, ale kości wieczne i zasługiwały na to, by tak je traktować. Dla Jack śmierć oznaczała niedogodność, którą można przezwyciężyć, a trup puszkę Pandory o wspaniałych możliwościach. Wszyscy jednak podzielali miłość do tych, którzy odeszli, i kiedy podnosili Loriel z ziemi, zrobili to delikatnie i ze współczuciem.

– Jeśli zaniesiemy ją do piwnicy, mogę przygotować roztwór, który oddzieli ciało od kości – powiedziała Jack. – Szkielet nadal będzie można poddać analizie kryminalistycznej, ale zawsze to jakiś początek.

– Kiedy ona będzie szkieletem, dowiem się, co ją spotkało – odezwał się Christopher prawie nieśmiało.

Zapadło milczenie. Po chwili Jack rzuciła z powątpiewaniem:

– Przykro mi, ale to zabrzmiało, jakbyś właśnie wyznał, że potrafisz rozmawiać z kośćmi. Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie słyszeliśmy?

– Bo byłem przy tym, kiedy mówiłaś, że potrafiłabyś wskrzesić zmarłego. Widziałem, jak wszyscy zareagowali, a ja mam życie towarzyskie w tej szkole. Nie mógłbym iść do pizzerii w miasteczku, gdyby inni przestali ze mną gadać. I nie chodzi o to, że ty i twoja siostra nadal byście ze mną rozmawiały. Wy dwie z nikim nie rozmawiacie.

– I tu cię załatwił! – krzyknął Kade z ganku.

Nancy zmarszczyła brwi.

– Ze mną rozmawiali.

– Dlatego, że Sumi im kazała, i dlatego, że przebywałaś w świecie pełnym duchów – wyjaśnił Christopher. – Domyślam się, że było to na tyle zbliżone do życia w horrorze, że nie mieli nic przeciwko tobie. Z Sumi rozmawiali, bo ona nie dała im wyboru. Była jak małe tornado. Kiedy cię wciągało, po prostu chwytając się mocniej i ruszałeś na przejażdżkę.

– Unikamy innych nie bez powodu – oświadczyła Jack sztywno, chwytając Loriel za ramiona. – Większość z was dostała jednorożce i mgliste łąki. Nam przypadły Wrzosowiska, a jeśli gdzieś tam był jednorożec, prawdopodobnie żywił się ludzkim mięsem. Szybko się nauczyliśmy, że dzielenie się przeżyciami odstrasza ludzi, a większość relacji towarzyskich w tym miejscu opiera się na wspólnych doświadczeniach. Na tym, co się stało, kiedy przeszliśmy przez drzwi.

– Ja trafiłem do krainy szczęśliwych, tańczących szkieletów, które mi powiedziały, że pewnego dnia do nich wrócę i ożenię się ze Szkieletową Dziewczyną – wyznał Christopher. – Takie ładne i słoneczne miejsce, ale to było słońce w stylu Día de los Muertos.

– Może powinniśmy porozmawiać z tobą dawno temu – stwierdziła Jack. – Zanieśmy Loriel do piwnicy.

Ruszyli wzdłuż budynku, aż dotarli do drzwi, które kiedyś były używane przez handlarzy dostarczających węgiel albo żywność do rezydencji. Ręce mieli zajęte, więc Nancy obejrzała się przez ramię i zawołała:

– Kade! Potrzebujemy cię!

– Tyle mogę zrobić – rzucił Kade.

Podbiegł do nich i otworzył piwnicę. Owionęło ich chłodne, grobowe powietrze. Przytrzymał drzwi, a kiedy zatrzęsnał je z donośnym hukiem i ruszył za nimi, wszyscy znaleźli się w prawie całkowitej ciemności. Nancy mieszkała na Dworze Umarłych, gdzie światło zawsze było przyćmione, żeby nie razić wrażliwych oczu. Christopher nauczył się poruszać w świecie szkieletów, z których żaden nie miał już oczu, a wielu dawno zapomniało o gąbczastych żyjących i ich potrzebie jasności. Jack widziała przy blasku błyskawicy. Tylko

Kade się potknął, ale udało mu się nie upaść, kiedy grupka zaczęła schodzić po schodach.

– Możecie przez chwilę potrzymać ją sami? – zapytała Jack. – Muszę włączyć światło, zanim któreś z was, pajaców, zniszczy mi coś cennego.

– Widzisz, dlatego też nikt z tobą nie rozmawia – wytknął jej Christopher. – Jesteś trochę wredna, przez cały czas. Nawet kiedy nie masz powodu. Mogłabyś po prostu powiedzieć „proszę”.

– Proszę, potrzymajcie ją przez sekundę beze mnie, żebyśmy nie przewrócili się o słoje kwasu, którego zamierzam użyć do rozpuszczenia ciała – poprawiła się Jack. – Cieszę się, że nie mam szkieletowych stóp. Może wy też.

– Na razie – rzucił Christopher i poprawił chwyt na tułowiu Loriel. – W porządku, chyba mocno ją trzymam.

– Świetnie. Zaraz wracam. – Nancy i Christopherowi ciało wydało się dużo cięższe, kiedy Jack je puściła. Usłyszeli jej lekkie kroki na betonowej posadzce. – Może zamknijcie oczy.

Oboje przygotowali się na oślepiające chirurgiczne światło, ale kiedy Jack przekreśliła włącznik, piwniczne pomieszczenie zalał ciepły pomarańczowy blask, ukazując metalowe regały ze słojami i sprzętem laboratoryjnym, komody kipiące od koronek i wstążek oraz stół sekcyjny ze stali nierdzewnej. Było tam tylko jedno łóżko.

Nancy głośno wciągnęła powietrze, kiedy zrozumiała, co to znaczy.

– Śpisz na stole sekcyjnym? – zapytała z konsternacją.

Jack dotknęła gładkiego metalu.

– W laboratorium nie potrzeba poduszek ani koców. Jill miała łoża z baldachimem i poduchami. Ja nauczyłam się spać na kamiennych podłogach. Okazuje się, że takich rzeczy trudno się oduczyć. Spanie w prawdziwym łóżku jest dla mnie jak spanie na chmurze. Boję się, że zaraz przelecę na wylot i się roztrzaskam. – Westchnęła i zabrała rękę ze stołu. – Połóżcie ją tutaj. Chcę ją obejrzeć, zanim rozpuszczę.

– To jakaś odrażająca perwersja? – rzucił Christopher, kiedy razem z Nancy niósł ciało przez laboratorium. – Nie jestem pewien, czy mogę zostać, żeby pomóc, jeśli to coś zбочzonego.

– Nie lubię trupów w taki sposób – odparła Jack. – One nie potrafią wyrażać świadomej zgody, dlatego nie są lepsze od wibratorów.

– Wolałbym, żeby to nie miało tyle sensu – skwitował Christopher.

Razem z Nancy dźwignął Loriel na stół sekcyjny. Potem ją puścił i się odsunął. Nancy została i poświęciła chwilę, żeby wyprostować kończyny zmarłej i wygładzić jej włosy. Nie mogła nic poradzić na jamy, które kiedyś były oczami.

Nawet nie mogła ich zamknąć. W końcu po prostu złożyła dłonie Loriel na piersi i się cofnęła.

Zwolnione przez nią miejsce zajęła Jack. W przeciwieństwie do Nancy nie wzbraniała się przed zbadaniem z bliska twarzy zmarłej. Nachyliła się i przyjrzała śladom wskazującym, w jaki sposób powstały obrażenia. Włożyła gumowe rękawice i ostrożnie obróciła głowę Loriel na bok. Szybkimi, ostrożnymi ruchami obmacała czaszkę. Nancy i Christopher patrzyli uważnie, ale w tym, co robiła Jack, nie dostrzegli nawet śladu braku szacunku. Jeśli już, to okazywała go więcej teraz, kiedy dziewczyna nie żyła, niż wtedy, gdy była jeszcze wśród żywych.

Jack się skrzywiła.

– Jej czaszka jest pęknięta – oznajmiła. – Ktoś uderzył ją z tyłu dostatecznie mocno, by powalić ją na ziemię. Nie potrafię stwierdzić na pewno, czy cios pozbawił ją przytomności. Znokautowanie kogoś jest trudniejsze, niż ludzie sądzą. To był błyskawiczny atak. Ona nie miała szansy się obronić ani krzyknąć o pomoc. Ale uderzenie nie zabiło jej od razu. W oczodołach jest sporo krwi.

– Jack... – Głos Kade'a był cichy i przerażony. – Proszę, powiedz mi, że nie mówisz tego, co mówisz.

– Hmm? – Jack podniosła wzrok. – Nie jestem jasnowidzką, Kade. Nawet nie wierzę, że jasnowidze istnieją. Nie potrafię czytać w twoich myślach, więc nie mam pojęcia, co przypuszczasz. Po prostu mówię o sposobie, w jaki wyłupiono oczy Loriel.

– Masz na myśli „usunięto”? – wtrącił Christopher.

– Nie, mam na myśli, że wyrwano – odparła Jack. – Muszę otworzyć jej czaszkę, żeby zyskać pewność, a nie mam odpowiedniej piły do kości, co utrudnia zadanie, ale zdaje się, że jej oczy wyciągnięto wzdłuż nerwu wzrokowego. Ktokolwiek ją napadł, nie wyłuskał ich jak winogrona. Użył jakiegoś ostrza, żeby oddzielić oko od mięśni, a potem...

– Wiesz, kto to zrobił? – przerwał jej Kade.

– Nie.

– Więc proszę, przestań nam wyjaśniać, jak to zostało zrobione. Nie zniosę tego więcej.

Jack spojrzała na niego z powagą.

– Jeszcze nie doszłam do ważnej części.

– Więc przejdź do niej, zanim zwymiotujemy na podłogę.

– Sądząc po uszkodzeniach czaszki i ilości krwi, ona jeszcze żyła, kiedy usuwano jej oczy. – Słowa Jack powitała cisza. Nawet Nancy zakryła dłonią usta. – Ktokolwiek to zrobił, najpierw ją obezwładnił, potem usunął oczy i pozwolił, żeby zabił ją wstrząs. Nie jestem nawet pewna, czy jego celem była śmierć, czy samo wyłupienie oczu.

– Dlaczego? – wykrztusił Christopher.

Jack się zawahała i pokręciła głową.

– Nie wiem. No, dalej, przygotujmy ją do pogrzebania.

Kade wycofał się w drugi koniec piwnicy i został tam, podczas gdy pozostali wzięli się do pracy. Nancy rozebrała Lorieł, składając starannie każdą sztukę ubrania. Wątpiła, żeby te rzeczy trafiły do wspólnego magazynu. Zapewne trzeba będzie je zniszczyć ze względów bezpieczeństwa.

Podczas gdy Nancy pracowała, Jack i Christopher wyciągnęli z kąta piwnicy na środek starą wannę na lwich łapach. Jack odkorkowała kilka dużych szklanych słoików i wlała do niej ich zielonkawą, pieniącą się zawartość. Kade patrzył na to wszystko z przerażeniem.

– Dlaczego Eleanor pozwoliła ci trzymać ten kwas? – zapytał. – Po co ci on w ogóle? Nie potrzeba go aż tyle.

– Wygląda na to, że jednak potrzeba, skoro mam go dość, żeby w razie konieczności rozpuścić ludzkie ciało – odparowała Jack. – Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. A Eleanor nie dawała mi żadnego pozwolenia. Sama zgromadziłam kwas. Na deszczowe dni.

– Spodziewałaś się, że będzie padać niedźwiedziami? – rzucił Christopher.

– Zawsze można liczyć na szczęście. – Jack zdjęła kilka plastikowych fartuchów z półki i podała je reszcie. – Musicie je włożyć. I rękawice. Kwas to nie zabawa, jeśli nie pochodzi się ze świata Christophera.

Nancy i Christopher bez słowa włożyli plastikowe fartuchy, gumowe rękawice i gogle. Jack zrobiła to samo i razem opuścili Lorieł do pieniącego się zielonego płynu. Kade odwrócił głowę. Zapach był zaskakująco przyjemny, wcale nie mięsny. Kojarzył się ze środkiem do prania, lekko cytrusowym z miętową nutą. Kiedy ciało zniknęło pod powierzchnią, uniosły się z niej bąbelki i po chwili płyn stał się całkowicie nieprzezroczysty, tak że już nie było widać Lorieł. Jack się odwróciła.

– Zredukowanie jej do szkieletu zajmie około godziny – powiedziała. – Potem zneutralizuję kwas i go wyleję. Christopherze, poradzisz sobie z nią od tego momentu?

– Ona będzie dla mnie tańczyć. – Christopher dotknął swojego talizmanu, który trzymał w kieszeni. Dopiero teraz Nancy zauważyła na kości małe wgłębienia. Niezupełnie otwory, ale mimo to nasuwające myśl o flecie. Melodie wygrywane na tym instrumencie nie byłyby słyszalne dla żywych, co nie oznaczało, że nieprawdziwe. – Wszystkie szkielety dla mnie tańczą. Grać dla nich to dla mnie zaszczyt.

– W porządku, najwyraźniej wy dwoje... – Jack wskazała Nancy, zdejmując rękawice – jesteście sobie przeznaczeni. Skoro nie możecie znaleźć swoich

drzwi, powinniście się pobrać i spłodzić następne pokolenie upiornych dzieci wędrujących między światami.

Christopher poczerwieniał. Nancy nie. Była to miła odmiana.

– Może powinniśmy odkryć, dlaczego ludzie umierają, zanim rozpoczniemy program rozmnażania – odezwał się Kade łagodnie. – Poza tym ja pierwszy poznałem Nancy. Mam prawo pierwszeństwa.

– Czasami podejrzewam, że nauczyłeś się wszystkich swoich męskich cech od neandertalczyków – skomentowała Jack. Zdjęła fartuch i powiesiła go na haku. – Wszyscy oddajcie, proszę, rzeczy, które wam pożyczyłam. Są drogie, a ja mogę składać tylko trzy zamówienia rocznie.

– A ja mam tutaj coś do powiedzenia? – zapytała Nancy, rzucając rozbawione spojrzenie Kade'owi.

Nie miała nic przeciwko flirtowi. Flirtowanie było bezpieczne. Flirtowanie było sposobem interakcji z rówieśnikami, chroniącym przed zdemaskowaniem, że jest w niej coś dziwnego. Mogłaby flirtować wiecznie. To, co następowało po flircie, zupełnie jej nie interesowało.

– Może później – ucięła Jack. – Teraz musimy stąd wyjść. Kwas zacznie trawić tkanki i będą wydzielać się opary, a ja nie chcę, żeby Loriel wypełniła mi płuca. Poza tym nie powinnam zostawiać Jill samej zbyt długo. – Wydawała się niespokojna.

– Jestem pewna, że nikt nie skrzywdzi twojej siostry – uspokoiła ją Nancy. – Ona potrafi o siebie zadbać.

– Właśnie tym się martwię. Kiedy spędza się lata z wampirami, wszystkie nauki w rodzaju „nie gryź innych dzieci” idą w las. Jeśli przyprą ją do muru, bo uznali mnie za winną, ona może komuś zrobić krzywdę, żeby się uwolnić. Wolę nie zostać wyrzucona ze szkoły tuż po tym, jak pozbyłam się ciała. To byłoby marnowanie dobrego kwasu.

– W porządku. – Nancy zdjęła fartuch. – Chodźmy.

Ponieważ już nie musieli chronić koleżanki i kolegów przed widokiem ciała Loriel, we czwórkę weszli wewnętrznymi schodami i znaleźli się w pustym holu. Kade rozejrzał się, a potem odwrócił do Jack i zapytał:

– Dokąd ona mogła pójść?

– Skąd mam wiedzieć? – Jack westchnęła, kiedy pozostali na nią spojrzeli. – Jestem jej bliźniaczką, a nie niańką. Nawet nie jestem jej przyjaciółką. Trzymamy się razem głównie dla samoobrony. Inne dziewczyny uważają, że ona jest dziwna, a ja jeszcze dziwniejsza. Póki tworzymy wspólny front, jest mniej prawdopodobne, że nam coś zrobią.

– Coś zrobią? – powtórzyła Nancy ze zdziwieniem.

Jack wpatrywała się w nią, w równym stopniu ze współczuciem, jak i zazdrością.

– Nie przeszłaś otrzęsin. To jest prawdziwy powód, dla którego Eleanor umieściła cię z Sumi. Gdyby Sumi cię polubiła – albo co najmniej tolerowała – nikt nie przekroczyłby linii, bo wszyscy wiedzieli, że lepiej z nią nie zadzierać. Ona była bezwzględna. Dziewczyny z Nonsensu zawsze takie są. Jill i ja...

– Pamiętam, jak tu przyjechałyście – wtrącił Christopher. – Uznałem, że twoja siostra jest atrakcyjna, wiesz? Dlatego zaproponowałem, że oprowadzę ją po szkole, bo wymyśliłem, że się z nią zaprzyjaźnię, zanim pojawi się któryś z pozostałych chłopaków i zacznie nawijać o swoim magicznym mieczu albo o tym, jak ratował wszechświat czy co tam. Ja jestem gościem z fletem, którego nikt nie słyszy. Muszę być wytrwały.

– A ona cię wyśmiała, prawda? – Większość ludzi byłaby zaskoczona łagodnością tonu Jack. Ta dziewczyna nie należała do delikatnych osób.

Christopher pokiwał głową.

– Powiedziała, że jestem ładnym chłopczykiem, ale ona nie może się zniżyć do tego, żeby ją ze mną widziano. To było jej oświadczenie wstępne. Nie „dzięki, ale nie” ani „mam na imię Jill”, tylko prosto z mostu: „jesteś ładnym chłopczykiem”. Wtedy przestałem próbować.

– Ona próbowała cię ratować na swój sposób – wyjaśniła Jack. – Jej Pan był zazdrosnym typem. Jill próbowała zaprzyjaźnić się z dziećmi z wioski leżącej pod jego zamkiem. Lubiła mieć wokół siebie wielu przyjaciół. Wierzcie albo nie, ale kiedyś była towarzyska, nawet jeśli w kujonkim stylu. Potrafiła wykopać kogoś spod ziemi, żeby opowiedzieć mu najnowszy odcinek „Doktora Who”. To było, zanim polubiła koronkowe sukienki i wkręciła się w dietę bogatą w żelazo. Wtedy sądziła, że po prostu mamy przygodę życia. To ona myślała, że kiedyś wrócimy do domu, i chciała nauczyć się jak najwięcej.

– A ty? – zapytał Kade.

– Ja porzuciłam myśli o powrocie do domu, kiedy doktor Bleak włożył mi do ręki piłę do kości i powiedział, że nauczy mnie wszystkiego, co chciałabym wiedzieć. Przez jakiś czas Jill szukała drogi do domu, a ja nigdy nie chciałam stamtąd odchodzić.

– Co się stało z dziećmi z wioski? – zapytał Christopher. – Z tymi, z którymi Jill próbowała się zaprzyjaźnić?

Twarz Jack straciła wyraz. To właściwie nie był chłód, tylko raczej sposób na zdystansowanie się od tego, co zamierzała powiedzieć.

– Żyliśmy na łasce władcy wampirów. Jak myślicie, co się stało z dziećmi z wioski? Jej Pan nie chciał, żeby ona rozmawiała z kimś, kogo nie mógł kontrolować. Myślę, że oszczędził mnie tylko dlatego, że doktor Bleak go ubłagał

i zwrócił mu uwagę, że dobrze mieć odnawialne źródło krwi dla Jill. Jesteśmy bliźniczkami. Gdyby coś się jej stało, mogłabym zostać wykorzystana na części zamienne.

Nancy rozdziawiła usta.

– To potworne – wykrztusiła.

– Takie były Wrzosowiska. – Jack pokręciła głową. – Okrutne, zimne, brutalne i piękne, a ja oddałabym wszystko, żeby tam wrócić. Może one mnie złamały w jakiś głęboki, wewnętrzny sposób, którego nie jestem w stanie dostrzec, tak jak Jill nie potrafi zrozumieć, że już nie jest normalną dziewczyną. Nie obchodzi mnie to. To był mój dom i nareszcie pozwolił mi być sobą, a tego tutaj nienawidzę.

– Prawie wszyscy nienawidzimy tego świata – odezwał się Kade. – Nawet ja. To dlatego jesteśmy w tej szkole. Teraz pomyśl. Twojej siostry nie ma w piwnicy, więc dokąd mogła pójść?

– Może nadal jest w jadalni, bo trudniej jest kogoś się czepiać, kiedy w pobliżu są inni – zaczęła się zastanawiać Jack. – Albo mogła wyjść, żeby posiedzieć wśród drzew i udawać, że jest z powrotem w domu. Tam dużo czasu spędzałyśmy na zewnątrz, z takiego czy innego powodu.

– Widzieliśmy ją tam wczoraj – powiedział Kade. – Nancy i ja pójdziemy sprawdzić w zagajniku. Ty i Christopher zajrzą do jadalni. Spotkamy się na strychu, nieważne, co znajdziemy.

– Dlaczego na strychu? – spytał Christopher.

Ale Jack już kiwała głową.

– Dobry pomysł. Przejrzemy twoje książki, podczas gdy Lorieł będzie się rozpuszczać. Może jest w nich coś o tym, dlaczego ktoś miałby zbierać części ciała wędrowców po innych światach. To mało prawdopodobne, ale spróbuję. Chodź, szkieletowy chłopczyku.

Odwróciła się i pomaszerowała korytarzem, znowu w każdym calu pewna siebie protegowana szalonego naukowca. Wrażliwość, którą wcześniej okazała, została stłumiona i przykryta maską.

– Dzięki, że spiknęłaś mnie z tą przerażającą dziewczyną – rzucił Christopher do Kade'a i pobiegł za nią, wyjmując po drodze kościany flet z kieszeni.

– Nie ma za co! – krzyknął za nim Kade i podał ramię Nancy, uśmiechając się szeroko. – Chodź. Może sami znajdziemy Addams. – Jego zaśpiew stał się wyraźniejszy, jakby słowa ociekały słodkim, kuszącym miodem.

Nancy położyła dłoń w zgięciu jego łokcia, czując, jak zdradziecka czerwień wypęła z powrotem na jej policzki. To zawsze była ta trudna część, kiedy jeszcze chodziła do swojej starej szkoły: wyjaśnianie, że „aseksualny” i „aromantyczny” to dwie różne rzeczy. Lubiła trzymać się z kimś za ręce i wymieniać pocałunki. Podobnie jak większość dziewczyn miała kilku chłopców w szkole podstawowej

i zawsze uważała te praktyczne związki za całkowicie satysfakcjonujące. Tak było do czasu, kiedy zaczęło się dojrzewanie i zmieniło zasady, spowodowało zamęt i brak zainteresowania. Kade był chyba najpiękniejszym chłopcem, jakiego w życiu widziała. Chciała spędzać z nim czas i rozmawiać o bezsensownych rzeczach. Chciała czuć jego dłoń na swojej skórze, by wiedzieć, że jego uwaga jest całkowicie skupiona na niej. Niestety nigdy się na tym nie kończyło, a ona nie miała ochoty posunąć się dalej.

Kade musiał wyczuć dyskomfort Nancy, bo posłał jej uśmiech i powiedział:

– Zapewniam cię, że jestem dżentelmenem. Jesteś ze mną bezpieczna jak z każdym, kto nie jest mordercą.

– Ja tylko próbowałam się zorientować, czy możesz być zabójcą – odparła Nancy. – Naprawdę czuję ulgę, słysząc, że nie jesteś. Ja też nie, tak dla jasności.

– Dobrze wiedzieć – skwitował Kade.

Przeszli razem przez opustoszałą rezydencję. Z pokojów, które mijali, niesły się szepty, wskazujące na obecność uczniów. Nie zatrzymali się nigdzie. Wszyscy mieli swoje zmartwienia, a Nancy nieprzyjemne uczucie, że pomagając Jack niszczyć ciało Loriei, dołącza do wrogiego obozu w oczach tych, którzy byli przyjaciółmi zmarłej dziewczyny. Nigdy wcześniej nie narobiła sobie tylu wrogów, w dodatku tak szybko. Wcale jej się nie podobała ta sytuacja. Tylko nie widziała sposobu, jak ją zmienić.

Kiedy szli w stronę drzew, na zewnątrz nie spotkali nikogo. Trawnik był pusty, nawet kruki odleciały, żeby poszukać pożywniejszych kąsków. Wszędzie panowała niesamowita cisza.

Nie znaleźli Jill wśród drzew. Nancy niemal poczuła rozczarowanie. Spodziewała się, że wejdzie do osłoniętego zagajnika i zobaczy dziewczynę siedzącą na korzeniu, upozowaną na bohaterkę z powieści gotyckiej, z parasolką chroniącą przed zabłąkanymi promieniami słońca, które ośmieliły się za bardzo zbliżyć. Zamiast tego słońce świeciło bez przeszkód, a oni byli sami.

– Jedno miejsce odpada – stwierdziła Nancy, nagle zdenerwowana.

A jeśli Kade zechce ją pocałować? A jeśli nie będzie chciał jej pocałować? Nie było dobrej odpowiedzi, więc Nancy zrobiła to, co zawsze robiła w chwilach dezorientacji albo strachu: znieruchomiała, zmieniając się w posąg dziewczyny.

– O! – Wydawało się, że Kade naprawdę jest pod wrażeniem. – To dopiero sztuczka. Naprawdę zamieniasz się w kamień czy tylko tak się wydaje? – Trącił ją lekko w ramię jednym palcem. – Nie, nadal ciało. Stoisz naprawdę nieruchomo, ale nie jesteś nieożywiona. Jak to robisz? Oddychasz w ogóle? Ja tak nie potrafię.

– Pani Cieni wymagała, żeby wszyscy, którzy jej służą, potrafili stać zupełnie bez ruchu – wyjaśniła Nancy, zmieniając pozę. Jej policzki znowu poczerwieniały.

Wszystko szło tak źle. – Przepraszam. Mam skłonność do zamierania w bezruchu, kiedy jestem zdenerwowana.

– Nie martw się, ze mną jesteś bezpieczna – zapewnił ją Kade. – Kimkolwiek jest zabójca, uderza tylko wtedy, gdy ktoś jest sam. Trzymajmy się razem, a wszystko będzie dobrze.

Ale to z twojego powodu się denerwuję, pomyślała Nancy. Zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Skoro naprawdę tak myślisz. Jill tutaj nie ma. Powinniśmy wracać na strych, zanim Jack i Christopher zaczną się o nas martwić.

Ruszyli obok siebie z powrotem tą samą drogą, która przyszedli. Palce Nancy spoczywały na przedramieniu Kade'a, oczy przeszukiwały rozległy trawnik, wypatrując jakiegoś śladu tego, co się wydarzyło. Musiało być coś, co pozwoliłoby wszystko poskładać, żeby nabrało sensu. Nie mogli tak po prostu być zdani na łaskę niewidzialnego mordercy, który zarzynał ich bez wyraźnego powodu.

– Ręce – szepnęła.

– Co z nimi? – zapytał Kade.

– Właśnie myślałam o dłoniach Sumi. Ona naprawdę dobrze się nimi posługiwała, wiesz? Jakby były w niej najważniejszą rzeczą. Może ktoś stara się odebrać nam to, co cenimy najbardziej. Nie wiem jednak dlaczego. Ani skąd to wie.

– To ma sens – przyznał Kade. Dotarli do stopni ganku i ruszyli w górę. – Większość uczniów straciła rzeczy, które były dla nich najważniejsze, kiedy ich drzwi się zamknęły. Może ktoś jest tak załamany, że robi wszystko, by unieszczęśliwić innych? Skoro on musi nieszczęśliwy, niech inni też będą.

– Ale przecież nie jest się nieszczęśliwym, kiedy się jest martwym – sprzeciwiła się Nancy.

– Mam nadzieję – rzucił Kade i sięgnął do klamki.

Drzwi otworzyły się, zanim ich dotknął.

Kakao

W progu stała Lundy i mierzyła ich podejrzliwym wzrokiem.

– Gdzie byliście?

– Dzień dobry, proszę pani – powiedział Kade. – Zajęliśmy się Lorielem, tak jak kazała panna Eleanor, a potem poszliśmy szukać Jill. Jack i Christopher rozglądają się w środku, my wyszliśmy na zewnątrz. Tam jej nie było. Możemy wejść?

– Nie powinna być sama – zaniepokoiła się Lundy, odsuwając się na bok i szerzej otwierając drzwi, żeby ich wpuścić. – Dlaczego nie wzięliście jej ze sobą?

– Usunięcie krwi z jej sukni byłoby naprawdę trudne – odpowiedziała Nancy bez namysłu. Lundy skierowała na nią zaskoczone, urażone spojrzenie i się skrzywiła. – Hm, przepraszam. To prawda. Nie da się usunąć krwi z tafty, nieważne, jak mocno się szoruje.

– Jakimi fascynującymi życiowymi mądrościami potrafisz się dzielić. Musicie oboje wrócić do środka. Na zewnątrz nie jest bezpiecznie. – Wzrok Lundy zatrzymał się na Nancy, chłodny i oceniający.

Nancy zadrżała, starając się ukryć niepokój. Jej dłoń nadal spoczywająca na przedramieniu Kade'a zacisnęła się mimo woli.

– Dobrze – powiedziała. – Zobaczymy się na lunchu.

Minęli Lundy i pod rozjarzonym żyrandolem z zamrożonych łez ruszyli w górę po schodach. Dopiero kiedy znaleźli się na strychu, Nancy pozwoliła, żeby wewnętrzny dygot zwyciężył. Osunęła się na podłogę, oparła plecy o ścianę i przyciągnęła kolana do piersi.

Bądź nieruchoma, pomyślała. Bądź nieruchoma, bądź nieruchoma, bądź nieruchoma. Jednakże podstępne ciało ją zdradziło, tak że trzęsła się jak liść na silnym wietrze.

– Nancy? – Kade miał przestraszony głos. Ukłękł obok niej i położył dłoń na jej ramieniu. – Nancy, co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Ona myśli, że ja to zrobiłam. – Jej głos był cichy i piskliwy, ale słyszalny. Nancy wzięła głęboki wdech, uniosła głowę z kolan i spojrzała na Kade’a. – Lundy myśli, że ja to zrobiłam. Myśli, że to ja zabiłam Sumi i Lorie. Przybywam ze świata pełnego duchów. Jestem bliżej z Jack i Jill niż z kimkolwiek innym tutaj, poza tym wszyscy są tutaj od zawsze i jeszcze nikogo nie zabili. Ale kiedy ja się pojawiłam, ludzie zaczęli padać martwi. Podejrzewanie nowej dziewczyny ma sens. A kiedy nowa dziewczyna nie ma nic przeciwko pomocy przy ciałach, łatwo o oskarżenie. Ona myśli, że ja to zrobiłam, bo wszystko inne byłoby skomplikowane i trudne.

– Lundy wymyśla różne historie – powiedział Kade uspokajająco, masując plecy Nancy. – Spędziła za dużo czasu na Targu Goblinów, ma bajki we krwi. To prawda, że jesteś najbardziej logiczną podejrzaną: nowa dziewczyna, żadnych silnych więzów, Podziemie. Pewnie masz rację, że Lundy cię podejrzewa. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że Eleanor pozwoli jej cię skrzywdzić. Eleanor wie, że tego nie zrobiłaś, podobnie jak ja. A teraz chodź. Mam na strychu przenośną kuchenkę i czajnik. Przygotuję ci coś gorącego do picia, co ukoji twoje nerwy.

– Właściwie już zrobiłam kakao – odezwała się Jack, wystawiając głowę przez drzwi. – Znaleźliście moją siostrę?

– Nie, a wy? – Kade zmarszczył brwi. – Myślałem, że skoro my jej nie znaleźliśmy, to wam się udało. Sprawdzaliście w jadalni?

– Tak. Również w bibliotece i w klasie, w której mieliśmy być o tej porze, na wypadek gdyby ona była tak zaabsorbowana myśleniem o swoich włosach, że nie zwróciła uwagi na to, co się wokół niej dzieje. – Frustracja Jack wydawała się powierzchowna, jakby stanowiła przykrywkę dla jej aż nazbyt prawdziwej troski. – Nie było jej w żadnym z miejsc, do których zaglądaliśmy. Miałam nadzieję, że wy ją znajdziecie.

– Przykro mi. – Kade wstał i wyciągnął rękę do Nancy. – Szukaliśmy, nie znaleźliśmy, dostaliśmy burę od Lundy, a Nancy...

– Trochę popłakała, kiedy się zorientowała, że Lundy ją podejrzewa – dokończyła Nancy, ujmując dłoń Kade’a i stając na nogi. – Już mi lepiej. Dopóki Eleanor mnie nie podejrzewa, pewnie nie zostanę wyrzucona. Trzymajmy się razem, żeby żadnemu z nas nic się nie stało, a przetrwamy to wszystko jako grupa.

– Hm – mruknęła Jack ze smutną miną. – Ja nie byłam częścią żadnej grupy, odkąd opuściliśmy starą szkołę. No, chodźcie. Jak już wspomniałam, zrobiłam gorącą czekoladę, a Christopher wypije całą, jeśli zbyt długo zostawimy go samego.

– Słyszałem! – krzyknął Christopher.

Jack prychnęła i cofnęła się do pokoju na strychu.

Kade posłał Nancy zmartwione spojrzenie, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, ścisnęła jego dłoń, a potem ją puściła i weszła przed nim na poddasze. Zgodnie z obietnicą powietrze pachniało gorącą czekoladą. Christopher siedział na stercie książek z kubkiem w rękach i z wąsami z bitej śmietany na wardze, Jack stała przy kuchence i szykowała następne trzy porcje napoju. Kade uniósł brew.

– Gdzie znalazłaś bitą śmietanę? – spytał.

– Miałam mleko i naukę – odpowiedziała Jack. – To zdumiewające, jak wiele kulinarnych osiągnięć można podsumować tym zdaniem. Robienie sera, na przykład. Idealne połączenie mleka, nauki i głupiego braku szacunku dla praw natury.

– Co tu mają do rzeczy prawa natury? – zdziwiła się Nancy, podchodząc i biorąc jeden z kubków. Zapach był kuszący. Spróbowała łyk i jej oczy się rozszerzyły. – To smakuje jak...

– Granat, wiem – przerwała jej Jack. – Twój napój jest doprawiony melasą granatową. Christopher ma w swoim szczyptę cynamonu, a Kade gęstą śmietanę, którą ukradłam z prywatnego zapasu panny Eleanor. Ona nie zauważyła. Zamawia ją w Anglii na kilogramy, a następna dostawa przybędzie za trzy dni.

– A twój? – zainteresowała się Nancy.

Jack się uśmiechnęła, unosząc kubek w niemym toaście.

– Trzy krople ciepłej soli fizjologicznej i szczypta tojadu. Nie tyle, żeby był dla mnie niebezpieczny – jestem człowiekiem wbrew temu, co mówi Angela – ale dość, żeby czekolada smakowała jak łyż i wiatr, kiedy pędzi o północy przez wrzosowisko. Gdybym знаła smak krzyku, też bym go dodała i nigdy więcej niczego nie wypięła, póki żyję.

Christopher przełknął duży haust czekolady, pokręcił głową i stwierdził:

– Wiesz, czasami niemal zapominam, jaka jesteś upiorna, a potem ty się pojawiaasz i mówisz coś takiego.

– Najlepiej, żebyś pamiętał o mojej naturze przez cały czas – skwitowała Jack i podała Kade'owi kubek.

– Dziękuję.

– Tylko nikomu o tym nie mówcie – ostrzegła Jack.

Nie kierowała nią skromność. W jej ustach było to błaganie, żeby chwilowa dobroć została szybko zapomniana i nikt nie uznał jej za słabość. Kącik jej ust drgnął w przelotnym uśmiechu, a potem Jack się odwróciła i ruszyła przez pokój z kubkiem w ręce, żeby znaleźć sobie miejsce na którymś ze stosów książek.

– Przytulnie tu, co? – Kade wrócił na swoją zwykłą grzędę, zostawiając Nancy samą przy kuchence.

Ona się rozejrzała, a następnie skierowała do jednego z nielicznych prawdziwych mebli na poddaszu: staromodnego, wyściełanego aksamitem fotela, z trzech stron otoczonego przez książki, ale jeszcze nie całkiem przez nie zaanektowanego. Zagłębiła się w jego objęciach, trzymając kubek.

– Mnie się podoba – odezwał się Christopher, kiedy stało się jasne, że nikt inny nie zamierza nic powiedzieć. Wzruszył ramionami i dodał: – Tamci goście... nie mam na myśli ciebie, Kade, tolerują mnie, bo jest nas tutaj tak mało, ale oni wszyscy byli w promiennych światach. Uważają, że mój jest dziwny, więc nie mogę z nimi o tym za dużo rozmawiać. Zaczynają obrażać Szkieletową Dziewczynę, a wtedy ja muszę walić ich w te głupie gęby, dopóki nie przestaną. Nie jest to najlepszy sposób na zawieranie przyjaźni.

– Raczej nie – zgodziła się Jack. – Ja miałam podobne historie, kiedy próbowałam zaprzyjaźnić się z innymi uczniami. Przestałam próbować wcześniej niż Jill. Oni chcieli rozmawiać jedynie o tym, jakie dziwne musiały być Wrzosowiska i gorsze od ich cudownych krain z waty cukrowej. Szczerze mówiąc, nie dziwię się, że mnie podejrzewają. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego, według nich, tak długo czekałam z zabijaniem.

– No proszę, nawet tworzenie więzi zrobiło się upiorne – skomentował Christopher wesołym tonem i napił się czekolady. – Na szczęście wybaczę ci wszystko za takie dobre kakao.

– Jak już mówiłam, gotowanie to forma nauki, a ja jestem naukowcem – oświadczyła Jack.

– Musimy odkryć, co się dzieje – przypomniał im Kade. – Nie wiem jak wy, ale ja nie jestem zbyt dobrze przygotowany do tego, żeby wrócić do dawnego życia. Moi rodzice nadal sądzą, że w jakiś magiczny sposób odzyskają swoją córeczkę, którą stracili. Nie pozwalali mi przyjeżdżać do domu przez pięć lat. Nie, może to niesprawiedliwe... albo zbyt sprawiedliwe. Nie przyjmą mnie z powrotem. Chyba że włożę spódnice i każę mówić na siebie „Katie”. Wtedy powitają mnie z otwartymi ramionami. To raczej pewne, że kiedy szkoła zostanie zamknięta, będę bezdomny.

– Moi starzy pozwoliliby mi wrócić – powiedział Christopher. – Myślą, że to wszystko jest jedynie jakimś skomplikowanym załamaniem spowodowanym przez rzeczy, które się wydarzyły, zanim „uciekłem”. Mama szczerze wierzy, że Szkieletowa Dziewczyna to jakaś koleżanka, w której się zakochałem, a ona umarła na anoreksję. Regularnie pyta mnie, czy jeszcze pamiętam jej „prawdziwe imię”, żeby mogli odnaleźć jej rodziców i powiedzieć im, co się z nią stało. To naprawdę smutne, bo tak bardzo im zależy i zarazem tak bardzo myślą się we wszystkim. Szkieletowa Dziewczyna jest prawdziwa i nie jest martwa, ale nigdy nie była żywa w taki sposób jak ludzie tutaj.

– Szkieletowi ludzie na ogół nie są żywi – stwierdziła Jack, odstawiając kubek. – Gdyby byli, spodziewałabym się, że umrą natychmiast ze względu na brak działających układów krążenia albo oddechowego. Sam brak ścięgien...

– Na imprezkach musisz być duszą towarzystwa – przerwał jej Christopher.

Jack uśmiechnęła się z wyższością.

– To zależy od rodzaju imprezy. Jeśli są łopaty, jestem życiem, śmiercią i odrodzeniem.

– Ja nie mogę pojechać do domu – wyznała Nancy. – Moi rodzice są chyba tacy sami jak Christophera. Kochają mnie, ale nie rozumieli, jeszcze zanim odeszłam, a teraz równie dobrze mogłabym pochodzić z innej planety. Wciąż starają się zmusić mnie do noszenia kolorów, jedzenia codziennie i chodzenia na randki z chłopakami, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby wszystko było jak kiedyś. Ale zanim trafiłam do Podziemia, też nie chciałam umawiać się z chłopcami, i teraz również nie chcę. Nie będę. Nie mogę.

– Nikt nie będzie cię zmuszał do robienia tego, czego nie chcesz robić. – Kade mówił tonem sztywnym i trochę urażonym.

Nancy pokręciła głową.

– Nie to miałam na myśli. Z dziewczynami też nie chcę chodzić na randki. Z nikim nie chcę się umawiać. Jasne, ludzie są ładni, a ja lubię patrzeć na ładne rzeczy, ale nie chcę chodzić na randki z obrazami.

– Aha – mruknął Kade i uśmiechnął się lekko. Sztywność zastąpiło zrozumienie. Nancy podniosła wzrok znad kubka i odwzajemniła uśmiech. – Cóż, zdaje się, że wszyscy mamy powody, żeby nie zamknęli tej szkoły. Zastanówmy się więc. Dwie śmierci. Sumi i Loriel. Co one miały ze sobą wspólnego?

– Nic – stwierdził Christopher. – Sumi trafiła do Lustra, Loriel do Krainy Wrózek. Wysoki Nonsens i wysoka Logika. Nie spędzały razem czasu, nie miały wspólnych przyjaciół ani takich samych rozrywek. Sumi lubiła składanie origami i plecenie bransoletek, Loriel puzzle i kolorowanki. Spotykały się tylko na lekcjach i w jadalni, a ja jestem pewien, że przestałyby to robić, gdyby mogły. Nie były wrogami. Po prostu... nie były zainteresowane.

– Nancy powiedziała wcześniej o dłoniach Sumi, że one były w niej najważniejsze – przypomniał Kade.

Jack usiadła prosto.

– To dziwne i okrutne z twojej strony, Nancy.

Nancy się zarumieniła.

– Przepraszam. Ja tylko... pomyślałam...

– Och, to nie była nagana. Tylko że zwykle, jeśli ktoś tutaj jest dziwny i okrutny, to ja. – Jack zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – Może jednak na coś wpadłaś. Każde z nas ma jakąś cechę, która zwraca uwagę, wrodzony atrybut,

dzięki któremu po drugiej stronie mogliśmy być szczęśliwi. To tylko przypuszczenie, wiem, oparte na obserwacji tych, którzy przeżyli. Może większość z tych, którzy przechodzą przez drzwi, nigdy nie wraca, więc my zawsze widzimy najlepszy scenariusz. Tak czy inaczej, musimy mieć coś, dzięki czemu wyszliśmy żywi z tej całej historii. I zdaje się, że to nieuchwytnie „coś” jest skoncentrowane w jakiejś części ciała.

– Jak oczy Lorie – rzucił Kade.

Jack pokiwała głową.

– Właśnie. Albo niewiarygodna muskulatura Nancy... Nie patrz tak na mnie, potrzeba bardzo silnych mięśni, żeby stać przez tyle czasu bez ruchu. Albo nogi Angeli czy uroda Serafiny. Dziewczyna ma w środku cuchnące wiadro pijawek, ale twarz, za którą nawet anioły mogłyby zabić. Widziałam jej zdjęcia sprzed podróży. Zawsze była ładna. Ale zanim wyruszyła w drogę, nie wyglądała jak Helena Trojańska.

– Jak mogłaś widzieć jej zdjęcia sprzed podróży? – zdziwił się Kade.

– Mam Internet, a jej hasło do Facebooka to imię jej kota, którego zdjęcie ma nad łóżkiem. – Jack prychnęła. – Jestem geniuszem o nieskończonym potencjale i bardzo ograniczonej cierpliwości. Ludzie nie powinni mnie tak testować.

– Zapamiętam to sobie na przyszłość – powiedział Kade. – Co sugerujesz?

– Chodzi o to, że kiedy pracowałam dla doktora Bleaka, on czasami chciał, żebym zbierała dla niego różne rzeczy. Tylko najlepsi to robili, co było słuszne i sprawiedliwe. On też był geniuszem, ale ja mogę sobie jedynie pomarzyć, że mu kiedyś dorównam. W każdym razie, kiedy mówił: „potrzebuję sześć nietoperzy”, ja spędzałam całe dni z siatką na wrzosowiskach, łapiąc najlepsze, największe, najdoskonalsze okazy. Albo mówił: „potrzebuję złotego karpia bez choćby jednej srebrnej łuski”, a wtedy ja siedziałam przez tydzień nad rzeką i łowiłam rybę za rybą, aż trafiałam na optymalną. Kiedy indziej mówił: „potrzebuję idealnego psa, ale nigdy nie znajdziesz idealnego psa, więc idź i zdobądź części, których potrzebuję”. Głowy, zady, ogony i palce. Zbierałam je wszędzie i mu przynosiłam.

– Okay, po pierwsze, to obrzydliwe – stwierdził Christopher. – Po drugie, nieludzkie. Po trzecie, mówisz, że jakiś szalony naukowiec próbuje stworzyć idealną dziewczynę z najlepszych części nas wszystkich?

– Ja jestem jedynym szalonym naukowcem w tej szkole i nie zabijam ludzi – oświadczyła Jack. – A pomijając tę kwestię? Tak, mówię, że czasami w morderstwie nie chodzi o ciała ani o martwych, tylko o rzeczy, które zostają. Czasami w morderstwie chodzi o to, czego brakuje.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy podskoczyli, nawet Jack. A z kubka Nancy chlusnęło trochę napoju. Jack usiadła prosto, odstawiła kakao i napięła mięśnie jak wąż szykujący się do ataku. Kade odchrząknął.

– Kto tam?! – zawołał.

– Jill.

Gałka się obróciła, drzwi się otworzyły. Do środka weszła druga z bliźniaczek Addams. Rozejrzała się i oznajmiła:

– Szukałam cię, a kiedy nie znalazłam, postanowiłam przyjść tutaj, bo to najwyższy punkt domu i najbliższy słońca, czyli najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym możesz być. I jesteś. Dlaczego uciekłaś i zostawiłaś mnie samą na tak długo?

– Pozbywałam się ciała, tak jak mnie poproszono. – Jack zsunęła się ze swojej grzędy i poprawiła kamizelkę. – A skoro mowa o ciele, kwas powinien już skończyć z tkankami miękkim Lorielem. Christopherze, chcesz pomóc mi z kośćmi?

– Jasne – odparł chłopak z lekkim rozbawieniem w głosie, wstał, odstawił kubek i wyszedł z poddasza za Jack.

Jill nic nie powiedziała, kiedy jej siostra znowu ją zostawiła. Posłała Kade'owi promienny, szczery uśmiech i zapytała:

– Jest więcej kakao?

Jej szkielet spowity w tęczę

Jack pędziła w dół po trzy stopnie naraz, jakby schody osobiście rzuciły jej wyzwanie, aż w końcu Christopher musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku. Przez cały ten czas nie widać było po niej wysiłku; pozostawała całkowicie spokojna, z chłodnym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami, nie oddychała ciężko ani nie sprawiała wrażenia, że daje z siebie wszystko. Nic nie mówiła, za co Christopher był wdzięczny. Nie miał pewności, czy zdołałby jej odpowiedzieć bez sapania.

– Musimy oczyścić kości, zanim je przywołasz? – spytała Jack, kiedy pokonywali ostatni odcinek korytarza między schodami a piwnicą. Nie natknęli się na żadnych uczniów. Od wyjścia z pokoju na strychu nie widzieli nikogo. Mogłoby się wydawać, że kampus jest opustoszały, gdyby nie szepty dobiegające zza zamkniętych drzwi. – Kwas jest ładny, ale niedobrze jest ubierać w niego tancerkę.

– Fakt – potwierdził Christopher, wyjmując z kieszeni kościany flet, głównie dla otuchy. – Ona wstanie czysta i śliczna. W Krainie Kości uwolnilibyśmy nowych mieszkańców... – Umilkł w pół zdania, jakby właśnie sobie uświadomił, że omal nie wymknęło mu się coś okropnego.

Jack otworzyła drzwi piwnicy i na niego spojrziała.

– No, teraz jestem naprawdę ciekawa. Musisz mi powiedzieć. Nie martw się, że mnie zdenerwujesz. Kiedyś usunęłam płuca człowiekowi, gdy on jeszcze żył, był przytomny i próbował mówić.

– Dlaczego miałabyś coś takiego robić?

– A dlaczego nie? – Jack wzruszyła ramionami i zaczęła schodzić po schodach.

Christopher patrzył za nią przez chwilę, a potem ruszył w dół. Kiedy ją dogonił, powiedział wyzywająco:

– Uwalnialiśmy nowych mieszkańców, rozcinając ich ciała. Duże, głębokie cięcia aż do kości. W ten sposób szkielety znajdujące się w środku mogły wstać bez trudzenia się i ryzyka połamania. Kości wolno się goją, nawet poza ciałem.

– Fakt, że kości w ogóle się goiły, jest dla mnie dziwną rzeczą – stwierdziła Jack spokojnym głosem. – Tam zasady były zupełnie inne. Dla nas wszystkich.

– Tak – zgodził się Christopher, patrząc na czerwony płyn wypełniający wannę. Na powierzchni pływało kilka dziwnych kawałków. On wolał nie myśleć o nich zbyt intensywnie.

– Nie powinieneś nikomu powtarzać tego, co mi właśnie powiedziałaś. Małostkowi głupcy pomyślą, że chirurgia i rzeźnictwo są tym samym. Spójrz, jak na mnie patrzą. Na razie jesteś jednym z nich, ale nie popełnij błędu i nie sądz, że to nie może się zmienić. – Jack podeszła do szafy. – Wszystko się zmienia.

– Wiem. – Christopher uniósł flet do ust i zaczął grać.

Nie rozległ się żaden dźwięk, który mogliby usłyszeć żywi. Była jedynie idea dźwięku, nagłe, przytłaczające wrażenie, że coś zostało przeoczone, coś małego, subtelnego, ukrytego między molekułami ciszy. Jack otworzyła szafę, wyjęła z niej krawat i zaczęła zdejmować z szyi muszkę, nasłuchując uważnie. Usłyszała własny oddech. Usłyszała palce Christophera muskające kość. Usłyszała plusk.

Odwróciła się.

Christopher nadal grał, a Lorieł siadała w wannie, wypolerowana kościana rzeźba. Jej łopatki były delikatnymi skrzydłami, czaszka hymnem ku czci eleganckiej tancerki kryjącej się pod ciałami wszystkich, którzy chodzili po ziemi. Całość miała perłowy połysk jak opal. Jack zastanawiała się przez chwilę, czy to działanie kwasu, czy magia fletu Christophera. Żałowała, że prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. Szkoła, choć przyjemna, nie starała się zapewnić jej ciała do badania.

Powoli, ostrożnie, szkielet wstał, chwiejąc się lekko, i wyszedł z wanny. Kropla kwasu stoczyła się z jego łokcia i spadła na podłogę. Po zetknięciu się z kamieniem zasyczała i wyżarła w nim dziurę. Lorieł zakołysała się i skierowała puste oczodoły w stronę Christophera.

– To zdumiewające. – Jack zrobiła krok do przodu. – Czy ona cię widzi? Jest świadoma? Czy to tylko ożywia jej kości? Działa na każdy szkielet czy jedynie na szkielety tych, którzy zmarli gwałtowną śmiercią? Możesz... Nie możesz odpowiedzieć na moje pytanie, póki nie przestaniesz grać, tak?

Christopher pokręcił głową i wskazał łokciem w stronę schodów, które prowadziły do dawnych drzwi dla służby.

– Otworzę je – powiedziała Jack.

Pobiegła do drzwi, po drodze zawiązując krawat. Jej palce, choć nie tak zręczne jak Sumi, były szybkie, a węzeł znajomy. Zanim dotarła do drzwi i je otworzyła, znowu prezentowała się nienagannie. Wyglądało na to, że ze wszystkiego, czego nauczyła się od doktora Bleaka, umiejętność ubierania się

w biegu najbardziej przyda się jej w tym dziwnym, często pogmatwanym świecie, który obecnie nazywała „domem”.

Christopher podążył za nią bardziej statecznym krokiem, przez całą drogę grając na flecie. Loriel sunęła za nim, grzechocząc palcami stóp o schody, który to dźwięk był prawie nieodróżnialny od stukania suchych gałęzi w szyby okienne. Jack patrzyła, jak osobliwa para wychodzi na zewnątrz, a potem zamknęła drzwi i ruszyła za nimi.

– Szukamy jakiegoś miejsca, żeby ją pogrzebać, tak żeby nigdy jej nie znaleziono? – zapytała, a kiedy Christopher skinął głową, poleciała: – Więc idź za mną.

Razem przeszli przez teren posiadłości: dziewczyna, chłopiec i tańczący szkielet spowity w tęcze. Ci, którzy jeszcze mieli tkanki i język, nic nie mówili. Była to dla Loriel ceremonia najbardziej zbliżona do pogrzebu, więc umniejszanie jej znaczenia wydawało się niestosowne. Doszli do miejsca, gdzie kończył się wypielęgnowany trawnik, a zaczynał gąszcz, chwasty i kawałek kamienistej ziemi, którego nigdy nie uprawiano ani nie traktowano inaczej niż ugór. Oczywiście właścicielką każdego skrawka była Eleanor West. Kiedyś cała okolica w promieniu wielu mil znajdowała się w posiadaniu jej rodziny, a ona ją odziedziczyła jako ostatnia z rodu. Odmawiała jej sprzedaży, nie pozwalała na zabudowę parceli otaczającej szkołę. Miejscowi działacze na rzecz ochrony środowiska uważali ją za wroga. Niektórzy z jej największych krytyków mówili, że zachowuje się jak osoba, która ma coś do ukrycia, i w pewnym sensie mieli rację. Panna West rzeczywiście musiała coś chronić. I to czyniło ją niebezpieczną bardziej, niż tamci mogli przypuszczać.

– Zaczekaj – rzuciła Jack, kiedy dotarli do ugoru. Odwróciła się do Loriel. – Jeśli mnie słyszysz i potrafisz zrozumieć, kiwnij głową. Proszę. Wiem, że mnie nie lubiłaś, kiedy żyłaś. Ja też ciebie nie lubiłam, ale teraz chodzi o innych. Uratuj ich. Odpowiedz na moje pytanie.

Christopher nadal grał. Mimo braku ścięgien i mięśni czaszka Loriel powoli opadła w stronę mostka. Jack wypuściła powietrze.

– Widzisz, może być tak jak z wywoływaniem duchów, że twoje odpowiedzi w rzeczywistości podyktuje Christopher, ale nie sądzę. Może tak byłoby tygodnie temu, ale teraz w szkole jest Nancy, a duchy pragną być przy niej. Myślę, że nadal jesteś Loriel, na pewnym poziomie, głęboko w środku. Proszę więc, jeśli możesz, powiedz mi, kto cię zabił.

Loriel stała nieruchomo przez kilka sekund. Potem wolno, jakby każdy ruch był niemożliwym wysiłkiem, uniosła prawe ramię i wycelowała palec wskazujący w miejsce obok Jack. Ona odwróciła się i zobaczyła pustkę.

– Chyba prosiłam o zbyt wiele – stwierdziła z westchnieniem. – Christopherze?

Chłopiec kiwnął głową i przesunął palcami po flecie. Szkielet ruszył w dół niskiego wzniesienia. I szedł dalej, jakby schodził w głąb ziemi po niewidzialnych schodach. W ciągu niecałej minuty czaszka zniknęła pod powierzchnią gruntu. Christopher opuścił flet.

– Była piękna – powiedział.

– Uznałabym to za mniej upiorne, gdybyś mówił o niej, kiedy jeszcze miała na sobie skórę. Wracajmy do reszty. Nie jest bezpiecznie być samym.

Jack się odwróciła i ruszyła przed siebie, a Christopher podążył za nią. Razem powlekli się przez rozległy zielony trawnik.

Ptaki Avalonu

W czasie obiadu panowała sztywna atmosfera, nikt się nie odzywał, niewiele osób jadło. Po raz pierwszy upodobanie Nancy do picia soków owocowych i przesuwania stałego pokarmu po całym talerzu nie wydawało się dziwne. Jeśli już, dziwna była jej gotowość, żeby w ogóle coś przełknąć. Przyłapała się na tym, że wodzi wzrokiem po innych uczniach, próbując odgadnąć ich historie, ukryte światy, domyślić się, co, jeśli w ogóle coś, mogłoby pchnąć ich do zabójstwa. Może gdyby przebywała tam dłużej, nie byłiby dla niej tacy obcy i potrafiłaby znaleźć odpowiedzi, których potrzebowała. W tej sytuacji wydawało się, że nie jest w stanie znaleźć niczego oprócz pytań.

Po obiedzie odbyło się zebranie w bibliotece. Panna West chwaliła wszystkich za spokój i opanowanie, podziękowała Jack, Nancy i reszcie za pozbycie się ciała Loriel. Nancy poczerwieniała i osunęła się niżej na krześle, żeby uniknąć spojrzeń obecnych. Dla nich to ona była obca, a jej zażyłość z martwymi podejrzana.

Eleanor wzięła głęboki wdech i spojrzała na uczniów z posępnym wyrazem twarzy.

– Jak wszyscy wiecie, moje drzwi są nadal otwarte. Moim światem jest Nonsens z wysoką Cnotą i umiarkowanym Rymem jako przeciwnymi kierunkami. Wielu z was nie byłoby w stanie w nim przeżyć. Brak logiki i rozumu by was zniszczył. Ale tym, którzy kwitną w Nonsense, jestem gotowa pozwolić przejść na drugą stronę. Możecie się tam ukryć na jakiś czas.

Przez pokój przebiegł szmer, a towarzyszyło mu kilka szybkich, zduszonych szlochów. Dziewczyna o jasnoniebieskich włosach zgięła się wpół, ukryła twarz na kolanach i zaczęła kołysać się w przód i w tył, jakby mogła w ten sposób złagodzić stres. Jeden z chłopców wstał, poszedł w róg sali i odwrócił się do wszystkich plecami. Gorszy byli ci, którzy po prostu siedzieli i płakali, łzy płynęły po ich twarzach, ciasno splecione ręce leżały na kolanach.

Nancy w osłupieniu spojrzała na Kade'a. On westchnął i nachylił się do niej.

– Panna Eleanor bardzo pilnuje swoich drzwi. Potrafią być kapryśne, a ona tak długo czekała, żeby wrócić, że za każdym razem, kiedy kogoś przepuszcza, ryzykuje, że ten ktoś ją zastąpi. Teraz proponuje, że przepuści wszystkich uczniów, którzy dobrze się czują w Nonsensie. To oznacza, że ona się boi i robi, co może, żeby nas chronić. – Kade mówił ściszym głosem. Uczniowie wokół nich chyba nic nie zauważyli. Większość była zbyt zajęta płaczem. Nawet Jill szlochała po drugiej stronie pokoju, opierając się o siostrę. Tylko oczy Jack pozostawały suche. – Kłopot polega na tym, że Nonsens jest jednym z dwóch dużych kierunków. Panna West może w najlepszym razie uratować połowę uczniów, bo nie wszyscy, którzy byli w świecie Nonsensu, są przystosowani do każdego świata Nonsensu. One bardzo się różnią między sobą. Może jedna czwarta z tych dzieciaków będzie w stanie przejść na drugą stronę.

– Aha – mruknęła Nancy.

To i owo wiedziała o fałszywej nadziei, choć propozycja mogła być złożona w dobrej wierze. Eleanor próbowała ratować swoich ukochanych podopiecznych w jedyny sposób, jaki знаła. A robiąc to, raniła ich.

Panna West wzięła drżący wdech.

– Przypominam, moi kochani, że chodzenie do tej szkoły jest dobrowolne. Jeśli ktoś z was chce zadzwonić do rodziców i poprosić ich, żeby zabrali go do domu, zwrócę resztę opłaty za semestr i nie będę próbowała go zatrzymać. Proszę jedynie, żebyście ze względu na uczniów, którzy zostaną, nie mówili rodzicom, dlaczego chcecie się wycofać. Znajdziemy sposób, żeby wszystko naprawić.

– Doprawdy? – odezwała się z goryczą Angela. – Dla Lorieł też?

Eleanor odwróciła wzrok.

– Idźcie na lekcje – powiedziała cichym i nagle starym głosem.

Stała z opuszczoną głową, kiedy uczniowie rzędkiem wychodzili z sali. Niektórzy nadal płakali. Panna West wkrótce miała odszukać dzieci Nonsensu, klepnąć je po ramieniu i zaprowadzić do swoich drzwi. Niektórzy przez nie przejdą, była tego pewna. Zawsze znalazło się kilkoro, dla których jej świat znajdował się dostatecznie blisko. Wprawdzie nie był domem, niebem w szachownicę ani lustrzanym morzem, o których śnili, ale... wystarczająco do nich zbliżonym. Na tyle, żeby byli szczęśliwi i zaczęli znowu żyć. I kto wie? Portale otwierały się wszędzie. Może pewnego dnia dzieci tego świata, które przeszły do tamtego, żeby się uratować, zobaczą drzwi niepasujące dokładnie do ściany, w której zostały osadzone, drzwi z gałką zrobioną z księżycy albo z mrugającą kołatką. Może jeszcze wrócą do siebie.

Czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. Panna West obejrzała się i zobaczyła Kade'a ze zmartwioną miną. Zerknęła w stronę krzeseł. Siedziała tam Nancy, znowu pogrążona w całkowitym bezruchu. Jej obecność nie miała znaczenia. Było

tutaj zbyt wiele sekretów, żeby próbować je ukryć. Eleanor odwróciła się z powrotem do Kade'a i ze szlochem ukryła twarz na jego piersi.

– Wszystko w porządku, ciociu Ely – powiedział Kade, głaszcząc ją po plecach. – Rozwiążemy tę sprawę.

– Moi uczniowie umierają – poskarżyła się Eleanor. – Umierają, a ja tak niewiele z nich mogę umieścić w bezpiecznym świecie. Nie mogę uratować ciebie. Kiedy znalazłeś swoje drzwi, myślałam...

– Wiem. Szkoda dla nas wszystkich, że mam serce Logiki. – Kade nadal głąaskał Eleanor po plecach. – Będzie dobrze. Zobacysz. Rozwiążemy sprawę i będziemy trzymać drzwi otwarte, nieważne, co się będzie działo.

Panna West westchnęła i się odsunęła.

– Jesteś dobrym chłopcem, Kade. Twoi rodzice nie wiedzą, co tracą.

Jego uśmiech był smutny.

– Na tym właśnie polega kłopot, ciociu. Oni dokładnie wiedzą, co tracą, a ponieważ nigdy nie odzyskają córki, nie mają pojęcia, co ze mną zrobić.

– Głuptasie, idź do klasy – powiedziała Eleanor.

– Idę – rzucił Kade i ruszył do drzwi.

Nancy otrząsnęła się z posągowego bezruchu i podążyła za nim. Zaczekała, aż znajdą się w połowie korytarza, i spytała:

– Eleanor to twoja...?

– Cioteczna prapraprababka. Nigdy nie wyszła za mąż ani nie miała dzieci. Jej siostra natomiast urodziła ich sześcioro. Ponieważ jej matkę, a moją praprapraprababcię utrzymywał mąż, Eleanor odziedziczyła całą posiadłość. Ja jestem pierwszym z jej siostrzeńców, który znalazł własne drzwi. Była bardzo szczęśliwa, że trafiłem do Nonsensu, więc prawie miesiąc zajęło mi przyznanie się, że tak naprawdę przebywałem w świecie czystej Logiki. Ale ona i tak mnie kocha. Pewnego dnia to wszystko – wskazał na otaczające ich mury – będzie moje, a szkoła pozostanie otwarta przez kilka następnych dekad. O ile nie zamkną nas w przyszłym tygodniu.

– Na pewno nie – rzekła Nancy. – Coś wymyślimy.

– Zanim wmieszają się władze?

Nancy nie miała na to odpowiedzi.

* * *

Lekcje prowadzone przez nauczycieli, którzy wyczuwali, że na kampusie panuje niepokój, nawet jeśli nie znali – z wyjątkiem Lundy – jego przyczyny, były powierzchowne i chaotyczne. Kolację również przygotowano pośpiesznie.

Wołowina okazała się sucha, a owoce obrane tak niestarannie, że zostały na nich kawałki skórki. Uczniowie wychodzili z jadalni trójkami i czwórkami, umawiali się na wspólne nocowanie z przyjaciółmi. Nancy nie mrugnęła okiem, kiedy Kade i Christopher zjawili się w jej pokoju ze śpiworami i rzucili monetą, kto skorzysta z łóżka Sumi. Kade wygrał i usadowił się na materacu, a Christopher rozłożył śpiwór na podłodze. Wszyscy troje zamknęli oczy i udawali, że śpią, ale to udawanie trochę po północy zmieniło się u Nancy w rzeczywistość.

Śniła o duchach i cichych korytarzach, po których chodzili zmarli, spokojni i beztroscy.

Christopher śnił o tańczących szkieletach, mieniących się kolorami jak opale, i o niezmiennym, zawsze miłym uśmiechu Szkieletowej Dziewczyny.

Kade śnił o świecie we wszystkich barwach tęczy, o pryzmacie roztrzaskującym się na tysiąc odłamków światła. Śnił o domu i o przyjmowaniu go takim, jaki jest, a nie takim, jakim chcieliby go widzieć rodzice. Z nich trojga to on płakał w poduszkę i kiedy usłyszał wrzask, obudził się z mokrymi policzkami.

Odległy dźwięk dochodził zza okna. Nancy i Christopher jeszcze spali, i nic dziwnego. Pochodzili ze światów, w których krzyki były bardziej powszechne i mniej niebezpieczne niż tutaj. Kade usiadł, przetarł oczy i czekał, aż hałas się powtórzy. Tak się nie stało, więc się zawahał.

Powinien ich obudzić i zabrać ze sobą, kiedy pójdzie na zwiad? Nancy już była podejrzewana przez większość rówieśników, a Christopherowi też to groziło, jeśli nadal będzie się angażował. Kade mógł iść sam. Większość uczniów go lubiła, ponieważ to on utrzymywał ich garderobę w porządku, dlatego wybaczą mu znalezienie kolejnego ciała. Ale wtedy będzie sam, a jeśli Nancy albo Christopher obudzą się, zanim on wróci, będą się martwić. Nie chciał ich martwić.

Ukląkł i potrząsnął kolegą. Christopher jęknął, otworzył oczy i zerknął na Kade'a.

– O co chodzi? – spytał głosem zachrypniętym od snu.

– Ktoś właśnie krzyczał w zagajniku – wyjaśnił Kade. – Musimy iść i sprawdzić, co się dzieje.

Christopher usiadł, w jednej chwili rozbudzony.

– Zabieramy Nancy?

– Tak – odezwała się Nancy, wstając z łóżka. Wrzask jej nie obudził, ale rozmowa tak. W Krainie Umarłych nikt nie mówił, jeśli nie chciał, żeby go usłyszano. – Nie zostanę sama.

Żaden z chłopców nie zaprotestował. Dzielili strach przed przebywaniem samotnie w tym nawiedzonym domu, a duchy były czymś, czego nie potrafili zrozumieć.

Szli cicho, ale się nie skradali. Mieli nieśmiałą nadzieję, że ktoś się obudzi, wyjdzie z pokoju i dołączy do ich małej procesji. Jednakże drzwi pozostawały zamknięte, tak że tylko we trójkę ruszyli w stronę cienistego zagajnika, w którym Nancy i Jill szukały schronienia przed bezlitosnym słońcem. Teraz nie było słońca, a jedynie księżyc, który zerkał w dół spomiędzy chmur.

Gdy weszli między drzewa, księżycowy blask aż nadto wystarczył, żeby oświetlić Lundy, która leżała na ziemi, mała i cicha, z otwartymi oczami wpatrującymi się w liście. Nadal miała oczy, dłonie i inne części ciała. Jej ubranie nie było zakrwawione, nie brakowało żadnych kończyn.

– Lundy – wyszeptał Kade, ukląkł przy niej i sięgnął do nadgarstka, żeby sprawdzić puls.

Ten ruch sprawił, że jej głowa przetoczyła się na bok, odsłaniając to, co zostało zabrane.

Kade cofnął się gwałtownie, zerwał na równe nogi i popędził na drugą stronę polany. Tam zwymiotował w krzaki. Nancy i Christopher, nieporuszeni widokiem zakrzepłej krwi, spojrzeli na pusty czerep i podeszli trochę bliżej, drząc mimo ciepłej nocy.

– Dlaczego ktoś zabrał jej mózg? – zdziwiła się Nancy.

– Miałam zadać to samo pytanie – warknęła Angela.

Oboje się odwrócili. Angela stała na skraju zagajnika z latarką w ręce, w towarzystwie kilkorga uczniów kryjących się za nią w mroku. Świecąc prosto w oczy Nancy, zapytała szorstko:

– Gdzie jest Serafina?

– Kto to jest Serafina? – Nancy uniosła dłoń, żeby zasłonić oczy. Usłyszała kroki chwilę przed tym, jak dłoń Kade'a spoczęła na jej ramieniu. Cofnęła się o pół kroku, tak że znalazła się za nim. – Przyszliśmy tu, bo usłyszeliśmy krzyk.

– Przyszliście tu, żeby ukryć ciało – oskarżyła ich Angela. – Gdzie ona jest?

– Serafina to najładniejsza dziewczyna w szkole – wyjaśnił Kade. – Widziałas ją, Nancy. Była w świetle Nonsensu, w wysokiej Nikczemności i wysokim Rymie. Ładna jak wschód słońca, podła jak wąż. Nie ma jej tutaj, Angelo. – Jego akcent z Oklahomy nagle stał się tak wyraźny, że zdominował słowa. – Wracajcie do pokojów. Muszę obudzić pannę Eleanor. Jest szansa, że to ona wypuściła Serafinę przez swoje drzwi.

– Jeśli nie, lepiej ją oddajcie – gwałtownie wyrzuciła z siebie Angela. – Jeśli zrobiliście jej krzywdę, zabiję was.

– Nie mamy jej – odezwał się Christopher. – Jeszcze pięć minut temu spaliśmy.

– Kto jest z tobą? – zapytał Kade. – Krążyliście po kampusie, szukając kogoś, kogo można by oskarżyć? Wy też tu jesteście. To może być wasze dzieło.

– Byliśmy w dobrych, porządnym światach – oświadczyła Angela. – Promienie księżyca, tęcze i łzy jednorożców, a nie... szkielety, martwi ludzie i dziewczyny, które postanawiają zostać chłopcami!

W zagajniku nagle zapadła cisza. Nawet poplecznicy Angeli wydawali się zaszokowani jej słowami. Dziewczyna zbladła.

– Nie mówiłam poważnie – wymamrotała.

– A ja sądzę, że tak. – Panna West okrążyła grupkę Angeli i podeszła wolno do miejsca, gdzie na ziemi leżała Lundy. Opierała się na lasce. To było coś nowego, podobnie jak niektóre zmarszczki na jej policzkach. Wydawało się, że Eleanor postarzała się w ciągu jednego dnia. – Och, moja biedna Lundy. Może to była łagodniejsza śmierć niż ta, której wyczekiwałaś z niecierpliwością, ale wolałabym, żebyś nie umierała.

– Proszę pani... – zaczął Kade.

– Wracajcie wszyscy do swoich pokojów – poleciła Eleanor. – Angelo, porozmawiamy rano. Na razie trzymajcie się razem i postarajcie się przeżyć noc. – Położyła drugą rękę na lasce i spojrzała na Lundy. – Moja biedna dziewczynka.

– Ale...

– Nadal jestem tutaj dyrektorką, przynajmniej dopóki żyję – przypomniała Eleanor. – Idźcie.

Poszli.

Nieduża gromadka trzymała się razem aż do frontowych schodów. Tam Angela odwróciła się do Kade'a i wyznała:

– Jednak mówiłam poważnie. To chore, że udajesz kogoś, kim nie jesteś.

– Miałem to samo powiedzieć o tobie – wtrącił się Christopher. – Zawsze dobrze wychodziło ci udawanie, że jesteś przyzwoitą ludzką istotą. Oszukałaś mnie.

Angela wytrzeszczyła oczy. Potem okręciła się na pięcie i popędziła w górę po schodach. Przyjaciele ruszyli w jej ślady. Nancy spojrzała na Kade'a, a on pokręcił głową.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Wracajmy do łóżek.

– Wolałabym, żebyście tego nie robili.

Wszyscy troje się obejrżeli. Zwykle elegancka szalona naukowczyni stała przy narożniku budynku, zalana krwią, podtrzymując lewe ramię prawą ręką. Krew skapywała jej po palcach, tak jasna, że widoczna w mroku. Krawat zniknął. I to w pewnym sensie było najgorsze ze wszystkiego.

– Chyba potrzebuję pomocy – wyszeptła Jack i padła do przodu zemdlna.

Bądź nieruchomy jak kamień, a może przeżyjesz

Kade i Christopher dźwignęli Jack z ziemi i ponieśli ją do budynku, podczas gdy Nancy tkwiła w cieniu ganku, znieruchomiała i chwilowo zapomniana. Zdawała sobie sprawę, że powinna pobiec za nimi i nie zostawać sama w miejscu, gdzie wszystko mogło się jej przydarzyć. Z drugiej strony taka reakcja wydawała się jej pochopna i nierozsądna. Bezruch był bezpieczniejszy. Bezruch ocalił ją już wcześniej i uratuje teraz.

Zapomniała, że we właściwym świetle sok z granatów może wyglądać zupełnie jak plamy krwi.

Zapomniała, jaki jest piękny.

Tak, lepiej stój bez ruchu, tak nieruchomo, żeby wtopić się w tło i poczuć, jak serce zwalnia, pięć uderzeń zmienia się w cztery, potem w trzy, a na koniec w jedno uderzenie na minutę, tak że prawie nie musiała oddychać. Może Jack miała rację. Może jej zdolność do bezruchu wykształciła się w nadnaturalny sposób. Ta umiejętność nie wydawała się niczym wyjątkowym ani niewłaściwym. Przeciwnie. Ona powinna być taka przez cały czas, zawsze.

Rodzice martwili się, że córka za mało je, i może powinni się martwić, skoro poruszała się jak gorąca, szybka istota, ale oni nic nie rozumieli. Nancy nie zamierzała tutaj zostać, w ich gorącym, szybkim świecie. Nie zamierzała. A kiedy spowalniała ciało w ten sposób i zupełnie się nie ruszała, wcale nie musiała jeść więcej. Mogła przeżyć całe stulecie na łyżce soku, okruszku ciasta, i uważać, że jest dobrze odżywiona. Wiedziała, czego potrzebuje, a potrzebowała trwać w bezruchu.

Nancy odetchnęła głębiej i poczuła, że jej serce zatrzymuje się na minutę, zastyga jak reszta ciała, jak pestka granatu spoczywająca bezpiecznie w środku owocu. Szykowała się do zaczerpnięcia następnego oddechu, by pozwolić sercu na kolejne uderzenie, kiedy nagle ktoś wyszedł zza rogu budynku. Nancy wcześniej sądziła, że nie mogłaby jeszcze bardziej zeszywnieć, ale w tamtej

chwili stwierdziła, że się myli. W tamtej chwili była tak nieruchoma i mało znacząca jak kamień.

Jill minęła ganek z plamami krwi na rękach i parasolką przełożoną przez ramię, odcinającą wszelkie zbłąkane promienie księżycy, które mogłyby musnąć jej skórę. W kąciку ust miała czerwoną kroplę, niczym odrobinę dżemu, którą pominęła serwetka. Podczas gdy Nancy patrzyła na nią bez ruchu, Jill wysunęła mały różowy język, zlizwała krew i poszła dalej, Nancy nawet nie drgnęła.

Proszę, pomyślała. Proszę, Panie, nie pozwól mojemu sercu bić. Proszę, nie pozwól, żeby ona mnie zobaczyła.

Serce Nancy nawet nie drgnęło.

Jill dotarła do drugiego narożnika domu i zniknęła.

Nancy zaczerpnęła tchu. Płuca rozbolały ją od inwazji powietrza. Serce zaprotestowało, kiedy w ciągu niecałej sekundy przeszło od bezruchu do galopu. Trzeba było kilku sekund więcej, żeby krew zaczęła na nowo krążyć w jej ciele. Wtedy Nancy odwróciła się i pobiegła do domu. Podążając za śladami krwi, dotarła do kuchni, której nigdy wcześniej nie widziała, i wpadła do środka.

Kade okręcił się gwałtownie z nożem do krojenia mięsa w ręce. Christopher stanął przed Eleanor. Jack leżała nieruchomo na bloku rzeźniczym zajmującym środek pomieszczenia. Miała rozciętą koszulę i bandażę na zranionym ramieniu.

– Nancy? – Kade opuścił nóż. – Co się stało?

– Widziałam ją – wykrztusiła Nancy. – Widziałam Jill. Ona to zrobiła.

– Tak – potwierdziła Jack słabym głosem. – Ona to zrobiła.

Możesz nigdy nie wrócić do domu

Jack wbiła wzrok w sufit, po czym powoli oparła się na zdrowej ręce i zaczęła się dźwigać do pozycji siedzącej. Kiedy Christopher ruszył do przodu, jakby chciał jej pomóc, machnęła ręką i wymamrotała z irytacją:

– Jestem ranna, a nie niepełnosprawna. Niektóre rzeczy muszę robić sama.

Christopher się cofnął, a ona w końcu usiadła i trwała przez chwilę w tej pozycji, ze zwieszoną głową, próbując odzyskać oddech.

Nikt się nie ruszył. W końcu Jack zaczęła mówić:

– Powinnam dostrzec to wcześniej. I pewnie tak się stało, ale tego nie chciałam, więc wypierałam najmocniej, jak potrafiłam. Ona twierdzi, że to z mojej winy musiałyśmy opuścić Wrzosowiska, bo praca, którą wykonywałam z doktorem Bleakiem, rozwścieczała mieszkańców wsi. To nieprawda. Doktor Bleak i ja nigdy nikogo nie zabiliśmy – nie celowo – a miejscowi chętnie zostawiali nam swoje ciała, bo wiedzieli, że możemy je wykorzystać, żeby ratować życie innym. Byliśmy lekarzami. A Jill została ukochaną potwora. To ona chciała być... taka... jak on.

– Jack...? – odezwał się Kade.

Nancy, która pamiętała, jak blask księżyca odbijał się od plamki krwi podobnej do dżemu, nic nie powiedziała.

– Stałaby się pięknym potworem, gdyby była trochę mądrzejsza – ciągnęła Jack. – Z pewnością miała na to apetyt. Sądzę, że w końcu nauczyłaby się subtelności. Ale nie uczyła się dostatecznie szybko, więc kiedy wieśniacy odkryli, co ona robi, wzięli pochodnie i pomaszerowali na zamek. Doktor Bleak wiedział, że nigdy jej nie wybaczą. Podał jej narkotyk, otworzył drzwi i ją wyrzucił. Ja nie mogłam puścić jej samej. Ona jest moją siostrą. Po prostu nie wiedziałam, jakie to będzie trudne.

– Kochanie, co ty mówisz? – zapytała Eleanor.

Nancy, która pamiętała, jak Jill się uśmiechała, opowiadając o swoim Panu i o tym, jak bardzo pragnęła go zadowalać, nic nie powiedziała.

– To moja siostra. – Jack spojrzała na Kade’a zamiast na Eleanor, jakby było jej łatwiej mówić do rówieśnika. – Ona je wszystkie zabiła. Próbuje zrobić klucz. Musieliśmy ją powstrzymać. – Zsunęła się z blatu i skrzywiła lekko, kiedy postawiła nogi na podłodze i impuls powędrował do zranionej ręki. – Serafina jeszcze żyje.

– To dlatego Lorieł wskazała obok ciebie, ale nie na ciebie – domyślił się Christopher.

Jack pokiwała głową.

– Ja jej nie zabiłam. Ona wiedziała, że Jill to zrobiła.

– Widziałam ją na zewnątrz – odezwała się Nancy. – Szła, jakby się nie śpieszyła. Dokąd się wybierała?

– Ugodziła mnie nożem w piwnicy, ale poszła na strych – odpowiedziała Jack. Skrzywiła się. – Świetliki...

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Kade. – Zajmiemy się nią.

– Nie pójdziecie beze mnie – oświadczyła Jack. – Ona jest moją siostrą.

– Dasz radę?

Uśmiech Jack był skąpy i wymuszony.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Kade zerknął na Eleanor z pytającym wyrazem twarzy. Panna West zamknęła oczy.

– Jack da radę, ale ja nie – powiedziała. – Nie idźcie, jeśli nie jesteście pewni, że do mnie wrócicie.

Poszli.

Cała czwórka przebiegła przez dom, szybka i gniewna. Jack zaskakująco pewnie trzymała się na nogach, zważywszy na ilość straconej krwi. Nancy zamykała stawkę. Bezruch i szybkość stanowiły swoje przeciwieństwa, lecz ona robiła, co mogła, tak że wszyscy dotarli na strych mniej więcej w tym samym czasie. Kade gwałtownie otworzył drzwi.

Jill stała w papierowym oceanie z nożem w ręce. Stół, który oczyściła z książek, teraz zajmowała Serafina – najpiękniejsza dziewczyna na świecie – i słoje, każdy z własną, straszną zawartością. Jill uniosła głowę, kiedy drzwi się otworzyły, i westchnęła.

– Odejdźcie – rzuciła z rozdrażnieniem. – To delikatna praca. Nie mam na was czasu.

Kade pierwszy wszedł do pokoju, trzymając ręce przed sobą.

– Nie chcesz tego zrobić.

– Jednak chcę – sprzeciwiła się Jill. – Nie znasz mnie. Nikt z was mnie nie zna. Nawet ona. – Wskazała brodą na Jack. – Idę do domu. Wracam do swojego Pana. Wymyśliłam, jak tego dokonać, i nikt nie może mnie powstrzymać. Jeśli

spróbujecie, wyjdzie na to, że one wszystkie umarły na próżno, a ja po prostu zrobię to znowu. Zamierzam stworzyć klucz uniwersalny.

Serafina jęknęła przez knebel i zaczęła przewracać oczami, wzywając pomocy. Na próżno.

– Drzwi do domu są zamknięte nie bez powodu – przypomniała jej Jack. – Nie możesz tego obejść.

– Ależ mogę, droga siostrze, mogę. Wszyscy tutaj mają w sobie coś specjalnego, co przyzywa drzwi. Ja buduję idealną dziewczynę. Dziewczynę, która ma wszystko. Najmądrzejszą, najładniejszą, najszybszą, najsilniejszą. Wszystkie drzwi się przed nią otworzą. Każdy świat będzie chciał ją dostać. A kiedy dotrę na Wrzosowiska, zabiję ją i wtedy oni pozwolą mi zostać tam na zawsze. Po prostu chcę wrócić do domu. Z pewnością potraficie to zrozumieć.

– Wszyscy chcemy – powiedział Christopher. – Ale to nie jest sposób.

– Nie ma innego – odparowała Jill.

– Martwi nie są narzędziami – odezwała się Nancy, mijając Kade'a z rękami zwieszonymi po bokach. – Proszę. Robisz im krzywdę. Kradniesz im najcenniejsze rzeczy, bo chcesz mieć klucz uniwersalny, ale one nie mogą przejść do drugiego życia, dopóki im ich nie zwrócisz. – Nie wiedziała, czy te słowa są prawdą, ale wydawały się jej takie słuszne, że ich nie kwestionowała. – Dlaczego liczy się tylko twoje „żyła długo i szczęśliwie”?

– Bo to ja tego chcę – warknęła Jill. – Odsuń się albo ona umrze, a ja powiem wszystkim, że to ty ją zabiłaś. Komu uwierzą? Naiwnej niewinności czy dziewczynie, która rozmawia z duchami? Nawet twoi przyjaciele są dziwni. Wyjdę z tego pachnąca jak róża, tylko patrzcie.

Jill patrzyła na Nancy, więc nie widziała, jak Jack odsuwa się od pozostałych i idzie powoli wzdłuż ścian poddasza. Christopher i Kade milczeli.

– Wiesz, że to złe, Jill – nie ustępowała Nancy. – Wiesz, że martwi są na ciebie wściekli.

Jack nadal się przemieszczała, powoli i cicho jak modlitwa. Uniosła nożyczki.

– Nie obchodzą mnie martwi – oświadczyła Jill. – Obchodzi mnie tylko powrót do domu. Obchodzi mnie mój Pan. Zależy mi na mnie samej, a reszta z was może się powiesić... – Urwała w pół zdania i wydała zdławiony dźwięk. Spojrzała w dół na przód koronkowego peniuaru, przez który zaczęła się przesączać krew. Potem runęła na podłogę. Z jej pleców sterczały nożyczki.

Jack przez chwilę patrzyła na leżącą siostrę. Kiedy uniosła głowę i spojrzała na obecnych, jej oczy były suche.

– Przepraszam – powiedziała. – Powinnam była zrozumieć szybciej. Ale nie rozumiałam. Przepraszam.

– Zabiłaś swoją siostrę... – Nancy mówiła zdziwionym tonem. – Musiałaś...?

– Procesy o morderstwo są takie kłopotliwe, prawda? A śmierć nie jest na zawsze, kiedy wiesz, co robisz. To przed Jill doktor Bleak zamknął drzwi, a nie przede mną. Ja zawsze byłabym mile widziana w domu, gdybym zdecydowała się ją zostawić... albo zmienić. Pan już jej teraz nie zechce. Gdy się umarło i zostało wskrzeszonym, nie można być wampirem. – Jack schyliła się, żeby wyciągnąć nożyczki z pleców Jill. Skrzywiła się, kiedy krew pobrudziła jej palce. – Wybaczcie, ale musimy iść. Jest tyle do zrobienia, a wskrzeszenia zawsze lepiej się udają, kiedy są robione szybko. Ona nadal będzie moją siostrą.

Jack machnęła zakrwawionymi nożyczkami. Gdy stał przecięła linie nicości, obok niej zawisł prostokąt i otworzył się, ukazując ciemne pole smagane wiatrem, zamek w oddali i wieś u jego stóp. Twarz Jack złagodniała. Malowała się na niej niewypowiedziana tęsknota.

– Dom – wyszeptała Jack.

Pochyliła się, wsunęła ręce pod Jill i stęknąwszy lekko, kiedy otworzyła się rana na jej ramieniu, podniosła siostrę. Nie oglądając się, przeszła przez drzwi.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyli, była Jack, nagle daleka i mała na rozległej, pustej równinie, idąca w ciemności w stronę światła zamku. Potem prostokąt zniknął, a oni zostali na pustym poddaszu.

Serafina jęknęła przez knebel. Czas ruszył.

Czas miał zwyczaj tak robić.

I wszyscy przeżyli

Bez pomocy Jack pozbycie się ciała Lundy okazało się trudniejsze. Nikt tak naprawdę nie chciał iść do piwnicy oprócz Christophera i Nancy, a oni nie wiedzieli o chemikaliach dość, żeby bezpiecznie ją rozpuścić. W rezultacie zostawili ją w zagajniku, pogrzebaną głęboko wśród korzeni drzew. Ręce Sumi i oczy Lorieł pochowano razem z nią. Policja podążyła za kilkoma fałszywymi tropami, szukając zabójcy Sumi, ale w końcu przyznała, że ślad ostygł, i zamknęła sprawę.

Panna West powoli odzyskiwała witalność. Nadal chodziła o lasce, ale była dostatecznie silna, żeby prowadzić szkołę bez swojej prawej ręki i przyjaciółki. Kade zaczął dążyć do tego, żeby wypełnić pustkę, którą zostawiła po sobie Lundy. Coraz więcej wskazywało na to, że pewnego dnia szkoła będzie należała do niego... i że on dobrze sobie poradzi. Zwiększyła się szansa, że dziedzictwo Eleanor ocaleje.

Kiedy już posprzątało w piwnicy, Nancy się do niej przeniosła. Serafina tak często powtarzała historię o tym, jak została uratowana, że inni uczniowie już nie winili Nancy ani jej kolegów za zabójstwa. Choć nie zostali przyjaciółmi, nie byli też wrogami.

Reszta semestru minęła jak sen. Nancy właśnie się pakowała, żeby pojechać do domu, kiedy usłyszała kroki na schodach. Odwróciła się i zobaczyła Kade'a ze znajomą kwiecistą walizką w ręce.

- Hej – rzucił na powitanie.
- Hej.
- Słyszałem, że jedziesz do domu na wakacje.
- Nancy kiwnęła głową.
- Moi rodzice nalegali.

Błagali, prosili przez telefon, a każde słowo umacniało w niej determinację, żeby nie dać im pretekstu do zabrania jej ze szkoły. Nie chciała zostać tu, gdzie

było jasno, kolorowo i szybko, ale wolałaby spędzić tysiąc dni w szkole niż jeden dzień u rodziców, którzy nigdy jej nie zrozumieją.

Nie potrafiła nawet cieszyć się na myśl, że znowu ich zobaczy. Przebywając ze zmarłymi, zastanawiała się, co robi jej rodzina, czy za nią tęskni. Teraz zadawała sobie tylko pytanie, czy kiedyś pozwolą jej odejść.

– Przyszło mi do głowy, że może zechcesz to wziąć... – Kade podał jej walizkę. – Żeby sobie nie pomyśleli, że utwierdzaliśmy cię w twoim dziwactwie.

– To bardzo miłe z twojej strony. – Nancy uśmiechnęła się i podeszła do niego. – Poradzisz sobie beze mnie?

– Och, zawsze. Christopher i ja pracujemy nad nową mapą światów związanych ze zmarłymi. Zaczynam myśleć, że Wit i Mortis to pomniejsze kierunki. To mogłoby wyjaśniać parę rzeczy.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć wasze dzieło – rzekła Nancy z powagą.

– Super. – Kade ruszył w górę po schodach. – Miłych wakacji.

– Dzięki. – Nancy patrzyła za nim przez chwilę. Kiedy drzwi się zamknęły, zacisnęła powieki i pozwoliła sobie na kilka sekund bezruchu, żeby się skupić.

Więc to był ten świat. Miejsce, z którego pochodziła... i co więcej, miejsce, w którym najbardziej zbliżyła się do tego, żeby uznać je za swój dom. Mogła zostać w szkole aż do zakończenia nauki i jeszcze dłużej. Mogła stać się drugą Lundy dla Kade'a, kiedy Eleanor odejdzie. Do Nonsensu albo do grobu. Mogła być kobietą, która przy nim trwa i go wspiera. Spisałaby się dobrze, mówiąc uczniom o ich przyszłości tak, żeby nie brzmiało to jak wyrok dożywocia. Mogłaby nauczyć się być tutaj szczęśliwa, gdyby musiała. Ale nigdy całkowicie. Aż tyle nie należało oczekiwać.

Otworzyła oczy i spojrzała na walizkę, a następnie podeszła do starego stołu sekcyjnego, teraz nakrytego zwykłym białym prześcieradłem, i postawiła ją na nim. Zamki stawiały lekki opór, kiedy je otwierała. W środku zobaczyła płataninę jaskrawych ubrań, które rodzice spakowali jej wiele miesięcy temu.

Na kłębowisku bluzek, spódnic i bielizny leżała koperta. Nancy ostrożnie wzięła ją do ręki, otworzyła i wyjęła liścik.

Nie jesteś niczyją tęczą.

Nie jesteś niczyją księżniczką.

Nie jesteś niczymi drzwiami, tylko swoimi,

i jedynie ty możesz opowiedzieć,

jak kończy się twoja historia.

Niżej wielkimi, nierównymi literami było nabazgrane imię Sumi zajmujące pół strony. Nancy się roześmiała. Ale ten śmiech zaraz zmienił się w coś w rodzaju szloch. Sumi musiała napisać to pierwszego dnia, na wypadek gdyby Nancy sobie nie poradziła, gdyby stała się mniej pewna i próbowała zapomnieć.

Nikt inny mi nie powie, jak kończy się moja historia, tylko ja sama, pomyślała, a te słowa zabrzmiały tak prawdziwie, że powtórzyła je na głos:

– Nikt inny mi nie powie, jak kończy się moja historia, tylko ja sama.

Nagle odniosła wrażenie, że czuje ruch powietrza.

Odwróciła się z listem w ręce. Schody zniknęły. W ich miejscu znajdowały się solidne dębowe drzwi, bardzo znajome. Nancy podeszła do nich wolno, jak we śnie. List Sumi wysunął się jej z dłoni i opadł na podłogę.

Z początku gałka nie chciała się obrócić. Nancy z nadzieją zamknęła oczy i poczuła, że uchwyt porusza się pod jej palcami. Kiedy tym razem uniosła powieki i przekręciła gałkę, drzwi się otworzyły, a ona zobaczyła przed sobą zagajnik granatów.

Powietrze pachniało słodko, niebo było czarnym aksamitem usianym diamentowymi gwiazdami. Nancy zadrżała, przechodząc na drugą stronę. Schyliła się, żeby rozwiązać buty, wyszła z nich i zostawiła je na ziemi. Trawa mokra od rosy załaskotała ją w kostki i zmoczyła palce stóp. Nancy sięgnęła w górę, żeby zerwać granat z najbliższej gałęzi. Owoc był tak dojrzały, że rozpadł się, ukazując rząd rubinowych pestek.

Sok był gorzki. Smakował niebiańsko.

Nancy ruszyła ścieżką między drzewami, nie oglądając się. Drzwi zniknęły na długo przed tym, jak puściła się biegiem. Już nie były potrzebne. Jak klucz, który trafia do dziurki, Nancy w końcu znalazła się w domu.

PATYKI I KOŚCI

Meg

Myślę, że panowały tam inne zasady. Nauka była najważniejsza, ale magiczna. Nie interesowało jej, czy coś jest możliwe. Chodziło o to, czy należy coś zrobić, a odpowiedź zawsze brzmiała: tak.

Jack Wolcott

Część I

Jack i Jill mieszkają na wzgórzu

Niebezpieczny powab cudzych dzieci

Ludzie, którzy znali Chestera i Serenę Wolcottów na gruncie towarzyskim, postawiliby duże pieniądze na to, że para nigdy nie zdecyduje się na dzieci. W powszechnej opinii ci dwoje nie nadawali się na rodziców. Chester lubił ciszę i samotność, kiedy pracował w domowym biurze, a najmniejsze odstępstwo od rutyny postrzegał jako ogromne, niewybaczalne zakłócenie. Dzieci oznaczałyby bardziej niż drobne odstępstwo od rutyny. Stanowiłyby opcję atomową, jeśli chodzi o rutynę. Serena lubiła ogrodnictwo i zasiadanie w radach różnych miłych, eleganckich organizacji non profit oraz płacenie innym ludziom, żeby utrzymywali jej dom w nienagannym stanie. Dzieci były chodzącym bałaganem. Tratowały petunie i rzucały piłkami baseballowymi w okna panoramiczne, więc nie było dla nich miejsca w starannie uporządkowanym świecie, w którym mieszkali Wolcottowie.

Ci znajomi nie widzieli jednak, jak wspólnicy z kancelarii prawnej Chestera przyprowadzają synów do pracy, przystojne małe klony swoich ojców w stosownych do wieku ubraniach, przyszytych królów świata w idealnie wyczyszczonych butach, z doskonale modulowanymi głosami. On patrzył z rosnącą zazdrością, kiedy młodszy partnerzy pokazywali zdjęcia swoich śpiących synów, a inni ich chwalili, i za co? Za rozmnażanie! Coś tak prostego, że potrafiło to każde zwierzę.

Nocami Chester zaczął śnić o uprzejmych małych chłopcach z jego włosami i oczami Sereny, w starannie zapiętych marynarkach, tak żeby wspólnicy uśmiechali się życzliwie na ten żywy dowód, jakim on jest dobrym mężem i ojcem.

Znajomi nie widzieli, jak niektóre kobiety z rad Sereny czasem przyprowadzały ze sobą córki i przeproszały za niekompetentne nianie albo chore opiekunki, w duchu pławiąc się w chwale, kiedy wszyscy obsypywali achami i ochami ich piękne dzieci. Te uprzywilejowane dziewczynki w sukienkach z koronek i tafty były jak ogród i w czasie zebrań albo herbatek bawiły się

spokojnie na dywanie, tuląc pluszowe zabawki i karmiąc lalki wyimaginowanymi ciastkami. Wszyscy, których Serena знаła, komplementowali te matki za ich poświęcenie. Jakże? Posiadanie dziecka! Coś tak łatwego, że ludzie robili to od zarania czasu.

Nocami pani Wolcott zaczęła śnić o pięknych małych dziewczynkach z jej ustami i nosem Chestera, w sukieneczkach pełnych falbanek i ozdóbek, o paniach wychodzących ze skóry, żeby pierwsze jej dopaść i powiedzieć, jaka cudowna jest jej córeczka.

Oto jest prawdziwe niebezpieczeństwo, jeśli chodzi o dzieci: one są pułapkami, wszystkie co do jednego. Człowiek patrzy na cudze dziecko i dostrzega tylko lśniąca buty albo idealne loki. Nie widzi łez i napadów złości, nieprzespanych nocy, bezsennych godzin, zmartwień. Nie widzi nawet miłości, niezupełnie. Patrząc na dzieci z zewnątrz, bez trudu można uwierzyć, że one są rzeczami, lalkami, które rodzice zaprogramowali tak, żeby zachowywały się w określony sposób, przestrzegały ustalonych zasad. Stojąc na wyniosłych brzegach dojrzałości, łatwo zapomnieć, że każdy dorosły był kiedyś dzieckiem z własnymi pragnieniami i ambicjami.

I wreszcie można łatwo zapomnieć, że dzieci to ludzie, a ludzie zawsze będą robić, co chcą, i do diabła z konsekwencjami.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia – po kolejnych rundach biurowych przyjęć i imprez dobroczynnych – Chester zwrócił się do żony i powiedział:

– Chciałbym coś z tobą omówić.

– Chcę mieć dziecko – uprzedziła go Serena.

Chester zaniemówił. Był uporządkowanym mężczyzną z uporządkowaną żoną, prowadził zwykłe, uporządkowane życie. Nie przywykł do tego, że Serena otwarcie wyraża swoje pragnienia, że w ogóle ma jakieś pragnienia. Stwierdził, że to przerażające... i trochę podniecające, jeśli miał być szczery.

W końcu uśmiechnął się i wyznał:

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Są na tym świecie ludzie – dobrzy, uczciwi, ciężko pracujący ludzie – którzy bardziej niż cegokolwiek innego pragną dziecka i całymi latami bez powodzenia starają się je począć. Są ludzie, którzy muszą spotykać się z lekarzami w małych, sterylnych pokojach, wysłuchiwać strasznych wieści, ile to będzie kosztować, żeby w ogóle zacząć mieć nadzieję. Są ludzie, którzy muszą ruszyć w pogoń, mknąć na północnym wietrze, żeby zapytać o drogę do Domu Księżyca, gdzie ich marzenie może się spełnić, jeśli godzina będzie odpowiednia albo pragnienie dostatecznie silne. Są ludzie, którzy będą próbować, próbować i próbować, i nie dostaną za swoje wysiłki nic oprócz złamanego serca.

Wolcottowie poszli na górę do swojego pokoju, do wspólnego łóżka, Chester nie założył kondoma, a żona mu o tym nie przypomniała, i tak to się odbyło. Następnego ranka Serena przestała brać pigułki antykoncepcyjne. Trzy tygodnie później spóźnił się jej okres, który do tej pory zawsze pojawiał się jak w zegarku, odkąd skończyła dwanaście lat. Dwa tygodnie później siedziała w małym białym pokoju, a miły mężczyzna w długim białym kitlu poinformował ją, że zostanie matką.

– Kiedy będziemy mogli zobaczyć zdjęcie dziecka? – zainteresował się Chester, już wyobrażając sobie, że pokazuje je kolegom z biura. Stałby z wysuniętą szczęką i wzrokiem utkwionym w dal, jakby w marzeniach już bawił się piłką z przyszłym synem.

– Właśnie, kiedy? – zapytała Serena. Kobiety, z którymi pracowała, zawsze piałły z zachwytem, gdy jedna z nich przychodziła z nowym sonogramem i puszczała go w krąg. Jakie to byłoby miłe w końcu znaleźć się w centrum zainteresowania.

Lekarz, który wciąż miał do czynienia z niecierpliwymi rodzicami, uśmiechnął się i powiedział:

– Jest pani w piątym tygodniu. Nie zalecam ultrasonografii przed dwunastym tygodniem, w normalnych okolicznościach. To pierwsza ciąża. Może wolałaby pani poczekać, zanim podzieli się nowiną. Teraz wszystko wydaje się w normie, ale to dopiero początek i byłoby łatwiej, gdyby nie musiała pani cofać swoich słów.

Serena wyglądała na zdeprymowaną, Chester na oburzonego. Sugestia, że jego żona mogłaby nie poradzić sobie z donoszeniem ciąży – czymś tak prostym, że każda głupia z ulicy potrafiłaby to robić – była tak obraźliwa, że zabrakło mu słów. Ale doktora Tozera polecił mu jeden ze współników z domyślnym błyskiem w oku, zatem Chester nie widział możliwości, żeby zmienić lekarza, nie urażając kogoś zbyt ważnego, by czynić mu afront.

– A zatem dwanaście tygodni – powiedział. – Co mamy robić do tego czasu?

Doktor Tozer im wyjaśnił. Witaminy, suplementy i czytanie, dużo czytania. Zupełnie jakby ten człowiek spodziewał się, że ich dziecko będzie najtrudniejszym przypadkiem w historii świata, sadząc po wszystkich lekturach, które im doradził. Ale robili to wszystko sumiennie, jakby odprawiali magiczne czary, dzięki którym w ich ramiona trafi idealne dziecko. Nigdy nie rozmawiali o tym, czy liczą na chłopca, czy na dziewczynkę. Oboje doskonale wiedzieli, co się urodzi, więc rozmowy wydawały się zbędne. Tak więc Chester każdej nocy śnił o synu, a Serena o córce, i przez jakiś czas oboje uważali, że rodzicielstwo to wspaniała rzecz.

Oczywiście nie posłuchali rady doktora Tozera, żeby utrzymać ciążę w sekrecie. Kiedy coś jest tak dobre, trzeba się tym podzielić. Przyjaciele, którzy

nigdy nie widzieli ich w roli rodziców, byli zaskoczeni, ale życzliwi. Koledzy, którzy nie znali ich dostatecznie dobrze, by rozumieć, jaki to błąd, okazali entuzjazm. Chester i Serena kręcili głowami i wymieniali między sobą napuszone uwagi o tym, kto okazał się „prawdziwym” przyjacielem.

Serena chodziła na zebrania i uśmiechała się z zadowoleniem, kiedy kobiety mówiły, jej, że jest piękna, że promienieje, że macierzyństwo jej służy.

Chester chodził do biura, a jego partnerzy wpadali, żeby z nim pogadać o zbliżającym się ojcostwie, udzielać rad, proponować koleżeństwo.

Wszystko było idealne.

Wolcottowie razem poszli na pierwsze badanie ultrasonograficzne. Serena trzymała Chestera za rękę, kiedy położna rozsmarowała niebieskawy żel na jej brzuchu i zaczęła przesuwając po nim głowicą urządzenia. Gdy na ekranie uformował się obraz, Serena po raz pierwszy poczuła ukłucie niepokoju. A jeśli coś będzie źle z dzieckiem? A jeśli doktor Tozer miał rację, że ciąża powinna pozostać tajemnicą przynajmniej przez jakiś czas?

– I co? – zapytał Chester.

– Chcieliście państwo poznać płeć, tak? – upewniła się położna.

Chester skinął głową.

– Macie państwo idealną dziewczynkę.

Serena roześmiała się zwycięsko, ale umilkła, kiedy zobaczyła posępny wyraz na twarzy męża. Rzeczy, o których nie rozmawiali, raptem wydały się tak duże, że wypełniły pokój.

Nagle położna głośno wciągnęła powietrze.

– Słyszę drugie serce.

Oboje na nią spojrzeli.

– Bliźniaki – wyjaśniła kobieta.

– Drugie dziecko to chłopiec czy dziewczynka? – zapytał Chester.

Położna się zawahała.

– Pierwsze dziecko zasłania widok. Trudno stwierdzić na pewno...

– Proszę zgadywać – ponaglił ją Wolcott.

– Obawiam się, że zgadywanie na tym etapie byłoby nieetyczne – oświadczyła położna. – Wyznaczę następną wizytę za dwa tygodnie. Dzieci obracają się w macicy. Wtedy powinniśmy mieć lepszy widok.

Nie było lepszego widoku. Pierwsze dziecko uparcie tkwiło z przodu, a drugie uparcie z tyłu, tak że Wolcottowie dotarli na salę porodową – oczywiście na zaplanowaną indukcję w dniu wybranym za obopólną zgodą i zaznaczonym w kalendarzach – mając w duchu nadzieję, że wkrótce zostaną dumnymi rodzicami syna i córki, dzięki czemu już przy pierwszej próbie skompletują swoją rodzinę

nuklearną. Oboje byli zadowoleni z własnej skuteczności, idealnego rezultatu na samym starcie.

(Myśl, że niemowlęta staną się dziećmi, a one dorosłymi ludźmi, nigdy nie przyszła im do głowy. Nie zaświtało im również, że biologia niekoniecznie jest przeznaczeniem i nie wszystkie małe dziewczynki będą ładnymi księżniczkami, a mali chłopcy dzielnymi żołnierzami. Sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, gdyby te wątpliwości kiedykolwiek im się nasunęły, niechciane, ale niezaprzeczalnie ważne. Niestety ich umysły zostały tak ukształtowane, że nie było w nich miejsca na rewolucyjne opinie).

Poród trwał dłużej, niż planowano. Serena nie chciała cesarskiego cięcia, nie chciała blizn i bałaganu, więc parła, kiedy jej kazano, i odpoczywała, kiedy kazano jej odpoczywać. Pierwsze dziecko urodziła pięć minut przed północą piętnastego września. Lekarz podał noworodka czekającej pielęgniarce i ogłosił:

– Dziewczynka.

Następnie pochylił się nad pacjentką.

Chester, który przez cały czas miał nadzieję, że dyskretny chłopiec przepchnie się przed siostrę i zajmie wychwalaną pozycję pierworodnego, nic nie powiedział, trzymając rękę żony i słuchając, jak ona stara się wypchnąć z siebie drugie dziecko. Twarz miała czerwoną, wydawała z siebie niemal zwierzęce dźwięki. To było przerażające. Chester nie potrafił sobie wyobrazić okoliczności, w których jeszcze kiedyś mógłby jej dotknąć. O, nie. Dobrze, że urodzi się dwoje dzieci za jednym razem. W ten sposób będzie miał to z głowy.

Klaps, płacz i głos lekarza ogłaszającego z dumą:

– Kolejna zdrowa dziewczynka!

Serena zemdląła.

Chester jej zazdrościł.

* * *

Później, kiedy Serena znalazła się bezpiecznie w prywatnym pokoju razem z Chesterem i pielęgniarki zapytały ich, czy chcą zobaczyć córki, oni odpowiedzieli, że oczywiście tak. Jak mogliby zareagować inaczej? Byli teraz rodzicami, a rodzicielstwo oznaczało wymagania. Rodzicielstwo oznaczało zasady. Gdyby nie spełnili oczekiwań, wszyscy uznaliby, że Wolcottowie się nie nadają, a konsekwencje... cóż...

Były nie do pomyślenia.

Pielęgniarki wróciły z dwoma różowymi, łysymi stworzeniami, które wyglądały bardziej jak pędraki albo gobliny niż ludzkie istoty.

– Po jednym dla każdego. – Pielęgniarka mrugnęła okiem i podała tobolek Chesterowi, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie.

– Myśleli państwo o imionach? – zapytała jej koleżanka, podając pani Wolcott drugiego noworodka.

– Moja matka miała na imię Jacqueline – ostrożnie powiedziała Serena, zerkając na męża.

Oczywiście rozmawiali wcześniej o imionach dla dziewczynki i dla chłopca. Nigdy nie brali pod uwagę, że będą potrzebowali imion dla dwóch dziewczynek.

– Żona mojego głównego współnika ma na imię Jillian. – W razie potrzeby Chester mógłby twierdzić, że to imię jego matki. Nikt by nie wiedział. Nikt nigdy się nie dowie.

– Jack i Jill – podsumowała z uśmiechem pierwsza pielęgniarka. – Ślicznie.

– Jacqueline i Jillian – poprawił ją Chester lodowatym tonem. – Żadna moja córka nigdy nie będzie używała czegoś tak pospolitego i ośmieszającego jak zdrobnienie.

Uśmiech zniknął z twarzy pielęgniarki.

– Oczywiście – mruknęła kobieta, choć w rzeczywistości miała na myśli: „jasne, że będą”, „niedługo zobaczysz”.

Serena i Chester Wolcottowie padli ofiarą niebezpiecznego powabu cudzych dzieci. Wkrótce mieli się przekonać, że popełnili błąd, jak to zawsze bywa z ludźmi takimi jak oni.

Praktycznie idealny w dosłownie niczym

Wolcottowie mieszkali w domu na szczycie wzgórza w modnej okolicy, gdzie wszystkie budynki wyglądały podobnie. Wspólnota właścicieli dopuszczała tylko trzy kolory tynku (o dwa za dużo zdaniem wielu mieszkańców), ściśle określony styl ogrodzeń i żywopłotów wokół frontowych trawników, małe, spokojne psy z bardzo krótkiej listy ras. Większość ludzi postanowiła nie mieć psów, zamiast mierzyć się ze skomplikowanym procesem uzyskiwania pozwoleń.

Wszystkie te zasady nie miały tłamsić wolności, tylko służyć wygodzie, żeby mieszkańcy mogli cieszyć się spokojem w ściśle uregulowanym świecie. Nocami panowała cisza. Bezpieczeństwo. Pewność.

Oczywiście z wyjątkiem domu Wolcottów, gdzie ciszę rozdzierały zdrowe wrzaski dwóch zestawów rozwijających się płuc. Serena siedziała w jadalni i patrzyła pustym wzrokiem na płaczące dzieci.

– Dostałyście butelkę – poinformowała córki. – Zostałyście przewinięte. Nosiłam was po domu, kołysałam i śpiewałam tę okropną piosenkę o pająku. Dlaczego jeszcze płaczecie?

Jacqueline i Jillian płaczące z paru powodów, z których zwykle płaczą dzieci – było im zimno, czuły rozpacz, obrażało je istnienie grawitacji – nadal się darły. Serena gapiała się na nie z przerażeniem. Nikt jej nie powiedział, że dzieci wrzeszczą przez cały czas. Och, były o tym wzmianki w książkach, które czytała, ale sądziła, że dotyczą one tylko rodziców, którym nie udaje się narzucić dyscypliny swojemu potomstwu.

– Nie możesz ich uciszyć? – spytał Chester.

Serena nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że mąż stoi za nią w szlafroku i łypie spode łba na całą trójkę... jakby to była jej wina, że dzieci najwyraźniej tak zaprojektowano, żeby wrzeszczały bez przerwy! On brał udział w płodzeniu córek, ale kiedy już się urodziły, nie chciał mieć z nimi dosłownie nic do czynienia.

– Próbowałam. Nie wiem, czego chcą, a one nie potrafią mi tego powiedzieć. Ja nie... nie wiem, co robić.

Wolcott nie wyspał się porządnie od trzech dni. Już obawiał się chwili, kiedy zmęczenie zacznie wpływać na jego pracę i przyciągnie uwagę współników, co postawi jego umiejętności rodzicielskie w kiepskim świetle. Może to była desperacja albo rzadki przebłysk jasności, kiedy Chester nagle oznajmił:

– Zadzwońię do mojej matki.

Chester Wolcott był najmłodszym z trójki dzieci. Zanim pojawił się na świecie, błędy już zostały popełnione, lekcje przyswojone, a jego rodzice czuli się swobodnie w swojej roli. Matka była niewybaczalnie cikliwą, niepraktyczną kobietą, ale wiedziała, jak trzymać dziecko, żeby mu się odbiło, i może, wzywając ją teraz, gdy Jacqueline i Jillian były za małe, żeby wpłynęły na nie jej poglądy na życie, uniknęliby zapraszania jej później, kiedy naprawdę mogłaby wyrządzić im jakieś szkody.

Serena normalnie sprzeciwiłaby się najazdowi teściowej i wywróceniu wszystkiego do góry nogami. Teraz, przy krzyczących dzieciach i zamęcie już panującym w domu, mogła jedynie skinąć głową.

Telefon był pierwszym, co Chester zrobił rano.

Louise Wolcott przyjechała pociągiem osiem godzin później.

Zdaniem wszystkich oprócz jej syna poddanego bezlitosnemu reżimowi Louise była zdyscyplinowana, poukładana kobieta. Lubiła, żeby świat miał sens i przestrzegał zasad. Według syna była beznadziejną marzycielką. Sądziła, że świat jest zdolny do dobroci. Uważała, że ludzie są z natury dobrzy i tylko czekają na okazję, by to udowodnić.

Na dworcu wsiadła do taksówki, bo oczywiście odebranie jej z pociągu byłoby zakłóceniem planu dnia już i tak stojącego na głowie. Zadzwoiła do domu Wolcottów, bo oczywiście wręczenie jej klucza nie miałooby żadnego sensu. Jej oczy się roziskrzyły, kiedy Serena otworzyła drzwi z dziećmi na rękach. Nawet nie zauważyła, że włosy synowej są nieuczesane, a kołnierz bluzki jest poplamiony. Rzeczy, które Serena uważała za najważniejsze na świecie, dla Louise w ogóle nie miały znaczenia. Całą uwagę skupiła na wnuczkach.

– Tu jesteście – zagruchała, jakby bliźniaczki były przedmiotem globalnej obławy trwającej lata. Weszła do domu, nie czekając na zaproszenie, postawiła walizki obok stojaka na parasole (gdzie nie pasowały do wystroju) i wyciągnęła rękę. – Chodźcie do babci.

Normalnie synowa by zaprotestowała. Normalnie synowa zaproponowałaby kawę, herbatę, miejsce na odstawienie bagażu, gdzie nikt nie musiałby go oglądać. Serena, podobnie jak jej mąż, nie przespała ani jednej całej nocy, odkąd wróciła ze szpitala.

– Witaj w naszym domu – powiedziała i bezceremonialnie wcisnęła dzieci w ramiona Louise, po czym odwróciła się i ruszyła po schodach na górę. Chwilę później trzasnęły drzwi sypialni.

Louise osłupiała. Potem spojrzała na dziewczynki. Obie na razie zrezygnowały z płaczu i patrzyły na nią szeroko otwartymi, ciekawymi oczami. Ich świat był jeszcze dość ograniczony, a wszystko w nim było nowe. A babcia była rzeczą najnowszą ze wszystkich. Louise się uśmiechnęła.

– Cześć, skarby – powiedziała. – Teraz jestem tutaj.
Nie wyjechała przez pięć następnych lat.

* * *

Dom Wolcottów był za duży dla samej Sereny i Chestera. Kołotali się po nim i tylko z rzadka się o siebie ocierali. Z dwójką rosnących dzieci i matką Chestera ten sam dom nagle zaczął wydawać się za mały.

Chester powiedział ludziom z pracy, że Louise jest nianią wynajętą z szanowanej firmy do pomocy Serenie, którą przytłoczyły obowiązki związane z zaspokajaniem potrzeb bliźniaczek. Przedstawiał żonę nie jako niedoświadczoną matkę, ale jako zaślepioną miłością rodzicielkę, której po prostu przyda się dodatkowa para rąk, żeby mogła sprostać wszystkim wymaganiom. (Myśl, że on mógłby być tą dodatkową parą rąk, najwyraźniej nie przyszła mu do głowy).

Serena powiedziała paniom z różnych rad i komitetów, że Louise jest schorowaną niepełnosprawną matką Chestera, która u nich dochodzi do siebie po różnych niezaraźliwych przypadłościach i chce w tym czasie być użyteczna. Bliźniaczki oczywiście były aniołkami, a ona nie mogłaby życzyć sobie lepszych albo grzeczniejszych dzieci, ale Louise potrzebowała jakiegoś zajęcia, więc to miało sens, żeby pozwolić jej na krótko zostać opiekunką. (Powiedzenie prawdy oczywiście nie wchodziło w grę. Równałoby się ono przyznaniu do porażki, a Wolcottowie nigdy nie zawadzili).

Louise opowiadała bajki Jacqueline i Jillian, mówiła im, że są bystre, silne i cudowne. Życzyła im, żeby spały dobrze, pocieszała je, a w miarę jak rosły, pilnowała, żeby jadły warzywa i sprzątały pokój, i zawsze, ale to zawsze powtarzała im, że je kocha. Powtarzała im, że są idealne takie, jakie są, i nie muszą zmieniać się dla nikogo. Zapewniała je, że to one zmienią świat.

Serena i Chester stopniowo nauczyli się odróżniać córki. Jacqueline urodziła się pierwsza i najwyraźniej ten wyczyn odebrał jej całą waleczność; była bardziej delikatna z nich dwóch, zwykle trzymała się z tyłu i puszczała siostrę przodem. To ona pierwsza nauczyła się bać ciemności i domagać, żeby zostawiać na noc

zapaloną lampkę. Jako druga zrezygnowała z butelki i ssała kciuk jeszcze długo po tym, jak Jillian przestała to robić.

Jillian natomiast urodziła się z deficytem zdrowego rozsądku. Nie istniało wyzwanie, którego by nie podjęła: poczynając od schodów, przez kuchenkę gazową, po drzwi piwnicy. Zaczęła chodzić nagle, jak niektóre dzieci, pomijając wstępne etapy, a Louise przez całe popołudnie goniła ją po domu, zabezpieczając krawędzie mebli, podczas gdy Jacqueline leżała wygodnie w promieniach słońca, nieświadoma niebezpieczeństw, na jakie narażała się jej siostra.

(Serena i Chester byli wściekli, kiedy wrócili do domu po swoich codziennych zajęciach i odkryli, że ich eleganckie, starannie wybrane meble teraz mają miękkie, gąbczaste narożniki. Dopiero pytanie Louise, czy chcieliby, żeby ich córki zachowały wszystkie oczy, przekonało ich, że zabezpieczenia przed dziećmi powinny zostać, przynajmniej na jakiś czas).

Na nieszczęście okazało się, że identyczne bliźnięta przyprawiają wiele osób o niepokój. Ubieranie ich w takie same stroje i traktowanie jak jednej wymiennej istoty może wydawać się urocze, kiedy dzieci są jeszcze małe, ale w miarę jak dorastają, zaczynają irytować ludzi. Zwłaszcza dziewczynki postrzegano jako obce albo złe, kiedy wydawały się zbyt podobne. Obwiniajcie science fiction, obwiniajcie Johna Wyndhama, Stephena Kinga i Irę Levina. Faktem pozostawało, że Wolcottowie musieli jakoś rozróżniać córki.

Jillian była szybsza, dziksza, bardziej hałaśliwa. Serena zabrała ją do fryzjera i przywiozła do domu ostrzyżoną na krótko. Chester zabrał ją do sklepu i przywiózł do domu w markowych džinsach, butach do biegania i pikowanej kurtce, która wydawała się większa od niej. Jillian, która wkrótce miała skończyć cztery lata i uwielbiała swoich często nieobecnych rodziców, jak tylko dziecko potrafi kochać, demonstrowała nowe rzeczy zazdrosnej siostrze i nie pomyślała, co to dla nich obu znaczy, że w końcu już nie będą wyglądać identycznie w oczach ludzi innych niż one same albo babcia Lou, która potrafiła odróżnić wnuczki od pierwszego dnia, kiedy wzięła je na ręce.

Jacqueline była wolniejsza, bardziej potulna i ostrożna. Chester dał żonie swoją kartę kredytową, a Serena zabrała córkę do sklepu jak z bajki, gdzie każda sukienka miała tyle warstw co tort weselny, a do tego kaskady koronek, wstążki i błyszczące guziki, gdzie wszystkie buty były z lakierowanej skóry i jak one lśniły. Kiedy Jacqueline, która była dostatecznie bystra, by wiedzieć, że coś jest nie w porządku, wróciła do domu wystrojona jak księżniczka z baśni, przytuliła się do siostry i rozplakała.

– Ależ z niej mały urwis! – zachwycali się ludzie na widok Jillian.

A ponieważ Jillian była dostatecznie mała, żeby jako chłopczyca wyglądać ślicznie, uroczo i atrakcyjnie, zamiast podlegać ocenie, Chester promieniał

z dumy. Może nie miał syna, ale istniały dziewczęce drużyny piłki nożnej i sposoby, żeby zrobić wrażenie na współnikach. Twarda córka zawsze była lepsza niż słaby syn.

– Ależ z niej mała księżniczka! – zachwycali się ludzie na widok Jacqueline.

A ponieważ pani Wolcott tylko tego oczekiwała od córki, skromnie zaprzeczała, ale dłonią zasłaniała uśmiech, pławiąc się w pochwałach. Jacqueline była idealna. Miała wyrosnąć na jedną z tamtych małych dziewczynek, które sprawiły, że Serena zapragnęła mieć własną, tylko lepszą, bo wiedziała, że ona i Chester nie popełnią takich błędów jak inni, gorsi rodzice.

(Myśl, że może ona i Chester nie popełnili żadnych błędów rodzicielskich, bo tak naprawdę nie zajmowali się wychowywaniem dzieci, w ogóle nie przyszła jej do głowy. Ona była ich matką, Louise w najlepszym razie tylko nianią, a w najgorszym złym wpływem. Owszem, było trudno, zanim teściowa przyjechała, ale tylko dlatego, że Serena dochodziła do siebie po porodzie. Szybko nauczyłyby się wszystkich potrzebnych sztuczek, gdyby Louise nie zgarnęła całej chwały. Na pewno).

Bliźniaczki zaczęły chodzić na pół dnia do przedszkola, kiedy miały cztery i pół roku, wystarczająco dużo, żeby grzecznie się zachowywać w miejscach publicznych; wystarczająco dużo, żeby zacząć zawierać właściwe przyjaźnie, nawiązywać odpowiednie kontakty. Jillian, która była odważna w znajomych granicach własnego domu i przerażona wszystkim, co znajdowało się na zewnątrz, płakała, kiedy Louise szykowała je na ich pierwszy dzień. Jacqueline, która miała nieskończenie ciekawski umysł i pragnienie, żeby nauczyć się więcej niż to, co dostępne w jednym domu, nie płakała. Stała cicho i spokojnie w falbaniastej różowej sukience i pasujących do niej butach i obserwowała, jak Gemma Lou uspokaja jej siostrę.

Myśl o zazdrości nawet nie przyszła jej do głowy. Teraz Jillian skupiała na sobie więcej uwagi Gemmy Lou, ale to oznaczało, że później znajdzie ona pretekst, by zrobić coś tylko z Jacqueline. Gemma Lou zawsze wiedziała, kiedy jedna z bliźniaczek była wykluczona, i zawsze starała się to nadrobić, by nie powstała między nimi przepaść. „Przyjdzie dzień, kiedy będziecie dla siebie wszystkim, co macie”, mówiła, gdy jedna z nich awanturowała się, że druga coś dostała. „Trzymajcie się tego”.

Tak więc poszły do przedszkola i trzymały się razem, aż lęki Jillian ukoili wychowawczynie, w ładnej spódnicy, z ładnym uśmiechem i pachnąca jak wanilia. Potem Jillian pobiegła bawić się z grupą chłopców, którzy znaleźli czerwoną gumową piłkę, a Jacqueline ruszyła z ociąganiem do kąta zajętego przez dziewczynki, których ładne sukienki były zbyt ciasne, żeby pozwolić im na coś więcej niż stanie w kółku i podziwianie siebie nawzajem.

Wszystkie były małe. Wszystkie były nieśmiałe. Tłoczyły się pod ścianą jak stado kolorowych ptaków, zerkały na siebie kątem oka i obserwowały, jak głośniejsze i bardziej swobodne dzieci tarzają się po podłodze, i jeśli były zazdrosne, żadna nie powiedziała tego na głos.

Ale wieczorem, kiedy wróciły do domu, Jacqueline wkopała swój piękny strój pod łóżko, gdzie sukienka miała pozostać nieodnaleziona do chwili, aż ona z niej wyrośnie, natomiast Jillian siedziała w kącie z rękami pełnymi lalek i z nikim nie chciała rozmawiać, nawet z babcią Lou. Świat się zmieniał, a im obu się to nie podobało.

Nie wiedziały, jak go zatrzymać.

* * *

Na piąte urodziny Jacqueline i Jillian dostały tort z trzech warstw, ozdobiony różowymi i fioletowymi różami i jadalnym brokatem. W ogrodzie odbyło się przyjęcie z dmuchanym zamkiem i stołem pełnym prezentów. Zaproszono wszystkie koleżanki i kolegów z przedszkola oraz dzieci, których rodzice pracowali w firmie Chestera albo zasiadali w komitetach Sereny. Wiele z nich było starszych od bliźniaczek i tworzyło własne grupki w kątach podwórza albo w domu, gdzie nie musiały słuchać wrzasków młodszych dzieci.

Jillian bardzo się podobało, że ma wszystkich przyjaciół na swoim podwórku, gdzie znała każdy cal trawnika i rozmieszczenie zraszaczy. Brykała jak dzikie stworzenie, śmiała się i krzyczała, a oni biegali razem z nią, bo właśnie tak nauczyli się bawić. Większość z nich to byli chłopcy, zbyt mali, żeby wiedzieć coś o „wszach” albo o „niebawieniu się z dziewczynami”. Louise obserwowała ich z ganku, lekko marszcząc brwi. Wiedziała, jak okrutne potrafią być dzieci i do jakiego stopnia rola Jillian została jej narzucona przez rodziców. Za rok czy dwa lata bieg rzeczy się zmieni i jej wnuczka zostanie pozostawiona samej sobie.

Jacqueline trzymała się na uboczu, blisko babci, uważając, żeby nie pobrudzić ładnej sukienki, którą wybrano specjalnie na tę okazję, a ona dostała ścisłe instrukcje, jak utrzymać ją w czystości. Nie rozumiała, dlaczego nie mogli jej wyprać, skoro Jillian przez cały czas była umazana błotem i ono zawsze się zmywało. Wiedziała jednak, że na pewno jest jakiś powód. Zawsze istniał jakiś powód, ale rodzice nigdy nie potrafili go jej wyjaśnić.

Chester obsługiwał grill, demonstrując swoje umiejętności szefa kuchni i żywiciela. Kilku współników popijało piwo i rozmawiało o pracy. Jego pierś pęczniała z dumy. Oto tu był, ojciec i pan domu, otaczali go ludzie, z którymi

pracował, i widzieli, jaka imponująca jest jego rodzina. On i Serena powinni mieć dzieci dużo wcześniej!

– Twoja córka to prawdziwy wojownik, co, Wolcott?

– Owszem – skwapliwie potwierdził Chester, przewracając na grillu hamburger. (Fakt, że ludzi zarabiających na życie smażeniem hamburgerów nazywał „kuchtami” i patrzył na nich z góry, zupełnie mu umykał, podobnie jak wszystkim obecnym). – Będzie petardą, kiedy trochę podrośnie. Już rozglądamy się za drużyną piłki nożnej w małej lidze. Ona zostanie sportowcem, tylko poczekajcie, a zobaczycie.

– Żona by mnie zabiła, gdybym próbował wcisnąć naszą córkę w spodnie i posłać, żeby grała z chłopcami – odezwał się inny współnik z krzywym uśmiechem. – Jesteś szczęściarzem. Mieć bliźniaczki to dopiero coś.

– Zdecydowanie – zgodził się Chester, jakby od początku wszystko zaplanował.

– Kim jest ta starsza pani z twoją drugą córką? – zapytał pierwszy partner, wskazując skinieniem głowy Louise. – Wasza niania? Wydaje się trochę... cóż, nie sądzisz, że się zmęczy, goniąc przez cały czas za dwiema dorastającymi dziewczynkami?

– Do tej pory dobrze sobie z nimi radzi – odparł Chester.

– Uważaj na nią. Wiesz, co mówią o starszych paniach: jedno mrugnięcie okiem i ty będziesz się nią zajmował zamiast ona waszymi dziećmi.

Chester przewrócił hamburger i nic nie odpowiedział.

Po drugiej stronie podwórza, niedaleko eleganckiego, brokatowego tortu Serena kręciła się wśród gruchających żon i nigdy nie czuła się lepiej, jakby w końcu zajęła właściwe miejsce w świecie. Wyjaśnienie było jedno: dzieci. Jacqueline i Jillian otworzyły ostatnie drzwi dzielące ją od prawdziwego sukcesu towarzyskiego – głównie Jacqueline, która stawała się młodą damą w każdym calu, cichą, słodką, z roku na rok coraz grzeczniejszą. Cóż, w niektóre dni Serena nawet zapominała, że Jillian też jest dziewczynką, taki wielki był między nimi kontrast!

Kilku kobietom, z którymi pracowała, nie podobało się, że Serena narzuca Jacqueline zbyt dużo ograniczeń. To one zwracały się do jej córki „Jack” i zachęcały ją do takich rzeczy jak wyścig z jajkami na mokrej trawie albo głaskanie obcych psów, które potem zostawiały sierść i brud na jej sukienkach. Serena nimi gardziła i spokojnie, po cichu zaczęła przesuwać ich nazwiska na dół różnych list gości, aż w końcu niektóre całkiem z nich wypadły. Te, które zostały, szybko się połapały w sytuacji i przestały mówić rzeczy choćby odrobinę trące krytyką. Na co komu własna opinia, skoro jej wyrażanie oznacza utratę miejsca

w towarzystwie? Nie. Lepiej trzymać język za zębami i nie zamykać sobie możliwości, jak zawsze powtarzała Serena.

Rozejrzała się po podwórku, szukając Jacqueline. Jillian łatwo było znaleźć, bo zawsze znajdowała się w centrum największego chaosu. W końcu Serena dostrzegła Jacqueline przyklejoną do Louise, jakby babcia była jedyną osobą, której dziewczynka ufała. Pani Wolcott zmarszczyła brwi.

Przyjęcie okazało się sukcesem, jeśli wziąć pod uwagę, że tort zjedzono, prezenty otwarto, skoki wykonano, z dwóch kolan (należących do dwójki różnych dzieci) zdarła się skóra, jedna sukienka się zniszczyła, jedno nazbyt podekscytowane dziecko nie zdążyło do łazienki i w przedpokoju zwymiotowało lody truskawkowe i ciasto waniliowe. Kiedy zapadła noc, Jacqueline i Jillian znajdowały się w swojej sypialni, a Louise parzyła sobie w kuchni herbatę. Gdy usłyszała za sobą kroki, odwróciła się i zmarszczyła brwi.

– Wykrztuś to – powiedziała. – Wiesz, jak Jill się denerwuje, kiedy nie ma mnie w pokoju, gdy przychodzi w nocy, żeby dać mi buzi.

– Ona ma na imię Jillian, mamó – poprawił ją syn.

– Skoro tak mówisz.

Chester westchnął.

– Proszę, nie utrudniaj bardziej niż to konieczne.

– Co właściwie?

– Chcemy ci podziękować za cały ten czas, który spędziłaś, pomagając nam przy dzieciach – rzekł Chester. – Na początku były utrapieniem, ale myślę, że teraz mamy wszystko pod kontrolą.

Pięć lat to nie wiek, kiedy kończą się utrapienia, chłopcze, pomyślała Louise, a na głos powiedziała:

– Czyżby?

– Tak – odezwała się Serena. – Bardzo ci dziękujemy za wszystko, co zrobiłaś. Nie uważasz, że zasługujesz na odpoczynek?

– Nie ma nic męczącego w dbaniu o dzieci, które kocha się jak własne – oświadczyła Louise, ale już przegrała, i dobrze o tym wiedziała.

Zrobiła, co mogła. Starła się zachęcać dziewczynki, żeby były sobą i nie trzymały się sztywnych ról, w których z każdym mijającym rokiem coraz bardziej utwierdzali je rodzice. Próbowwała zadbać, by wiedziały, że są setki, tysiące, miliony różnych sposobów, żeby być dziewczynką, wszystkie są odpowiednie i w żadnym nie ma nic złego. Próbowwała.

Czy odniosła sukces, czy nie, nie miało zupełnie znaczenia, bo oto stali przed nią syn i synowa, a ona musiała zostawić te kochane dzieci w rękach ludzi, którzy nigdy nie poświęcili czasu, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej oprócz powierzchownych rzeczy. Nie zdawali sobie sprawy, że Jillian jest odważna, bo

wie, że siostra zawsze znajduje się w pobliżu z ostrożnym planem na każdą sytuację. Nie mieli pojęcia, że Jacqueline jest nieśmiała, bo bawi ją obserwowanie, jak świat obchodzi się z jej bliźniaczką, i uważa, że widok jest lepszy poza zasięgiem rozbryzgu.

(Nie wiedzieli również, że w Jacqueline powoli rozwija się strach przed ubrudzeniem rąk z powodu ich stałych upomnień, żeby dbała o sukienki, o wiele za wymyślne jak na dziecko w jej wieku. Nie przejęliby się tym, nawet gdyby Louise im to uświadomiła.)

– Mamo, proszę – powiedział Chester, i to był koniec. Przegrała.

Louise westchnęła.

– Kiedy mam wyjechać? – zapytała.

– Najlepiej, gdybyś wyjechała, zanim się obudzą – odparła Serena, i to był koniec.

Louise Wolcott wymknęła się z życia wnuczek równie łatwo, jak się w nie wśliznęła. Stała się imieniem, które przysyłało kartki urodzinowe i czasami prezenty (w większości konfiskowane przez syna i synową), i ostatecznym, niezaprzeczalnym dowodem na to, że dorosłym nigdy, przenigdy nie można ufać. Z czasem dziewczynki miały odebrać jeszcze bolesniejsze lekcje.

Ta przynajmniej mogła uratować im życie.

Tak szybko dorastają

W wieku sześciu lat bliźniaczki poszły do zerówki. Tam Jacqueline dowiedziała się, że małe dziewczynki, które na co dzień noszą falbaniaste sukienki, są świętoszkami i nie można im ufać, a Jillian dowiedziała się, że małe dziewczynki, które noszą spodnie i biegają z chłopcami, są dziwadłami i jeszcze gorzej.

W wieku siedmiu lat w pierwszej klasie Jillian dowiedziała się, że ma wszy, cuchnie, a poza tym nikt i tak nie chce się z nią bawić, a Jacqueline dowiedziała się, że jeśli chce, żeby ludzie ją lubili, wystarczy się do nich uśmiechać i mówić, że podobają się jej ich buty.

W wieku ośmiu lat w drugiej klasie Jacqueline dowiedziała się, że nikt nie oczekuje od niej, że będzie bystra, jeśli zamierza być ładna, a Jillian dowiedziała się, że wszystko w niej jest nie tak, od ubrań, które nosiła, po programy telewizyjne, które oglądała.

– To musi być okropne mieć taką durną siostrę – powiedziały koleżanki z klasy, a Jacqueline poczuła, że powinna bronić bliźniaczki, ale nie wiedziała jak.

Rodzice nigdy nie nauczyli jej lojalności, wstawiania się za innymi, wyrażania sprzeciwu, a nawet siadania (żeby nie pogniotła sukienek). Dlatego trochę nienawidziła Jillian za to, że jest dziwna, że przez nią wszystko jest gorsze, niż powinno być, a nie dostrzegała, że to rodzice przez cały czas dokonywali za nie wyborów.

– To musi być niesamowite mieć taką ładną siostrę – powiedzieli koledzy z klasy do Jillian (przynajmniej ci, którzy nadal z nią rozmawiali, ci, którym udało się zaszczepić przeciwko wszom i którzy zaczęli sobie uświadamiać, że dziewczynki chociaż są dekoracyjne).

Jillian próbowała zrozumieć, jak to możliwe, że ona i siostra dzielą twarz, sypialnię i życie, ale tylko jedna z nich jest tą ładną, podczas gdy druga tą niechcianą, ignorowaną i coraz bardziej wypychaną z roli urwisa, a wciskaną w rolę kujonki.

Nocami, kiedy leżały w wąskich łóżkach ustawionych obok siebie i nienawidziły się nawzajem z pasją, która może istnieć tylko między rodzeństwem, każda chciała mieć to, co miała druga. Jacqueline pragnęła biegać, bawić się, być wolna. Jillian pragnęła być lubiana, ładna, marzyła o tym, żeby pozwolono jej patrzeć i słuchać, zamiast wciąż zmuszać ją do ruchu. Każdej z nich zależało, żeby ludzie widzieli je same, a nie role, które ktoś inny dla nich wymyślił.

(Piętro niżej Chester i Serene spali zdrowo, niedręczeni wyrzutami sumienia z powodu swoich wyborów. Mieli dwie córki, które mogli kształtować, jak chcieli. Myśl, że mogli je krzywdzić, włączając im swoje ograniczone poglądy, co znaczy być dziewczynką – człowiekiem – nigdy nie przemknęła im przez głowę).

Kiedy dziewczynki skończyły dwanaście lat, ludziom, którzy je spotykali, łatwo przychodziło formułowanie pośpiesznych, nieprawdziwych opinii, jakimi są osobami. Jacqueline – nigdy Jack; bo Jack to imię jak nóż, krótkie, ostre, tnące, bez wystarczającej liczby falbanek i ozdóbek – była w gorącej wodzie kąpana, o ciętym języku, otoczona w szkole pochlebcami, którzy zbiegali się do niej ze wszystkich stron, żeby pławić się w przelotnym ciepłe jej łaskawości. Większość nauczycieli uważała, że jest bystrzejsza, niż dawała to po sobie poznać, ale dosłownie żaden nie zdołał jej skłonić, by się wykazała. Za bardzo bała się brudu, plam od tuszu na palcach, kredowego pyłu na kaszmirowych swetrach. Zupełnie jakby się obawiała, że jej umysł jest jak sukienka, której nie da się wyprać, więc nie chciała ubrudzić go faktami, których później mogła nie zaakceptować.

(Kobiety z rad mówiły Serenie, jakie ma szczęście, i szły do domu ze swoimi córkami, zmieniały sukienki koktajlowe na dzinsy i nigdy nie brały pod uwagę, że Jacqueline Wolcott może nie mieć wyboru).

Jillian była rozgarnięta i spokojna, chętna do tego, żeby zadowalać innych, i wciąż cierpiąca z powodu kolejnych odrzuceń. Inne dziewczynki nie chciały mieć z nią nic do czynienia, mówiły, że jest brudna, bo spędza za dużo czasu na zabawach z chłopcami, twierdziły, że sama chce być chłopcem i dlatego nie nosi sukienek i ścięła włosy. Chłopcy na progu dojrzewania, ponad miarę obciążeni sprzecznymi oczekiwaniami, też nie chcieli mieć z nią nic do czynienia. Jillian nie była dość ładna, żeby warto było ją całować (choć kilku z nich zadawało sobie pytanie, jak to możliwe, skoro wygląda dokładnie tak jak najładniejsza dziewczyna w szkole), jednak była dziewczyną, a ich rodzice mówili, że chłopcy nie powinni bawić się z dziewczynkami. Tak więc ją odtrącali, jeden po drugim, zostawiali samą, zagubioną i przerażoną światem, który miał nadejść.

(Wspólnicy w firmie Chestera mówili mu, jakim jest szczęściarzem, i szli do domu ze swoimi córkami, patrzyli, jak biegają po podwórku i same sobie

wymyślają zabawy. I nigdy nie brali pod uwagę tego, że Jillian Wolcott może nie mieć nic do powiedzenia w kwestii własnych zajęć).

Dziewczynki nadal dzieliły pokój. Dziewczynki nadal pozostawały przyjaciółkami, mimo że przestrzeń między nimi była polem minowym urazy i rezygnacji, zawsze gotowym wybuchnąć. Z roku na rok coraz trudniej było im pamiętać, że kiedyś stanowiły jedność, że żadna z nich nie wybrała sobie sposobu życia. Wszystko zostało im narzucone. To nie miało znaczenia. Jak bonzai formowane w określony kształt przez wytrwałego ogrodnika, one dostosowywały się do pragnień swoich rodziców. A to coraz bardziej oddalało je od siebie. Pewnego dnia może jedna z nich sięgnie przez tę przepaść i stwierdzi, że nikogo nie ma po drugiej stronie.

Żadna z nich nie była pewna, co by zrobiły, gdyby tak się stało.

W dniu, w którym zaczyna się nasza opowieść (z pewnością nie wyglądało to na początek! Z pewnością wszystko było tłem, wyjaśnieniem i usprawiedliwieniem tego, co nadejdzie tak nieuniknione jak grzmot po błyskawicy), padało. Nie, nie padało. Z nieba lały się wiadra wody, jakby zaczynał się potop. Jacqueline i Jillian siedziały w swoim pokoju, a w środku było mnóstwo gniewu i ciszy, która aż krzyczała.

Jacqueline czytała książkę o modnych dziewczynach przeżywających modne przygody w modnej szkole i myślała, że chyba nie mogłaby być bardziej znudzona. Od czasu do czasu rzucała spojrzenia na okno i ze zmrużonymi oczami łypała gniewnie na deszcz. Gdyby niebo było pogodne, mogłaby pójść do swojej przyjaciółki Brooke mieszkającej przy tej samej ulicy. Mogłyby pomalować sobie paznokcie i rozmawiać o chłopcach, który to temat Jacqueline uważała na zmianę za fascynujący albo nudny i mętny jak woda ze zmywarki, ale do którego Brooke zawsze podchodziła z takim samym niesłabnącym entuzjazmem. To przynajmniej byłoby coś.

Jillian, która zamierzała spędzić dzień na treningu piłki nożnej, siedziała na podłodze obok łóżka i czyściła ją tak energicznie, że po jej stronie pokoju unosiła się szara chmura. Nie mogła zejść na dół, żeby pooglądać telewizję – żadnej telewizji przed czwartą, nawet w weekendy, nawet w deszczowe dni – a nie miała żadnych książek, których nie przeczytałaby już pięć razy. Próbowwała zajrzeć do jednego z poradników modnej dziewczyny należącego do Jacqueline, ale zdumiało ją, na ile sposobów autorka opisuje czyjeś włosy. Może jednak istniały rzeczy gorsze od nudy.

Kiedy Jillian westchnęła po raz piąty w ciągu piętnastu minut, Jacqueline opuściła książkę i spiorunowała ją wzrokiem.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nudzi mi się – poskarżyła się Jillian.

- Poczytaj książkę.
- Nie mam żadnych, których bym już nie czytała.
- Przeczytaj jedną z moich.
- Nie lubię twoich książek.
- Idź pooglądać telewizję.
- Nie mogę jeszcze przez godzinę.
- Pobaw się lego.
- Nie mam ochoty. – Jillian westchnęła ciężko i oparła głowę o brzeg łóżka. – Nudzi mi się. Bardzo, bardzo mi się nudzi.

– Nie powinnaś tak często mówić „bardzo” – zwróciła jej uwagę Jacqueline, naśladując matkę. – To bezsensowne słowo. Nie potrzebujesz go.

- Ale to prawda. Bardzo, bardzo, bardzo mi się nudzi.

Jacqueline się zawahała. Czasami dobrze było poczekać, aż coś odwróci uwagę Jillian i znowu zapanuje spokój. Kiedy indziej jedynym sposobem, żeby sobie z nią poradzić, było dostarczenie jej jakiegoś zajęcia. W przeciwnym razie sama je znajdowała, a zwykle było to coś głośnego, brudnego i niszczyielskiego.

- Co chcesz robić? – spytała z rezygnacją Jacqueline.

Jillian posłała jej spojrzenie pełne nadziei. Dni, kiedy siostra chętnie spędzała z nią godziny na zabawie, zniknęły jak czapka baseballowa, którą nosiła, kiedy poprzedniego lata wybrała się z tatą do wesołego miasteczka, żeby pojeździć na karuzeli. Wiatr porwał jej czapkę, a czas odebrał jej siostrze chęć zabawy w chowanego, w udawanie albo w cokolwiek, co ich matka uznałaby za bałaganienie.

– Mogłybyśmy pobawić się na strychu – zaproponowała nieśmiało, tłumiąc w sobie nadzieję, że siostra się zgodzi. Nadzieja potrafiła jedynie ranić. Nadzieja była dla niej najmniej ulubioną ze wszystkich rzeczy.

– Tam mogą być pająki. – Jacqueline zmarszczyła nos, nie tyle z autentycznej odrazy, ile z przekonania, że powinna uważać pająki za obrzydliwe. W rzeczywistości uważała, że są całkiem miłe. Były eleganckie, czyste i zadbane, a kiedy ich pajęczyny się poplątały, one zrywały je do końca i zaczynały snuć od nowa. Ludzie mogliby dużo nauczyć się od pajaków.

- Obronię cię, jeśli tam będą – obiecała Jill.

- Możemy mieć kłopoty.

– Będę ci oddawać deser przez trzy dni – kusiła Jill. Widząc, że Jacqueline nadal nie jest przekonana, dodała: – I będę zmywać naczynia przez tydzień.

Jacqueline nienawidziła zmywania. Ze wszystkich prac domowych, które czasami im przydzielano, ta była najgorsza. Już same brudne naczynia ją odrzucały, ale woda po zmywaniu... zupełnie jakby ona sama zrobiła sobie bagno, a potem się w nim taplała.

– Zgoda – powiedziała, odłożyła książkę i wstała z łóżka.

Jillian udało się nie klasnąć z radości. Chwyliła siostrę za rękę i wyciągnęła ją z pokoju. Nadszedł czas na przygodę.

Nie miała pojęcia, jak wielka to będzie przygoda.

* * *

Dom Wolcottów nadal był za duży dla osób, które w nim mieszkały, dostatecznie duży, żeby Jacqueline i Jillian mogły dostać własne pokoje, gdyby chciały, i widywać się tylko przy stole. W ciągu ostatniego roku zaczęły się martwić, że to będzie ich następny prezent urodzinowy: oddzielne pokoje, jeden różowy, drugi niebieski, idealnie skrojone pod dzieci, których chcieli rodzice, a nie dla dzieci, które mieli. Przez lata bliźniaczki oddalały się od siebie, podążając ścieżkami, które im wytyczono. Czasami się nienawidziły, czasami kochały, i obie w głębi duszy wiedziały, że osobne pokoje okazałyby się dla nich śmiertelnym ciosem. Zawsze miały pozostać siostrami. Ale mogły nigdy więcej nie być przyjaciółkami.

Weszły po schodach, trzymając się za ręce. Jillian jak zawsze ciągnęła Jacqueline, a ona rozglądała się czujnie, gotowa szarpnąć siostrę z powrotem, gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo. Myśl, że są bezpieczne we własnym domu, nigdy nie przysła do głowy żadnej z nich. Gdyby zostały zauważone – gdyby ich rodzice wyszli ze swojego pokoju i zobaczyli, że one idą razem przez dom – zostałyby rozdzielone. Jillian odesłano by, żeby pobawiła się w kałużach na podwórku, Jacqueline wróciłaby do pokoju, żeby czytać książki, siedzieć cicho i nikomu nie przeszkadzać.

W niejasny sposób zaczynały czuć, że ich rodzice robią coś złego. Obie znały dzieci, które były takie, jakie miały być, dziewczynki, które kochały ładne sukienki i siedziały nieruchomo albo kochały błoto, krzyczały i kopały piłkę. Ale znały również dziewczynki, które nosiły sukienki i terroryzowały innych na boiskach, i takie, które nosiły trampki i dzinsy, a chodziły do szkoły z plecakami pełnymi lalek w sukienkach z błyszczącego muślinu. Znały chłopców, którzy lubili być czysti, lubili kolorować albo przyłączać się do siedzących w kątach dziewczynek z plecakami pełnymi lalek. Niektórym dzieciom pozwalano na jedno i drugie: na bycie czystymi i brudnymi, hałaśliwymi i grzecznymi. Inne musiały być tylko takie albo takie, nieważne, czego one same chciały.

Uczucie, że rodzice nie robią tego, co jest dla nich najlepsze, było nieprzyjemne, a ten dom, wielki, idealnie zorganizowany, ze starannie urządzonymi pokojami, po trochu wyciskał z nich życie. Gdyby nie znalazły

z niego wyjścia, stałyby się papierowymi lalkami, płaskimi, bez twarzy, gotowymi do włożenia strojów wybranych przez rodziców.

Na szczycie schodów znajdowały się drzwi, przez które nie wolno im było przechodzić, prowadzące do pokoju, którego nie powinny pamiętać. Kiedyś mieszkała w nim babcia Lou, zanim stały się dla niej zbyt dużym kłopotem, a ona zapomniała, jak je kochać. (Tak powiedziała ich matka, a Jillian jej uwierzyła, bo Jillian wiedziała, że miłość zawsze jest warunkowa, że zawsze, ale to zawsze jest jakiś haczyk. Jacqueline, która była cichsza i dlatego widziała więcej, niż powinna, nie miała takiej pewności). Drzwi zawsze pozostawały zamknięte, ale klucz wrzucono do kuchennej szuflady, kiedy Gemma Lou wyjechała. Jacqueline wykraǳła go w sekrecie w swoje siódme urodziny, gdy wreszcie poczuła się dość silna, żeby pamiętać babcię, która nie kochała ich dostatecznie mocno, by zostać.

Od tamtej pory, kiedy potrzebowały miejsca, żeby się ukryć przed rodzicami, chodziły do pokoju Gemmy Lou. Nadal stało w nim łóżko, szuflady komody pachniały jej perfumami, gdy się je otwierało, w szafie został jej stary kufer, pełen ubrań i sztucznej biżuterii, którą babcia odkładała dla wnuczek w oczekiwaniu na dzień, kiedy będą dostatecznie duże, żeby bawić się w przebieranki, a wtedy ona będzie ich pełną uznania widownią. To właśnie kufer przekonał je, że babcia Lou nie zawsze zamierzała wyjeżdżać. Może zapomniała, jak je kochać, a może nie, ale kiedyś planowała zostać. Dużo znaczyło, że w ogóle ktoś dla nich planował zostać.

Jacqueline przekręciła klucz w zamku i schowała go do kieszeni, gdzie nie groziło mu zgubienie, bo ona nigdy niczego nie gubiła. Jillian pchnęła drzwi i zajrzała do pokoju, by się upewnić, że w środku nie czekają na nich rodzice. Ona zawsze pierwsza przekraczała próg. Kiedy zamknęły za sobą drzwi, w końcu poczuły się bezpieczne, naprawdę bezpieczne, bez żadnych ról do odgrywania oprócz tych, które same dla siebie wybierały.

– Zamawiam piracki miecz! – wykrzyknęła z ekscytacją Jacqueline, pobiegła do szafy i uniosła wieko kufra. Nagle zamarła, a jej radość zmieniła się w zdziwienie. – Gdzie się podziały ubrania?

– Co? – Jillian stanęła obok siostry i zajrzała do skrzyni. Stroje do przebieranek i akcesoria zniknęły, zastąpione przez kręte drewniane schody biegnące w dół, w ciemność.

Gdyby babci Lou pozwolono z nimi zostać, mogłyby przeczytać więcej bajek, mogłyby usłyszeć więcej historii o dzieciach, które otwierały drzwi do jakiegoś miejsca i trafiały do innego. Gdyby pozwolono im dorastać na swój sposób, kierować się własnymi zainteresowaniami, mogłyby poznać Alicję, Piotrusia i Doroatkę, wszystkie dzieci, które zboczyły ze ścieżki i znalazły się w baśniowej krainie. Ale bajki były zbyt krwawe i okrutne jak na gust Sereny, a książki dla

dzieci zbyt głupawe i dziwaczne jak na gust Chestera, więc, choć może się to wydawać nieprawdopodobne, Jacqueline i Jillian nigdy nie musiały zadać sobie pytania, co może się czaić za drzwiami, których nie powinno być.

Obie spojrzały na niemożliwe schody, zbyt zdumione i podniecone, żeby się bać.

– Nie było ich tu ostatnim razem – stwierdziła Jillian.

– Może były, ale zakrywały je ubrania – podsunęła Jacqueline.

– Ubrania by spadły – zauważyła Jillian.

– Nie bądź głupia – skarciła ją siostra... Ale może ona miała rację? Gdyby w kufrze zawsze były schody, wtedy wszystkie rzeczy, które zostawiła dla nich babcia Lou, spadłyby w ciemność. Chyba że... – Tu jest wieko. Może na dnie też jest wieko. Otworzyło się i wszystko spadło ze schodów.

– Aha – mruknęła Jillian. – Co robimy?

Jacqueline niejasno zaczynała sobie uświadamiać, że to nie jest tajemnica, tylko okazja. Rodzice nie wiedzieli, że w starej szafie babci Lou znajdują się ukryte schody. Nie mogli wiedzieć. Gdyby wiedzieli, schowaliby klucz w lepszym miejscu niż kuchenna szuflada. Schody wyglądały na zakurzone, jakby nikt po nikt nie chodził od lat, a Serena nienawidziła kurzu, co oznaczało, że nie wiedziała o ich istnieniu. Gdyby Jacqueline i Jillian po nich zeszyły, trafiłyby do jakiegoś sekretnego miejsca, którego rodzice mogli nigdy nie widzieć i dlatego nie odgradzili go jakimiś niewytłumaczalnymi zasadami dorosłych.

– Powinniśmy zejść na dół, znaleźć nasze przebrania i odłożyć je na miejsce, żeby nie nabałaganić w pokoju Gemmy Lou – stwierdziła Jacqueline, jakby to była najrozsądniejsza rzecz na świecie.

Jillian zmarszczyła brwi. Było w rozumowaniu siostry coś, co jej nie pasowało. Nie przeszkadzało jej zakradanie się do pokoju babci, bo zawsze były tam mile widziane, zanim Gemma Lou przestała je kochać i wyjechała. Czują, że to jest ich miejsce, tak samo jak jej. Z drugiej strony schody w kufrze... to było coś nowego, obcego i dziwnego. On nie należał ani do babci Lou, ani do nich, tylko do kogoś innego.

– Nie wiem... – zaczęła ostrożnie.

Może gdyby siostry zachęcano, żeby bardziej kochały się nawzajem, bardziej sobie ufały, widziały jedna w drugiej coś więcej niż rywalkę do ograniczonych zasobów rodzicielskiej miłości, zamknęłyby kufer i poszły po dorosłego. Gdyby przyprowadziły zaskoczonych rodziców do pokoju babci Lou i otworzyły kufer, w środku nie byłoby żadnych sekretów, żadnych schodów, tylko kłębowisko ubrań i zamęt w głowie, pojawiający się zawsze wtedy, gdy znika coś magicznego. Może.

Ale nie tak wyglądało ich dzieciństwo, nie tak wyglądało ich życie. One były w równym stopniu rywalkami, co towarzyszkami, a myśl, żeby powiedzieć rodzicom, w ogóle nie przyszła im do głowy.

– Ja idę – oznajmiła Jacqueline z wymuszonym prychnięciem i przełożyła nogi przez brzeg kufra.

Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewała. Było tak, jakby kufer ją zapraszał, jakby schody chciały, żeby po nich zeszła. Wcisnęła się w otwór i zrobiła kilka kroków w dół, a potem wygładziła sukienkę, obejrzała się przez ramię i spytała:

– No więc?

Jillian nie była taka odważna, jak wszyscy zawsze sądzili. Nie była taka dzika, jak wszyscy od niej oczekiwali. Ale przez całe dotychczasowe życie słyszała, że właśnie taka jest, a co więcej, że jej siostra wprost przeciwnie. Skoro zanosilo się na przygodę, po prostu nie mogła pozwolić, żeby Jacqueline przeżyła ją bez niej. Weszła do kufra z takim pośpiechem, że stoczyła się w dół i zatrzymała stopień wyżej od tego, na którym czekała Jacqueline.

– Idę z tobą – oświadczyła, wstając. Nie zawracała sobie głowy otrzepywaniem się z kurzu.

Jacqueline, która spodziewała się takiego rezultatu, podała jej rękę.

– Żeby któraś z nas się nie zgubiła – powiedziała.

Jillian skinęła głową i ujęła dłoń siostry. Razem ruszyły w dół, w ciemność.

Kufer poczekał, aż znajdą się za daleko, by usłyszeć trzask wieka zamykającego się za nimi, odcinającego je od starego świata. Żadna z dziewczynek niczego nie zauważyła. Po prostu schodziły dalej.

* * *

Niektóre przygody zaczynają się łatwo. Ostatecznie nie jest trudno zostać wessanym przez tornado albo wepchniętym w szczególnie porowate lustro. Nie trzeba żadnych umiejętności, żeby zostać porwanym przez wielką falę albo wciągniętym do króliczej nory. Niektóre przygody nie wymagają niczego więcej od obojętnego serca i talentu do wpadania w szczeliny świata.

Inne przygody muszą się skończyć, nim na dobre się zaczną. Jak inaczej odróżniłyby godnych od niegodnych, gdyby nie wymagały pewnego wysiłku ze strony tych, którym się przytrafiają. Niektóre przygody są okrutne, bo to jedyny znany im sposób, żeby zrobić coś dobrego.

Jacqueline i Jillian schodziły po schodach, aż rozboleły je nogi, kolana się zablokowały, usta wyschły jak pustynia. Na ich miejscu dorosły mógłby się

cofnąć, wybrać powrót do krainy znajomych rzeczy, kranów z wodą, bezpiecznych, płaskich powierzchni. Ale one były dziećmi, a dziecięca logika podpowiadała, że łatwiej schodzić niż iść pod górę. Dziecięca logika ignorowała fakt, że pewnego dnia będą musiały wspinać się po schodach, do światła, jeśli zechcą wrócić do domu.

Kiedy znajdowały się w połowie drogi (choć tego nie wiedziały, a każdy krok był jak ostatni), Jillian pośliznęła się i upadła. Krzyknęła ostro, bez słów i potoczyła się w dół, a Jacqueline zsunęła się za nią, aż wylądowały razem, posiniaczone i lekko oszołomione na jednym z nielicznych podestów.

– Chcę wracać – oświadczyła Jillian, pociągając nosem.

– Dlaczego? – zapytała Jacqueline.

Nie było dobrej odpowiedzi, więc znowu ruszyły w dół, w dół, wzdłuż ziemnych ścian przerośniętych korzeniami drzew, a niżej wielkimi białymi kośćmi zwierząt, które chodziły po Ziemi tak dawno temu, że równie dobrze mogły być bajką.

Szły w dół i w dół, dwie małe dziewczynki, które nie mogły być bardziej od siebie różne albo takie same. Miały identyczne twarze, patrzyły na świat takimi samymi oczami, niebieskimi jak niebo po burzy. Miały takie same blond włosy, tak jasne, że niemal lśniły w półmroku, choć u Jacqueline opadały długimi skreconymi lokami, a Jillian były krótko obcięte, tak że odsłaniały uszy i smukłą linię szyi. Obie poruszały się ostrożnie, jakby czuły, że zaraz coś się wydarzy.

Szły w dół i w dół, aż znalazły się w małym, kolistym pomieszczeniu pełnym kości i korzeni w ścianach obwieszonych białymi przyciemnionymi światełkami, jakby wcześniej ogłoszono Boże Narodzenie. Na ich widok Jacqueline pomyślała o lampach górniczych, o ciemnych miejscach pod ziemią. Na ich widok Jillian pomyślała o nawiedzonych domach, o miejscach, które zabierają więcej, niż dają. Obie zdrząły i przysunęły się do siebie.

Były tam drzwi. Małe, proste, z surowej, niezaimpregnowanej sosny. Na wysokości oczu dorosłego wisiał napis: „Bądź pewny”, a litery wyglądały tak, jakby zostały wypalone w drewnie.

– Czego mam być pewna? – zapytała Jillian.

– Bądź pewna, że chcesz zobaczyć to, co jest po drugiej stronie, chyba – odpowiedziała Jacqueline. – Nie ma stąd innej drogi.

– Mogłybyśmy wrócić na górę.

Jacqueline spojrzała na siostrę.

– Nogi mnie bolą. Poza tym myślałam, że szukasz przygody. „Znalazłyśmy drzwi, ale nam się nie spodobały, więc nie zobaczyłyśmy, co za nim jest, i wróciłyśmy”, to nie jest przygoda. To... uciezka.

– Ja nie uciekam – oświadczyła Jillian.

– To dobrze. – Jacqueline sięgnęła do gałki.

Gałka obróciła się, zanim Jacqueline jej dotknęła, drzwi się otworzyły, ukazując najbardziej niesamowite miejsce, jakie dziewczynki w życiu widziały.

To było pole. Ogromne pole, sięgające do skraju czegoś, co wyglądało na ocean, szary jak łupek, rozbijający się o skalisty, niegościnnie brzeg. Żadna dziewczynka nie znała słowa „wrzosowisko”, ale gdyby je znały, obie by się zgodziły, że to właśnie jest wrzosowisko. To była platońska idea wrzosowiska, od której wywodziły się wszystkie pozostałe. Porastały je niskie krzewy i kolorowe kwiaty: niebieskie, pomarańczowe, fioletowe, prawdziwa barwna orgia. Jillian zrobiła krok do przodu z cichym okrzykiem zdumienia i zachwyty. Jacqueline, nie chcąc zostać z tyłu, ruszyła za nią.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Żadna dziewczynka tego nie zauważyła, na razie. Śmiejąc się, biegły wśród kwiatów pod okiem wielkiego, krwawego księżyca.

Ich historia wreszcie się zaczęła.

Część II

Jill i Jack idą w mrok

Na targ, na targ, kupić tłustą kurę

Jillian i Jacqueline biegły wśród kwiatów jak dzikie stworzenia i w tamtej chwili, tamtej krótkiej, promiennej chwili, kiedy rodzice byli daleko, nieświadomi, co robią ich córki, i żaden mieszkaniec Wrzosowisk nie wiedział jeszcze o ich istnieniu, były dzikimi istotami i mogły robić, co chciały, a chciały biec.

Jacqueline biegła, jakby całe swoje bieganie oszczędzała właśnie na tę chwilę, bo w tym miejscu nikt nie mógł jej zobaczyć ani skrzyczeć, powiedzieć jej, że damy nie zachowują się w ten sposób – usiądź, zwolnij, podrzesz sukienkę, poplamisz rajstopy, bądź grzeczna. Miała plamy od trawy na kolanach i błoto pod paznokciami i wiedziała, że później tego pożałuje, ale teraz o to nie dbała. W końcu biegła. W końcu była wolna.

Jillian biegła wolniej, starając się nie deptać kwiatów, zwalniając, kiedy miała ochotę rozejrzeć się z zachwytem w oczach. Nikt jej nie mówił, żeby pędziła szybciej, żeby patrzyła na piłkę; nikt nie chciał, żeby to była rywalizacja. Po raz pierwszy od lat biegła wyłącznie dla przyjemności, a potknąwszy się, upadła i wybuchła śmiechem.

Przetoczyła się na plecy i śmiech zamarł jej w gardle, kiedy ze zdumieniem spojrzała w wielkie, rubinowe oko księżycy.

Ci z was, którzy widzieli księżyc, mogą sądzić, że wiedzą, co zobaczyła Jillian, mogą sądzić, że potrafią go sobie wyobrazić, jaśniejący wysoko na niebie. Księżyc jest najbardziej dobrotliwym z ciał niebieskich, świecącym ciepłym, białym, miłym blaskiem, jak przyjaciel, który jedynie chce wiedzieć, czy wszyscy jesteśmy bezpieczni w naszych ciasnych światach, na ciasnych podwórkach, w naszym ograniczonym, dobrze przemyślanym życiu. Księżyc się martwi. Możemy nie zdawać sobie sprawy, skąd to wiemy, ale wiemy, że księżyc patrzy, księżyc się martwi, księżyc zawsze będzie nas kochał, cokolwiek by się działo.

Jacqueline zmęczyła się biegiem, podeszła do siostry i usiadła obok niej w kwiatkach. Jillian bez słowa wskazała w górę, a ona spojrzała i zmarszczyła brwi, nagle zaniepokojona.

– Księżyc jest inny – zauważyła.

– Jest czerwony – potwierdziła Jillian.

– Nie – powiedziała Jacqueline, którą przecież zachęcano, żeby siedziała cicho i czytała książki, zamiast bawić się w hałaśliwe gry, żeby obserwowała.

Nikt nigdy nie pomyślał, żeby kazać jej być mądrą, i w ogólnym rozrachunku dobrze się stało. Matka raczej oczekiwała od niej, że będzie trochę naiwna, bo naiwne dziewczyny są bardziej uległe niż te uparte i bystre. Bystrość to chłopięca cecha i tylko przeszkadza siedzieć cicho i być rozważną.

Jacqueline na własną rękę odkryła bystrość, wydobyła ją z ciszy, w której tkwiła pozostawiona samej sobie, i użyła jej, żeby wypełnić luki powstające w naturalny sposób, kiedy jest się dobrym, cichym i cierpliwym. Miała tylko dwanaście lat i ograniczoną wiedzę. A jednak...

– Księżyc nie powinien być taki duży – stwierdziła. – Jest za daleko, żeby być taki duży. Żeby tak wyglądać, musiałyby znajdować się blisko, a wtedy namieszałyby ze wszystkimi planetami, a grawitacja rozsądziłaby świat.

– Grawitacja może to zrobić? – spytała Jillian z przerażeniem.

– Mogłaby, gdyby księżyc znajdował się tak blisko. – Jacqueline wstała i podała siostrze rękę. – Nie powinnyśmy tu być.

Księżyc wyglądał niewłaściwie, a w oddali rysowały się góry. Góry. Jakoś nie miała problemu z tym, że pod piwnicą są pole i ocean, ale góry? Tego było już za wiele.

– Drzwi zniknęły – stwierdziła Jillian. Miała we włosach gałązkę jakiejś fioletowej rośliny zatknietą jak spinkę. Ładną. Jacqueline nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz widziała siostrę noszącą coś tylko dlatego, że jest ładne. – Jak mamy wrócić do domu, skoro drzwi zniknęły?

– Skoro księżyc może być niewłaściwy, to i drzwi mogą się przemieszczać – orzekła Jacqueline tonem, który, miała nadzieję, wyrażał pewność. – Po prostu musimy je znaleźć.

– Gdzie?

Jacqueline się zawahała. Przed nim znajdował się ocean, wielki, wzburzony i gniewny. Gdyby za bardzo się zbliżyły, fale zmyłyby je w jednej chwili. Za nimi wznosiły się góry, wysokie, urwiste, złowrogie. Na najwyższych szczytach rysowały się kształty podobne do zamków. Nawet gdyby zdołałby wspiąć się tak wysoko, nie było gwarancji, że ludzie mieszkający w tych budowlach wysoko na zboczach będą przyjaźni wobec dwóch zagubionych dziewczynek.

– Możemy iść w lewo albo w prawo – powiedziała w końcu Jacqueline. – Ty wybierasz.

Jillian się rozpromieniła. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz siostra poprosiła ją, żeby coś wybrała, zaufała jej, że nie poprowadzi ich prosto

w kałużę błota albo coś gorszego.

– W lewo – zdecydowała, chwyciła dłoń Jacqueline i pociągnęła ją przez rozległe, groźne wrzosowisko.

* * *

Ważne jest, by poznać świat, w którym znalazły się Jacqueline i Jillian, nawet jeśli one same miały go nie rozumieć jeszcze przez jakiś czas, jeśli w ogóle. A zatem zacznijmy od Wrzosowisk.

Są światy zbudowane na tęczach i światy zbudowane na deszczu. Są światy czystej matematyki, gdzie wszystkie liczby dźwięczą jak kryształ, kiedy toczą się ku rzeczywistości. Są światy blasku i światy ciemności, światy rytmu i światy rozumu, światy, gdzie jedynym, co się liczy, jest dobroć w sercu bohatera. Wrzosowiska tym nie są. Wrzosowiska istnieją w wiecznym półmroku, w przerwie między uderzeniem błyskawicy a odrodzeniem. Są miejscem nieskończonego eksperymentu naukowego, potwornego piękna i straszliwych konsekwencji.

Gdyby dziewczynki skierowały się w stronę gór, znalazłyby się w świecie śniegu i sosen, gdzie wycie wilków rozdziera noc, gdzie władcy wiecznej zimy rządzą bezlitosną ręką.

Gdyby skierowały się w stronę morza, znalazłyby się w świecie uchwyconym na zawsze w chwili tonięcia, w którym śpiew syren wabi nieostrożnych na śmierć, w którym władcy na pół zatopionych rezydencji nigdy nie zapominają, nigdy nie wybaczą tym, którzy wkraczają na ich teren.

Ale one nie zrobiły żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego poszły przez krzewy i orlice, zatrzymując się czasem, żeby zrywać kwiaty, jakich nigdy wcześniej nie widziały, kwiaty białe jak kość, żółte jak żółć albo z niewyraźnym zarysem kobiecej twarzy pośród płatków. Szły, aż już nie mogły dalej iść. Kiedy położyły się wyczerpane, podszycie posłużyło im za miękki materac, a gęsta zarośla zasłoniły je ze wszystkich stron.

Księżyc zaszedł. Wstało słońce, przynosząc ze sobą burzowe chmury, za którymi ukrywało się przez cały dzień. Dlatego niebo nigdy nie było jaśniejsze niż wtedy, kiedy bliźniaczki się tam zjawily. Z gór zeszyły wilki, z morza wypelzły stworzenia nie do opisanja. Wszystkie zebrały się wokół śpiących dziewczynek i przez wiele godzin je obserwowaly. Żadne nie próbowało ich dotknąć. One dokonały wyboru: wybrały Wrzosowiska. Ich los i przyszłość zostały przesądzone.

Gdy księżyc znowu wzeszedł, bestie z gór i morza oddaliły się, zostawiając Jacqueline i Jillian, żeby obudziły się same w odludnym, cichym świecie.

Jillian pierwsza otworzyła oczy. Spojrzała na czerwony księżyc wiszący nad nimi i zdumiała się dwa razy w ciągu jednej sekundy: pierwszym zdziwieniem była bliskość księżyca, a drugim brak zaskoczenia miejscem, w którym się znalazły. Oczywiście to wszystko było prawdziwe. Wcześniej miała dużo szalonych i pięknych snów, ale nigdy podobnego. A skoro to się jej nie przyśniło, musiało być prawdziwe, a skoro było prawdziwe, oczywiście nadal się tam znajdowały. Prawdziwe miejsca nie znikają tylko dlatego, że ktoś się zdrzemnął.

Obok niej Jacqueline poruszyła się we śnie. Jillian odwróciła się do niej i skrzywiła na widok ślimaka pełzającego powoli po uchu siostry. Spotkała je przygoda, ale wszystko by się popsuło, gdyby Jacqueline zaczęła panikować z powodu tego, że się ubrudziła. Jillian ostrożnie wyciągnęła rękę i zdjęła ślimaka z ucha siostry. Rzuciła go w trawę.

Kiedy wróciła spojrzeniem do siostry, jej oczy były otwarte.

– Nadal tu jesteśmy – stwierdziła Jacqueline.

– Tak.

Jacqueline wstała i z niezadowoleniem spojrzała na zielone plamy na kolanach i błoto na brzegu sukienki. Dobrze, że nie może zobaczyć swoich włosów, pomyślała Jillian. Pewnie by się rozplakała.

– Musimy znaleźć drzwi – powiedziała Jacqueline.

– Tak – potwierdziła Jillian, choć nie mówiła poważnie.

Ale kiedy Jacqueline podała jej rękę, ona ją ujęła, bo były razem, obie, naprawdę razem. I nawet jeśli ta przygoda nie mogła trwać długo, nadal wszystko to było nowe i cudowne. Kiedy ludzie słyszeli, że one są bliźniaczkami, od razu mówili, jakie to miłe mieć od urodzenia najlepszą przyjaciółkę. Jillian nigdy nie wiedziała, jak im uświadomić, że bardzo się mylą. Posiadanie bliźniaczki oznaczało, że ona wciąż się do kogoś porównuje i zawsze wypada gorzej, a w dodatku ten ktoś nie ma żadnego obowiązku jej lubić... i przez większość czasu nie lubi, bo przywiązanie emocjonalne to niebezpieczna rzecz.

(Gdyby Jillian potrafiła wyartykułować, co sądzi o swoim życiu rodzinnym, gdyby potrafiła wyznać to dorosłemu, mogłaby się zdziwić, jak wszystko może się zmienić. Ale gdyby to zrobiła, ona i jej siostra nigdy nie stałyby się kłębkami uraz i sprzeczności koniecznych do tego, by wezwać drzwi prowadzące na Wrzosowiska. Każdy wybór determinuje wybór późniejszy, czy chce się ich dokonywać czy nie).

Jacqueline i Jillian ruszyły przez krainę wrzosowisk, trzymając się za ręce. Nie rozmawiały, bo nie wiedziały, o czym. Swobodne siostrzane pogawędki przestały przychodzić im łatwo, gdy tylko nauczyły się mówić. Czerpały jednak

pociechę z tego, że są razem, ze świadomości, że żadna nie odbywa tej podróży sama. Znajdowały pociechę w bliskości. Po wspólnym dzieciństwie to było najbliższe czerpania radości ze swojego towarzystwa.

Teren był nierówny, jak to często bywa na wrzosowiskach i kamienistych pustkowiach. Wspinały się przez jakiś czas, aż dotarły na skraj płaskiej równiny. Na szczycie wzgórza Jacqueline trafiła stopą na jakiś dołek i upadła. Zaczęła się staczać po drugim zboczach wzniesienia z szybkością równie zaskakującą co bolesną. Jillian wykrzyknęła jej imię i próbowała złapać ją za rękę, ale też runęła na ziemię. Dwie dziewczynki leciały na łeb na szyję jak gwiazdy spadające z załoczonego nieba.

W miejscach takich jak Wrzosowiska, kiedy czerwony księżyc spogląda z góry i dokonuje wyborów w tej historii, kiedy podróżni podjęli decyzję, dokąd iść, odległość czasami jest bardziej ideą niż dającym się narzucić prawem. Dziewczynki zatrzymały się raptownie. Jacqueline wylądowała na brzuchu, Jillian na jej plecach. Obie czuły mdłości i zawroty głowy. Usiadły i wyciągnęły do siebie ręce. Gdy wytarły oczy z wrzosów, rozdziawiły usta na widok muru, który nagle przed nimi wyrósł.

Trzeba powiedzieć słowo o tym murze.

Ci z nas, którzy mieszkają we współczesnym świecie, gdzie niewiele potworów grasuje na bagnach, gdzie jeszcze mniej wilkołaków wyje po nocach, sądzą, że rozumieją naturę murów. Stawiają ściany między jednym pokojem a drugim bardziej z uprzejmości niż z innego powodu. Niektórzy w ogóle postanawiają się bez nich obejść i prowadzą życie, jak to nazywają, na „otwartym planie”. Prywatność i ochrona są ideami, a nie koniecznościami, a mur zewnętrzny lepiej nazywać ogrodzeniem.

To nie było ogrodzenie. To był mur w najstarszym, najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Ścięto całe drzewa, zaostrozono je na końcach i wbito w ziemię. Połączono je ze sobą żelazem i ręcznie plecionymi sznurami, przestrzenie między nimi wypełniono betonem, który połyskiwał dziwnie w księżycowym blasku, jakby był zrobiony z czegoś więcej niż ze zwykłego kamienia. Cała armia mogłaby utknąć na tym murze niezdolna do jego pokonania.

W murze była brama zamknięta na noc, równie wielka i budząca grozę jak okolica porośnięta niskim zaroślami. Patrząc na tę bramę, trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek się otworzy albo że w ogóle można ją otworzyć. Wydawała się raczej dekoracją niż funkcjonalną rzeczą.

– Rany! – szepnęła Jillian.

Jacqueline trzęsa się z zimna. Była posiniaczona. A najgorsze, że była brudna. Po prostu całkiem zwyczajnie miała dość. Tak więc pomaszerowała przed siebie i wyszła z zarośli na ubity grunt. Zapukała w bramę tak mocno, jak pozwalały jej

na to delikatne dziecięce ręce. Jillian krzyknęła cicho, chwyciła ją za ramię i odciągnęła.

Ale szkoda już się stała. Brama ze skrzypieniem rozsunęła się pośrodku, a za nią ukazał się średniowieczny dziedziniec. Zdobila go fontanna z brązowo-stalowym posągami mężczyzny w długim płaszczu, z zamysłonym wzrokiem utkwionym w wysokich górach. Na całym podwórku nie było żywego ducha. Ujrzały opustoszałe, porzucone miejsce, a jego widok napełnił serce Jillian lękiem.

– Nie powinniśmy tutaj być – wyszeptwała.

– Rzeczywiście nie powinniście – rozległ się męski głos.

Obie dziewczynki wrzasnęły i podskoczyły. Gdy odwróciły się gwałtownie, zobaczyły, że za nimi stoi mężczyzna z fontanny i patrzy na nie, jakby były dziwnym nowym gatunkiem owadów pełzających po jego ogrodzie.

– Ale tu jesteście – ciągnął nieznajomy. – To oznacza, jak sądzę, że będę musiał się z wami rozprawić.

Jacqueline sięgnęła po dłoń Jillian, znalazła ją i ścisnęła mocno. Obie patrzyły na obcego ze strachem.

Był wysokim mężczyzną, wyższym od ich ojca, który zawsze stanowił najwyższy punkt ich świata. I przystojnym jak z filmu (choć Jacqueline nie była pewna, czy kiedyś widziała gwiazdora filmowego tak bladego, jakby został wyrzeźbiony z zimnego, białego tworzywa). Włosy miał bardzo czarne, oczy bardzo pomarańczowe, niczym lampa halloweenowa. Najbardziej zaskakujące były jego czerwone, czerwone usta, które wyglądały jak pomalowane szminką.

Podszewka jego płaszcza była takiego samego czerwonego koloru jak usta, a garnitur był czarny jak włosy. Mężczyzna stał tak nieruchomo, że nie wyglądał jak żywy człowiek.

– Nie chciałyśmy wchodzić tam, gdzie nie powinniśmy być – odezwała się Jillian, która nie na darmo spędziła lata na udawaniu, że wie, jak być odważną. Starła się tak bardzo, że czasami zapominała, że kłamie. – Myślałyśmy, że nadal jesteśmy w swoim domu.

Mężczyzna przekrzywił głowę, jakby patrzył na bardzo interesującego robaka, i spytał:

– Czy wasz dom zwykle obejmuje cały świat? Musi być duży. Pewnie poświęcacie sporo czasu na odkurzanie.

– Były drzwi – odezwała się Jacqueline, przychodząc siostrze z pomocą.

– Doprawdy? Czy przypadkiem na tych drzwiach był jakiś napis? Może instrukcja?

– Był – przyznała Jacqueline. – „Bądź pewny”, tak brzmiał.

– Hmm. – Mężczyzna skinął głową, ale nie na znak potwierdzenia. – I byliście?

– Co? – zapytała Jillian.

– Pewne.

Dziewczynki zbliżyły się do siebie, bo nagle zrobiło im się zimno. Były zmęczone i głodne, bolały je nogi, a nic z tego, co mówił ten mężczyzna, nie miało sensu.

– Nie – odpowiedziały chórem.

Mężczyzna chyba się uśmiechnął.

– Dziękuję – powiedział, a jego ton nie był niemiły.

Może to dało Jillian odwagę, żeby spytać:

– Za co?

– Za to, że mnie nie okłamałyście. Jak macie na imię?

– Jacqueline – powiedziała Jacqueline.

– Jillian – przedstawiła się Jillian.

Mężczyzna, który widział dużo dzieci idących przez te wzgórza i pukających do bramy, uśmiechnął się lekko.

– Jack i Jill zeszły ze wzgórza – powiedział. – Musicie być głodne. Chodźcie ze mną.

Dziewczynki wymieniły spojrzenia, zaniepokojone, choć nie potrafiły powiedzieć, dlaczego. Ale miały tylko dwanaście lat, a nawyk posłuszeństwa był w nich silny.

– Dobrze – zgodziły się, a kiedy mężczyzna wszedł przez bramę na pusty plac, podążyły za nim.

Brama zamknęła się za nimi, odcinając pustkowie. Nie mogła odciąć wyrażającego dezaprobatę czerwonego księżycy, który patrzył, osądzał i nic nie mówił.

Role, które sami wybieramy

Mężczyzna poprowadził je przez cichą osadę leżącą za murami.

Jill obserwowała go, bo wierzyła, że gdyby coś miało się wydarzyć, zaczęłoby się od jedynej osoby, którą spotkały, odkąd zeszyły na dno babcinego kufra.

Jack, bardziej przyzwyczajona do ciszy i bezruchu, patrzyła na okna. Dostrzegła w nich blask świec, pośpiesznie zabranych z widoku; zobaczyła, że zasłony się poruszają, jakby właśnie puściła je niewidoczna ręka.

Nie były tam same, ale wszyscy ludzie dzielący z nimi ten wieczór się ukrywali. Dlaczego? Z pewnością dwie dziewczynki i mężczyzna w płaszczu nie mogli być aż tacy przerażający. Ale ponieważ była głodna, przemarznięta i zmęczona, trzymała język za zębami i szła dalej, aż dotarli do zakratowanych żelaznych drzwi w szarym kamiennym murze. Mężczyzna obejrzał się na nie z poważną miną.

– To wasza pierwsza noc na Wrzosowiskach, a prawo mówi, że muszę was ugościć w swoim domu przez trzy wschody księżycy – rzekł uroczyście. – W tym czasie będziecie równie bezpieczne pod moim dachem jak ja. Nikt nie zrobi wam krzywdy. Nikt nie rzuci na was uroku. Nikt nie upuści waszej krwi. Kiedy ten czas dobiegnie końca, zaczną was obowiązywać prawa tej krainy i będziecie płacić za to, co dostaniecie, jak wszyscy tutaj. Rozumiecie?

– Co? – spytała Jill.

– Nie – powiedziała Jack. – To nie... Co to znaczy, „nikt nie upuści naszej krwi”? Dlaczego miałby pan coś zrobić z naszą krwią?

– Co? – powtórzyła Jill.

– Nawet nie zamierzamy być tutaj przez trzy dni. Po prostu musimy znaleźć drzwi, a wtedy wrócimy do domu. Nasi rodzice się o nas martwią. – To było pierwsze kłamstwo, jakie Jack wypowiedziała, odkąd trafiły na Wrzosowiska, i utknęło jej ono w gardle jak kamień.

– Co? – zapytała Jill po raz trzeci.

Mężczyzna się uśmiechnął. Jego zęby były tak białe, jak wargi czerwone, i ten kontrast dodał trochę barw jego skórze.

– O, to będzie zabawa – powiedział i otworzył żelazne drzwi.

Za nimi znajdował się hol. Całkiem zwyczajny hol, jak wszystkie inne w podziemnych zamkach: ściany z kamienia, podłoga wyłożona dywanem w kolorze wyblakłej czerwieni i czerni, żyrandole oplecione pajęczynami, zwisającymi niebezpiecznie blisko zapalonych świec. Mężczyzna przeszedł przez próg, a Jack i Jill z braku lepszego wyboru podążyły za nim.

Spójrzcie na nie takie, jakie były wtedy: dwie złotowłose dziewczynki w podartych, zabłoconych ubraniach, idące przez zamek za nieskazitelnie wyglądającym nieznanym. Spójrzcie, jak on się porusza, płynnie jak polujący kot, można odnieść wrażenie, że jego stopy ledwo dotykają podłogi, a dzieci śpieszą się, by dotrzymać mu kroku, niemal potykają się o własne nogi, żeby nie zostać z tyłu! Nadal trzymają się za ręce, nasze zagubione małe dziewczynki, ale Jack już zaczyna trochę się ościagać, podejrzliwa wobec ich gospodarza, ostrożna, zaniepokojona tym, co się stanie, kiedy miną trzy dni.

Nie są bliźniaczkami, które nauczono, jak ważne jest trzymanie się razem, pęknięcia między nimi już zaczynają się rysować. Nie minie dużo czasu, kiedy zostaną rozdzielone.

Ale to dopiero przyszłość, a to jest teraźniejszość. Mężczyzna szedł, a Jack i Jill podążały za nim, już noszące skrócone imiona jak zbroję, którą w końcu się staną. Jack zawsze była Jacqueline i unikała krótkiego, ostrego, męskiego zdrobnienia (jej matka często zadawała sobie pytanie, czy dałoby się zamienić imiona dziewczynek, tak żeby Jacqueline została Jillian, a Jillian Jack). Jill zawsze była Jillian i kurczowo trzymała się tej odrobiny kobiecości, na którą jej pozwolono (jej ojciec zgłębił kwestię zamiany imion, ale odrzucił ją jako zbyt skomplikowaną, a korzyść uznał za niewystarczającą). Jill następowała na pięty ich przewodnikowi, a Jack zostawała z tyłu, na ile pozwalały ich złączone dłonie, a kiedy dotarli do schodów, węższych niż te, którymi tu przyszły, z kamienia zamiast z zakurzonego drewna, obie zatrzymały się na chwilę i w milczeniu popatrzyły na stopnie.

Mężczyzna przystanął i spojrzał na nie z uśmiechem igrającym w kąciку ust.

– To nie jest droga do domu, małe znajdy – powiedział. – Obawiam się, że będzie trudniej ją znaleźć niż schody łączące moją wieś z jadalnią.

– Pańską wieś? – powtórzyła Jack, która ze zdumienia zapomniała o strachu. – Całą? Cała jest pana?

– Każdy patyk i każda kość – odparł mężczyzna. – A dlaczego pytasz? Czy to robi na tobie wrażenie?

– Trochę – przyznała Jack.

Uśmiech mężczyzny się poszerzył. Dziewczynka była urocza z tymi włosami jak blask słoneczny i gładką skórą, świadcząca o dniach spędzonych głównie we wnętrzach. Będzie uległa, będzie słodka. Może się nadać.

– Mam wiele imponujących rzeczy. – Mężczyzna ruszył w górę po schodach, nie zostawiając dziewczynkom innego wyboru jak pójść za nim, jeśli nie chciały zostać same.

Szli w górę i w górę, aż wydawało się, że pokonali całą drogę do dna kufra babci Lou, do znajomych granic swojego domu. Zamiast tego znaleźli się w pięknej jadalni. Długi mahoniowy stół był nakryty dla jednej osoby. Pod przeciwległą ścianą stała pokojówka. Kiedy mężczyzna wszedł do Sali, a za nim dwie dziewczynki, na jej twarzy odmalował się niepokój. Zrobiła krok do przodu, ale zatrzymała się, nerwowo splatając dłonie.

– Spokojnie, Mary, spokojnie – przemówił do niej mężczyzna. – To podróźniczki... znajdy. Weszły przez drzwi, a to jest pierwsza z trzech nocy.

Kobieta nie wyglądała na uspokojoną. Jeśli już, to na bardziej zatroskaną.

– Są brudne – stwierdziła. – Najlepiej je zabiorę i wykąpię, żeby nie przeszkadzały panu w kolacji.

– Nie bądź głupia – rzucił mężczyzna. – One zjedzą ze mną. Zawiadom kuchnię, że będę potrzebował dwóch talerzy tego, co jadają dzieci.

– Tak, milordzie. – Mary dygnęła krótko i nerwowo.

Nie była stara, ale młoda również nie. Wyglądała jak inne kobiety z okolicy, które czasami zatrudniano, żeby w wakacje doglądały Jack i Jill, kiedy rodzice musieli pracować. Obóz był dla Jack zbyt głośny i brudny, a letnie zajęcia uzupełniające wypełniały tylko kilka godzin dnia. Opieka do dzieci, choć budziła niechęć, czasami okazywała się jedynym wyjściem.

(Wiek był jedyną rzeczą, którą Mary miała wspólną z tamtymi opanowanymi, idealnymi paniami, które zawsze przychodziły z listami polecającymi, referencjami i torbami pełnymi programów różnych zajęć. Włosom Mary, brązowym i kręconym, przydałoby się szczotkowanie. Jej oczy były mętne jak woda ze zmywarki, a ona sama zachowywała sztywną czujność, która świadczyła o wyczerpaniu. Gdyby zjawiała się na progu domu Wolcottów, szukając pracy, Serena z miejsca by ją odprawiła. Jack od razu jej zaufała, Jill nie).

Mary posłała dziewczynkom ostatnie niespokojne spojrzenie i ruszyła do drzwi znajdujących się po drugiej stronie pokoju. Już prawie do nich dotarła, kiedy mężczyzna odchrząknął, zatrzymując ją w pół kroku.

– Powiedz Ivanowi, żeby posłał po doktora Bleaka – polecił. – Nie zapomniałem o naszej umowie.

– Tak, milordzie – krótko odpowiedziała Mary i wyszła.

Gospodarz odwrócił się do dziewczynek i uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że obie intensywnie go obserwują.

– Kolacja wkrótce będzie gotowa, a ja jestem pewien, że wam zasmakuje. Nie pozwólcie, żeby Mary was nastraszyła. Obiecałem trzy dni i dostaniecie trzy dni, więc nie musicie niczego się obawiać w tych murach.

– A co będzie, kiedy te trzy dni się skończą? – zapytała Jill, która dawno temu nauczyła się, że gry mają swoje reguły i tych reguł należy przestrzegać.

– Chodźcie – powiedział mężczyzna. – Siadajcie.

Sam zajął miejsce u szczytu stołu, które dla niego przygotowano. Jill usiadła po jego lewej stronie, Jack chciała usiąść obok niej, ale gospodarz pokręcił głową i wskazał jej krzesło po swojej prawicy.

– Skoro mam gościć parę identycznych bliźniąt przez trzy dni, równie dobrze mogę się tym cieszyć. Nie martwcie się. Nie trzeba się mnie bać. – Słowo „jeszcze” zawisło nad nimi niewypowiedziane, ale zasugerowane.

Jednakże Jack widziała w życiu niewiele horrorów, a Jill, chyba lepiej przygotowana do interpretowania sygnałów, była wyczerpana, przytłoczona i nadal oszołomiona po dniu spędzonym w towarzystwie siostry bez żadnych kłótni. Usiadły, jak im kazano, i czekały, aż Mary wróciła z dwoma cichymi mężczyznami o zapadniętych policzkach, odzianymi w czarne fraki, które sięgały im niemal do kolan. Obaj nieśli tace ze srebrnymi pokrywami.

– O, świetnie – ucieszył się mężczyzna. – Jak je przygotowano?

– Kuchenna wiedźma wymyśliła rzeczy, które dzieci lubią – odpowiedziała Mary sztywnym tonem, z uniesionym podbródkiem. – Obiecała, że będą zadowolone.

– Doskonale – skwitował gospodarz. – Dziewczynki? Którą wybieracie?

– Tę po lewej, proszę. – Pierwsza odezwała się Jill, pamiętając o manierach.

Głośno zaburczało jej w brzuchu, mężczyzna się roześmiał. Wydawało się, że wszystko będzie dobrze. Były bezpieczne. Otaczały je mury, przed nimi postawiono jedzenie, a czujne oko krwawego księżyca znajdowało się daleko i obserwowało wrzosowiska zamiast sióstr.

Mężczyźni postawili tace przed bliźniaczkami i zdjęli srebrne pokrywy. Jack zobaczyła przed sobą pół zająca, upieczonego i podanego na różnych warzywach, proste, chłopskie jedzenie, które sama mogłaby się nauczyć przygotowywać, gdyby miała czas. Była też kromka chleba z kawałkiem sera, a ona została wychowana tak, żeby zawsze być uprzejmą, nawet kiedy nie miała na to ochoty. Nie poskarżyła się na dziwny kształt mięsa ani na twardą skórkę warzyw, które ugotowano idealnie, ale w bardziej wiejski sposób, niż ona była przyzwyczajona.

Przed Jill leżały trzy plastry czerwonej pieczeni wołowej, tak niedosmażonej, że krew ściekała na tłuczone ziemniaki i szpinak. Żadnego chleba, żadnego sera,

tylko srebrny pucharek świeżego mleka. Metal był pokryty drobnymi kroplami wilgoci, jak rosą.

– Proszę – rzekł gospodarz. – Jedzcie.

Mary zdjęła srebrną pokrywę z jego dania, odsłaniając talerz, który wyglądał podobnie jak ten Jill. Pucharek też był taki jak jej, ale zawierał ciemniejszy płyn, może wino, bo wyglądał jak trunek, który ich ojciec czasami popijał do obiadu.

Jack miała nadzieję, że to wino.

Jill od razu zaczęła jeść, rzuciła się na jedzenie, jakby umierała z głodu. W domu mogłaby się skrzywić na tak niedosmażone mięso, ale od zbyt dawna nie miała niczego w ustach. Teraz pożarłaby nawet surowe mięso. Jack wołała być ostrożniejsza. Chciała zobaczyć, czy ten obcy nie podał jej siostrze narkotyku albo czegoś gorszego, zanim porzuci czujność. Ale była taka głodna, a jedzenie pachniało tak dobrze. Poza tym mężczyzna powiedział, że przez trzy dni będą bezpieczne w jego domu. Wszystko było dziwne, a one nadal nie znały jego imienia...

Sięgając po widelec, zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na gospodarza szeroko otwartymi oczami, jednocześnie rozpaczliwie próbując kopnąć Jill pod stołem. Nogi miała za krótkie, a stół był zbyt szeroki. Zabrakło jej ponad trzydzieści centymetrów.

– Nie znamy pańskiego imienia – odezwała się trochę piskliwym głosem. – To znaczy, że jest pan obcy, a nam nie wolno rozmawiać z obcymi.

Mary zbladła, co Jack uznała za niemożliwe; ta kobieta nie miała w sobie nawet krzty koloru. Dwaj cisi służący zrobili krok do tyłu i stanęli pod ścianą. Gospodarz, obcy, bezimienny mężczyzna w płaszczu z czerwoną podszewką, wyglądał na rozbawionego.

– Nie znacie mojego imienia, bo na to nie zasłużyłyście, małe znajdy – powiedział. – Większość mówi na mnie „Pan”. Wy możecie zwracać się do mnie tak samo.

Jack patrzyła na niego i gryzła się w język, niepewna, co powiedzieć; niepewna, co mogłaby bezpiecznie powiedzieć. Było jasne jak księżyc na niebie, że ludzie, którzy pracują dla tego człowieka, czują przed nim strach. Nie wiedziała tylko, dlaczego się go boją, i wołała nic nie mówić, póki się tego nie dowie.

– Powinnaś jeść – rzekł mężczyzna łagodnie. – Chyba że wołałabyś dostać to co siostra.

Jack w milczeniu pokręciła głową. Jill, która jadła przez całą tę wymianę zdań, nadal zgarniała do ust mięso, ziemniaki i szpinak, najwyraźniej zadowolona ze świata.

Nagle na schodach rozbrzmiały ciężkie kroki, dostatecznie głośne, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich przy stole. Nawet Jill, która zawzięcie żuła i przełykała, odwróciła się w stronę miejsca, z którego dochodził dźwięk. Gospodarz się skrzywił, a wyraz niesmaku na jego twarzy jeszcze się pogłębił, kiedy do jadalni wszedł kolejny obcy mężczyzna.

Ten był potężny, zbudowany jak wiatrak, krępy i silny. Praktyczne ubranie, drelichowe spodnie i samodziałową koszulę chronił skórzany fartuch. Gość miał podbródek, którym mógłby rąbać drwa, i bystre, taksujące oczy pod ciężkim czołem. Najbardziej fascynująca była blizna biegnąca wzdłuż całego obwodu szyi, gruba, biała i postrzępiona jak kawałek szpagatu, jakby to, co ją przecięło, nie zadało sobie trudu, żeby zrobić to czysto.

– Doktor Bleak – powitał go gospodarz z szyderczym uśmiechem. – Nie byłem pewien, czy raczy pan przyjść. A z pewnością nie tak szybko. Nie ma pan jakiegoś strasznego aktu rzezi do popełnienia?

– Zawsze – odparł przybysz głosem jak grzmot w dalekich górach, który od razu spodobał się Jack. Brzmiał jak u człowieka, który z uporem dąży do zrozumienia świata. – Ale mieliśmy umowę, pan i ja. Czy może pan zapomniał?

Pierwszy mężczyzna się skrzywił.

– Posłałem po pana, prawda? Poleciałem Ivanowi, żeby panu przekazał, że pamiętałem.

– Rzeczy, które mówi Ivan, i rzeczy, które mówi pan, czasami się różnią. – Doktor Bleak w końcu spojrział na dziewczynki.

Jill przestała jeść. Obie siedziały bardzo, bardzo nieruchomo.

Doktor Bleak zmarszczył brwi na widok czerwonych ziemniaków na talerzu Jill. Mięso dawno zniknęło, ale zostały po nim krwawe ślady.

– Widzę, że już dokonał pan wyboru – zauważył. – To nie było częścią naszej umowy.

– Pozwoliłem dziewczynkom wybrać posiłek – rzekł urażonym tonem właściciel zamku. – To nie moja wina, że ona woli niedosmażone mięso.

– Hmm – mruknął doktor Bleak i skupił uwagę na Jill. – Jak masz na imię, dziecko? Nie bój się. Nie przyszedłem, żeby cię skrzywdzić.

– Jillian – odpowiedziała Jill piskliwym głosem.

– Doktor Bleak mieszka poza wsią – wyjaśnił gospodarz. – Ma tam rudere. Szczury, pająki i inne takie. Ta buda nie może się równać z zamkiem.

Doktor Bleak przewrócił oczami.

– Naprawdę? Naprawdę zamierza pan uciekać się do małosłownych zniewag? Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Ale skoro najwyraźniej stara się pan o tę, którą ja byłbym skłonny faworyzować, nie czuję wstydu, broniąc swego – oświadczył gospodarz. – Zresztą

proszę na nie spojrzeć. Są identyczne! Jak mógłby pan mieć mi za złe, że chcę zatrzymać obie?

– Chwileczkę – odezwała się Jack. – Co to znaczy „zatrzymać nas”? Nie jesteśmy zabłąkanymi psami. Przepraszamy, że weszliśmy na pańskie upiorne pole, ale na pewno tu nie zostaniemy. Gdy tylko znajdziemy drzwi, wracamy do domu.

Pierwszy mężczyzna uśmiechnął się ironicznie. Doktor Bleak wyglądał... cóż, prawie smutno.

– Drzwi się pojawia, kiedy będą chciały – uprzedził. – Możecie zostać tutaj bardzo długo.

Na twarzach bliźniaczek malował się taki sam przerażony wyraz. Jill odezwała się pierwsza.

– Mam trening piłki nożnej i nie mogę go opuścić. Usuną mnie z drużyny, a wtedy tata będzie na mnie wściekły.

– A ja nie mogę wychodzić z domu – powiedziała Jack. – Matka będzie wściekła, kiedy zobaczy, że to zrobiłam. Nie możemy tu zostać. Po prostu nie możemy.

– Ale zostanieie – uciął gospodarz. – Przez trzy dni jako goście w moim domu, a potem jako cenni rezydenci tak długo, ile czasu zajmie wam znalezienie drzwi do waszego świata. Jeśli w ogóle się wam to uda. Nie wszystkie znajdy wracają do miejsc, z których uciekły, prawda, Mary?

– Tak, milordzie – potwierdziła martwym głosem służąca.

– Ostatnią znajdą, która przypałała się na Wrzosowiska, był chłopiec z włosami jak ogień i oczami jak zimowy poranek – rzekł gospodarz. – Doktor Bleak i ja spieraliśmy się, kto powinien się nim opiekować i go żywić... bo, widzicie, obaj kochamy dzieci. Są takie urocze, takie energiczne. Potrafią sprawić, że w domu robi się swojsko. W końcu ja wygrałem i żeby utrzymać pokój, obiecałem doktorowi Bleakowi, że on dostanie następną znajdę, która tu trafi. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy pojawiłyście się wy dwie! Księżyc naprawdę się spisał.

– Gdzie jest teraz ten chłopiec? – zapytała czujnie Jack.

– Znalazł drzwi do domu – odpowiedział doktor Bleak. – I przez nie przeszedł.

Spiorunował wzrokiem mężczyznę siedzącego przy stole, jakby rzucał mu wyzwanie, ale gospodarz po prostu się roześmiał i pokręcił głową.

– Jak dramatycznie! Zawsze tak dramatycznie. Siadaj, Michaelu. Pozwól, że cię nakarmię. Naciesz się gościnnością mojego domu, a może zrozumiesz, że powinno się zostawić te ładne siostry razem.

– Jeśli tak bardzo ci zależy, żeby ich nie rozdzielać, dotrzyмай ducha umowy i pozwól, żeby obie poszły do mojego domu – zaproponował doktor Bleak i zwrócił się do dziewczynek. – Nie mogę zapewnić wam luksusu. Nie mam służby, więc będziecie musiały pracować na swoje utrzymanie. Ale nauczę was, jak działa świat, a wy wróćcie do domu mądrzejsze, choć bardziej zmęczone. Nigdy nie zostanieie celowo skrzywdzone pod moim dachem.

Słowo „nigdy” przyciągnęło uwagę Jack. Pierwszy mężczyzna obiecał im jedynie trzy dni. Spojrzała przez stół na Jill i zobaczyła, że siostra jest naburmuszona i ponura.

– Zjesz coś, Michaelu? – zapytał gospodarz.

– Chyba powinienem – odparł doktor Bleak i opadł na krzesło jak lawina, która w końcu się zatrzymała. Spojrzał na służącą. Jego oczy były dobre. – Mięso, chleb i piwo, jeśli będziesz tak miła, Mary.

– Tak, proszę pana – powiedziała Mary z uśmiechem i wybiegła z pokoju.

Gospodarz uniósł puchar w drwiącym toście.

– Za przyszłość. Ona już jest w drodze, czy jesteśmy na nią przygotowani, czy nie.

– To prawda – przyznał doktor Bleak i spojrzał na Jack i Jill. – Jedzcie. Będziecie potrzebować siły na to, co ma nadejść.

– Wszyscy będziemy jej potrzebować.

Pierwsza noc bezpieczeństwa

Jack i Jill zostały umieszczone w pokoju w tej samej okrągłej wieży, na dwóch małych łóżkach w kształcie łoż, z głowami w najszerszym miejscu, a stopami w zwężającym się końcu. Okna były zakratowane, drzwi zamknięte.

– Dla ochrony – powiedziała Mary, zanim przekręciła klucz w zamku.

Wiele dzieci uskarżałoby się na uwięzienie, szukałoby sposobów, żeby wyrwać kraty z okien albo wyłamać zamek w drzwiach. Wiele dzieci wychowano w przekonaniu, że wolno im protestować przeciwko niepotrzebnym regułom, że wstanie z łóżka, żeby skorzystać z łazienki albo wziąć szklanek wody, nie tylko jest dozwolone, ale oczywiste, bo dbanie o własne potrzeby jest ważniejsze niż osiem godzin leżenia w łóżku. Ale nie Jack i Jill. Im obu wpojono, że powinny słuchać i zachowywać się grzecznie, więc zostały na swoich miejscach.

(Chyba należałoby zwrócić uwagę, że chociaż ślepe przestrzeganie zasad może być niebezpiecznym nawykiem, może również oznaczać ratunek. Ziemia pod oknem wieży była biała od kości dzieci, które próbowały zrobić liny ze splecionych prześcieradeł, ale te okazywały się za krótkie, a one ginęły od upadku. Niektóre zasady istnieją po to, żeby ratować życie).

– Nie możemy tu zostać – wyszeptała Jack.

– Musimy gdzieś mieszkać – odszepnęła Jill. – Skoro mamy czekać na drzwi, dlaczego nie tutaj? Tu jest ładnie. Podoba mi się.

– Tamten człowiek chce, żebyśmy nazywały go „panem”.

– Ten drugi chce, żebyśmy nazywały go „doktorem”. Co za różnica?

Jack nie wiedziała, jak wyjaśnić, że te dwie rzeczy się różnią. Po prostu wiedziała, że jedno jest tytułem i mówi coś o osobie, która go używa, a drugie świadczy o tym, ile ta osoba wie i rozumie ze świata. Jedno było zagrożeniem, drugie gwarancją.

– Po prostu tak jest – powiedziała w końcu. – Chcę iść z doktorem Bleakiem. Jeśli musimy kogoś wybrać, chcę być z nim.

– A ja chcę zostać tutaj – oświadczyła Jill i łypnęła na siostrę ze swojego łóżka. – Nie rozumiem, dlaczego zawsze musimy robić to, co ty chcesz.

Nigdy w życiu nie pozwolono Jack decydować o własnych działaniach. Rodzice zawsze wytyczali im kurs, nawet w szkole, gdzie odgrywały przydzielone im role z zapalem aktorów, którzy wiedzą, że występ zostanie odwołany, jeśli popełnią choć jeden błąd. Jack milczała urażona, zastanawiając się, jak siostra może odczytywać świat całkiem na opak.

W końcu stwierdziła cicho:

– Nie musimy zostawać razem.

Jill cieszyła się z czasu spędzanego z siostrą. To było... miłe. Uczucie, że są razem, jakby naprawdę wspólnie coś uzgodniły. Ale podobało się jej w tym dużym, niesamowitym zamku ze srebrnymi naczyniami i uśmiechającym się mężczyzną w długim czarnym płaszczu. Lubiła pewność, że jest bezpieczna za grubymi murami, gdzie duży czerwony księżyc nie może jej dopaść. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zostać z Jack, ale nie zamierzała z niczego rezygnować, bo jej siostra wołała jakiegoś cuchnącego, brudnego doktora.

– Nie musimy – przyznała i odwróciła się, jakby zamierzała spać.

Jack przewróciła się na plecy, spojrzała w sufit i niczego nie udawała.

Były zmęczonymi, zdezorientowanymi dziećmi z pełnymi brzuchami i leżały w ciepłych łóżkach. W końcu obie zapadły w sen i śniły poplątane sny, aż obudził je dźwięk klucza obracanego w zamku. Usiadły, nadal w tych samych brudnych, coraz bardziej zniszczonych ubraniach, które miały na sobie, kiedy zaczęła się ich przygoda, i patrzyły, jak drzwi się otwierają. Mary przytrzymała je dla dwóch mężczyzn, którzy wieczorem usługiwali im przy kolacji. Każdy niósł tacę. Postawili je obok dziewczynek i zdjęli pokrywki, odsłaniając jajecznicę, grzanki z masłem i grube plastry tłustej szynki.

– Pan oczekuje, że zjecie szybko – powiedziała Mary, kiedy służący wycofali się i stanęli za nią. – On rozumie, że nie możecie się umyć, i wybaczy wam brak schludności. Zaczekam na korytarzu, aż będziecie gotowe go zobaczyć.

– Chwileczkę – odezwała się Jack, która nagle sobie przypomniała, jaka jest brudna. – Możemy się wykąpać?

– Jeszcze nie – odpowiedziała Mary i wyszła z pokoju.

Służący podążyli za nią. Drugi zamknął za sobą drzwi.

– Dlaczego nie możemy się wykąpać? – oburzyła się Jack.

– Ja nie potrzebuję kąpieli – oświadczyła Jill, choć bardzo jej potrzebowała. Wzięła nóż i widelec i zaczęła kroić szynkę na małe kawałki.

Jack, której nigdy nie pozwalano być brudną dłużej niż kilka minut, zadrżała. Spojrzała na swoje śniadanie i zobaczyła tylko masło, tłuszcz i inne rzeczy, które

jeszcze bardziej pogorszyłyby stan jej ubrania. Wstała z łóżka, zostawiając nietknięty talerz.

Jill zmarszczyła brwi.

– Nie zamierzasz jeść?

– Nie jestem głodna.

– Ja będę jeść.

– W porządku. Mogę zaczekać.

– Nie musisz. – Jill wskazała drzwi. – Powiedz Mary, że skończyłaś, to może pozwoli ci wziąć kąpiel. Albo porozmawiać z twoim nowym przyjacielem doktorem. Spodobałoby ci się to, prawda?

– Wolałabym kąpiel – stwierdziła Jack. – Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Zamierzam ukraść wszystkie twoje tosty – odparła Jill pogodnie.

A Jack uświadomiła sobie dwie bardzo ważne rzeczy: że jej siostra nadal uważa to wszystko za przygodę, która potrwa tylko tak długo, aż obie się zmęczą, a po drugie, że ona sama musi stąd odejść jak najszybciej. Pan – jakże nienawidziła tego, że zaczyna myśleć o nim w ten sposób! – sprawił na niej wrażenie człowieka, który chce, żeby małe dziewczynki były ładne i dekoracyjne jak zabawki ustawione na półce. Nie mówił o zatrzymaniu ich obu dlatego, że siostry powinny być razem. Mówił o zatrzymaniu ich obu, żeby mieć dobrany zestaw.

Nie mogła zabrać stąd Jill, więc sama też nie mogła zostać, bo gdyby została, to ona byłaby bardziej dekoracyjna z nich dwóch. Przyćmiłaby Jill. Nie pasowałyby do siebie, nieważne, jak bardzo by się starały. A Pan...

Nie wiedziała, skąd to wie, ale miała pewność, że jemu by się to nie spodobało. Byłby niezadowolony. Nie sądziła, żeby jej albo Jill wyszło na dobre jego niezadowolenie.

Kiedy wyszła z pokoju, jej sukienka była sztywna, rajstopy kleiły się do nóg jak bandaż. Mary czekała na korytarzu razem z dwoma służącymi, tak jak obiecała.

– Skończone? – zapytała.

Jack skinęła głową.

– Jill jeszcze je – odpowiedziała. – Mogę zaczekać tutaj, aż ona skończy.

– Nie ma potrzeby – stwierdziła Mary. – Pan nie lubi guzdrania. Jeśli chcesz, żeby wybrał cię, lepiej zrobisz, jak zejdziesz teraz na dół.

– A jeśli nie chcę, żeby mnie wybrał?

Mary się zawahała. Zerknęła na dwóch mężczyzn o martwych oczach. Potem rozejrzała się po korytarzu, jakby przeszukiwała wzrokiem każdą szczelinę, każdy

kąt. Gdy w końcu się upewniła, że są sami, skierowała uwagę z powrotem na Jack.

– Jeśli nie chcesz być wybrana, biegnij, dziewczyno. Zejdź do sali tronowej...

– Sali tronowej? – pisnęła Jack.

– ...i powiedz doktorowi Bleakowi, że chcesz iść z nim. Biegnij. Panu podoba się apetyt twojej siostry, ale podoba mu się również twoja postawa, sposób, w jaki siedzisz. Będzie się z nią bawił, a kiedy miną trzy dni, wybierze ciebie i złamie jej serce. Zaproponuje, że doktor Bleak może was obie tutaj zostawić, ale dobrze wie, że doktor Bleak nigdy się na to nie zgodzi. Kiedy może uratować znajdę, robi to. Chciałabym, żeby dawno temu mnie uratował. – W oczach Mary był ogień, jasny i płonący jak świeca. – Twoja siostra będzie bezpieczniejsza, kiedy ty odejdziesz. On będzie musiał zmienić ją w damę, zanim zrobi z niej córkę. I kto wie? Możesz znajdziecie drzwi, zanim to się stanie?

– Czy pani...? – Jack umilkła, niepewna, jak dokończyć pytanie.

Mary skinęła głową.

– Tak. Ale nigdy nie chciałam być jego dzieckiem, a kiedy mnie poprosił, żebym pozwoliła mu być moim ojcem, odmówiłam. Tak więc zatrzymał mnie jako przypomnienie dla innych znajd, że w domu arystokraty jest więcej miejsc niż tylko te u szczytu stołu. On nigdy nie skrzywdzi twojej siostry bez jej zaproszenia; nie musisz się o to martwić. Mężczyźni tacy jak on nie mogą wejść, jeśli się ich nie zaprosi. Będziesz miała czas.

– Czas na co?

– Czas, żeby wymyślić, dlaczego zostałyście wezwane przez Wrzosowiska; czas, by zdecydować, czy chcecie tu zostać, czy nie. – Mary się wyprostowała, ogień zgasł, a ona zwróciła się do bliższego mężczyzny o martwych oczach. – Zaprowadź ją na dół do Pana. Idźcie szybko. Musisz tu wrócić, zanim drugie dziecko będzie gotowe.

Mężczyzna pokiwał głową, ale się nie odezwał. Skinął na Jack, żeby poszła za nim, i ruszył w dół po schodach. Jack spojrzała na Mary, a służąca pokręciła głową i nic nie powiedziała. Czas na słowa się skończył. Teraz wszystko zależało od niej. Jack się zawahała. Jack spojrzała na drzwi pokoju, w którym jej siostra cieszyła się śniadaniem.

Jack zeszła po schodach.

Mężczyzna o martwych oczach przewidział jej wahanie. Czekał na pierwszym podeście, milczący i obojętny jak zawsze. Kiedy do niego dotarła, ruszył dalej bez oglądania się za siebie. Jego długi krok zmusił Jack do pośpiechu, aż wydawało się, że jej stopy ledwo dotykają ziemi, a ona zaraz runie ze schodów i wyląduje na samym dole.

Ale tak się nie stało. Bezpiecznie dotarli na parter i weszli do ogromnej sali jadalnej. Pan i jego gość siedzieli przy przeciwnych końcach stołu i obserwowali się czujnie. Doktor Bleak miał przed sobą talerz z jedzeniem, którego nawet nie tknął. Pan trzymał w ręce pucharzek gęstego czerwonego wina. Mężczyzna o martwych oczach szedł cicho, Jack nie. Dwaj mężczyźni odwrócili się, słysząc jej kroki.

Pan spojrzał na plamy na jej sukience, na splątane włosy i się uśmiechnął.

– Jaka niecierpliwa – zamruczał. – A więc dokonałaś wyboru? To jasne, że chcesz mieć najlepszego opiekuna.

„Jest jasne, że wybierasz mnie”, mówiła cisza.

– Tak – powiedziała Jack.

Stała wyprostowana, usiłując zapanować nad drżeniem kolan. Wybór wydawał się trudny, kiedy była sama z siostrą. Teraz, kiedy obaj mężczyźni na nią patrzyli, okazał się niemożliwy.

Mimo to jej stopy poruszyły się jakby z własnej woli i poprowadziły ją przez pokój, tak że po chwili stanęła obok zaskoczonego doktora Bleaka.

– Chciałabym pracować dla pana – oznajmiła. – Chciałabym się uczyć.

Doktor Bleak spojrzał na jej delikatne ręce, na falbaniastą, koronkową sukienkę i zmarszczył brwi.

– To nie będzie łatwe. Czeka cię ciężka praca. Będziesz miała krwawiące pęcherze i zostawisz coś z siebie, jeśli kiedykolwiek mnie opuścisz.

– Mówił pan to wczoraj wieczorem – przypomniała mu Jack.

– Nie mam czasu na ozdóbki czy fatałaszkę. Jeśli pragniesz takich rzeczy, powinnaś tu zostać.

Jack zmrużyła oczy.

– Zeszłego wieczoru chciał pan przyjąć nas obie, nawet jeśli moją siostrę bardziej. Teraz wygląda na to, że mnie w ogóle pan nie chce. Dlaczego?

Doktor Bleak otworzył usta, ale zaraz je zamknął i przekrzywił głowę.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Chętny uczeń zawsze jest lepszy niż niechętny. Mam wrócić po ciebie za dwa dni?

– Wolałabym pójść z panem już dzisiaj – oświadczyła Jack.

Miała wrażenie, że jeśli będzie zwlekała, nigdy nie odejdzie, a to skończy się źle dla jej siostry, która zawsze była tą silną, tą bystrą, ale od której nigdy nie oczekiwano, że będzie mądra. Jill była zbyt ufna i dlatego łatwiej było ją skrzywdzić.

Jack musiała stąd odejść.

Jeśli doktor Bleak był zaskoczony, w żaden sposób tego nie okazał. Po prostu skinął głową i powiedział:

– Jak chcesz. – Wstał i złożył gospodarzowi płytki ukłon. – Dziękuję, że dotrzymałeś naszej umowy. Ponieważ ona wybrała mnie, druga zostaje u ciebie poza kolejnością, zatem następna znajda, która trafi na Wrzosowiska, zgodnie z umową będzie moja.

– Ponieważ twoja znajda sama cię wybrała, a mnie obraziła, co mnie powstrzyma przed jej zabiciem? – Pan wydawał się znudzony, ale Jack poczuła strach budzący się w sercu, ciężki, przyczajony jak wąż, gotowy do ataku. – Wyrzekła się mojej ochrony, kiedy mnie odrzuciła.

– Żywa będzie bardziej użyteczna – zauważył doktor. – Jest lustrzanym odbiciem swojej siostry. Jeśli coś... przydarzy się pierwszej, będziesz mógł wykorzystać drugą jako gwarancję jej przeżycia. A jeśli ją zabijesz, złamiesz naszą umowę. Naprawdę chcesz ryzykować walkę między nami? Myślisz, że to odpowiednia pora?

Pan łypnął na niego spode łba, ale nie wstał.

– Jak chcesz, Michaelu – skwitował niemal obojętnym tonem. Przeniósł wzrok na Jack, tak spokojne, jakby przed chwilą wcale jej nie groził. – Jeśli zmęczy cię życie w brudzie i nędzy, dziewczynko, możesz wrócić. Moje drzwi zawsze są otwarte dla takich ślicznych stworzeń jak ty.

Jack, która od dawna miała dość tego, że uważa się ją jedynie za śliczną, i która w przeciwieństwie do Pana nie zapomniała o groźbie, nic nie powiedziała. Skinęła głową i przysunęła się do doktora Bleaka, a kiedy on ruszył do drzwi, poszła za nim.

* * *

Ale na razie dość o Jack. To historia dwóch dziewczynek, nawet jeśli czasami trzeba podążyć tylko za jedną. Często tak właśnie się robi. Dajcie dzieciom sposobność, a rozbiegną się na wszystkie strony, zmuszając do dokonania wyboru, zmuszając tego, kto je szuka, do biegu mrocznymi korytarzami. A zatem:

Gdy Jill zjadła swoje śniadanie, pochłonęła również śniadanie Jack, przez cały czas zerkając na puste łóżko siostry. Głupia Jack. W końcu znalazły się w miejscu, gdzie komuś spodobały się ich identyczne twarze, identyczne odbicia, a teraz Jack zamierzała odejść i ją zostawić. Powinna wiedzieć, że Jack nie będzie chciała zaczynać nowego życia jako bliźniaczka. Nie, kiedy przez tyle lat tego unikała.

(Jill nie przyszło do głowy, że uniki Jack, podobnie jak jej własne, zrodziły się wyłącznie z rodzicielskiego pragnienia, a nigdy ze szczerej ochoty. Rodzice

zrobili wszystko, co mogli, żeby zatrzeć ich bliźniaczość, tak że siostry utknęły pośrodku. Ale Jack odeszła, a Jill nie, i w tej chwili tylko to się liczyło).

Kiedy ostatni kawałek grzanki został wykorzystany do zgarnięcia resztek jajecznicy, Jill w końcu wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Mary czekała na korytarzu.

– Śniadanie smakowało, panienko? – zapytała, dygając.

Jill, która nigdy wcześniej nie była traktowana tak, jakby jej zdanie się liczyło – zwłaszcza u dorosłych – rozpromieniła się i odpowiedziała uroczyście:

– Było dobre. Widziała pani moją siostrę?

– Przykro mi, panienko. Chyba poszła z doktorem Bleakiem. On nigdy nie opuszcza na długo swojego laboratorium.

Jill sposepniała.

– Och – mruknęła.

Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wielką miała nadzieję, że Jack zmieni zdanie i będzie czekała na schodach, skruszona i głodna.

Niech sobie Jack odrzuca szansę, żeby zostać księżniczką i mieszkać w zamku. Jack już wiedziała, jak to jest być traktowaną po królewsku, mieć ładne sukienki, błyszczące diademy i miłość całego otoczenia. Zrozumie swój błąd i przypełźnie z powrotem. A Jill jej wtedy wybaczy?

Prawdopodobnie. Byłoby miło dzielić tę przygodę z siostrą.

– Pan czeka, panienko – przypomniała jej Mary. – Jesteś gotowa się z nim zobaczyć?

– Tak – odpowiedziała Jill, a coś głęboko w niej pisnęło „nie”, cichy głosik, który rozumiał niebezpieczeństwo, w jakim obie się znalazły, nawet jeśli to zagrożenie było niejasne. Jill wyprostowała się i uniosła brodę, tak jak robiła Jack, kiedy demonstrowała nowy strój przyjaciółkom matki. Zepchnęła strach najgłębiej, jak mogła. – Chcę mu powiedzieć, że zostaję.

– Teraz już nie masz wyboru, panienko. – Ton Mary był ostrzegawczy, niemal przeprasający. – Skoro twoja siostra postanowiła odejść, ty musisz zostać.

Jill zmarszczyła brwi, a cichy głosik doradzający ostrożność natychmiast ucichł wobec tego nowego afrontu.

– Ona wybrała, więc ja nie mogę?

– Tak, panienko. Chyba nie powinnam tego mówić, ale może powinnaś zwracać się do Pana z szacunkiem i uległością. On nie lubi być wybierany jako drugi.

Jill również tego nie lubiła, a przez całe życie była wybierana jako druga. W tej chwili zalała ją gorąca miłość do bezimiennego mężczyzny z samotnego zamku, zmiatając resztki ostrożności. Pan był drugi nie bez powodu, podobnie jak ona. Cóż, Jill pomoże mu zrozumieć, że to nieprawda. Wybrała go, zanim Jack

w ogóle się dowiedziała, że istnieje jakiś głupi doktor Bleak. Będą razem szczęśliwi, aż otworzą się drzwi do domu, i już nigdy nie będą drudzy. Nigdy.

– Wybrałam go pierwsza, a Jacqueline nie zjadła śniadania, żeby wyglądać jak gwiazda – oświadczyła Jill z goryczą i zimnym gniewem. – Powiem mu to.

Od czasu swojego przybycia na Wrzosowiska Mary widziała wiele znaj. Teraz przyjrzała się Jill i po raz pierwszy poczuła, że może Pan będzie zadowolony. Możliwe, że ta dziewczynka pożyje dostatecznie długo, żeby stąd odejść, o ile drzwi do jej domu w ogóle się otworzą.

– Chodź ze mną, panienko – powiedziała i ruszyła po schodach na dół, gdzie czekał Pan, milczący i nieruchomy jak zawsze, kiedy nie widział potrzeby ruchu.

(Mary nie rozumiała, jak dzieci, które przez rzadko otwierające się drzwi wpadły na Wrzosowiska, mogły nie dostrzec, że Pan jest drapieżką. Ona rozpoznała w nim drapieżkę w chwili, kiedy go zobaczyła. Sama uciekła od równie drapieżnej rodziny, nawet jeśli ich drapieżność była bardziej przyziemnej natury. Czuła się dobrze pod jego opieką, bo go znała, a kiedy on w pełni się przed nią odsłonił, wcale jej to nie zaskoczyło. Rzadko się to zdarzało. Większość dzieci, które prowadziła tymi korytarzami, była potwornie, potwornie zaskoczona, kiedy nadchodził ich czas, nieważne, jak często je ostrzegano. Nigdy nie było dość ostrzeżeń).

Pan siedział przy stole, kiedy weszły do sali jadalnej, i w ponurym nastroju sącył napój ze srebrnego pucharka. Spojrzał na nie obie zmrużonymi, obojętnymi oczami. Opuścił naczynie.

– Zdaje się, że utknęliśmy razem – zauważył, patrząc na dziewczynkę.

– Wybrałam pana – odpowiedziała Jill.

Pan uniósł brwi.

– Naprawdę? Nie pamiętam, że bym widział cię przed sobą, zanim twoja głupia siostra odeszła z tym brudnym doktorkiem. Pamiętam, że siedziałem tu sam, bez żadnej znajdy u boku, kiedy ona zeszła po tych schodach i oznajmiła, że z nim idzie.

– Mówiła mi, że nie chce zostać – wyjaśniła Jill. – Pomyślałam, że lepiej zjem najpierw śniadanie, więc pozwoliłam jej odejść. W ten sposób będę gotowa na wszystko, co pan dzisiaj każe mi robić. Omijanie posiłków nie jest zdrowe.

– Nie jest – przyznał Pan z błyskiem w oku, który mógł być rozbawieniem. – Przysięgasz, że mnie wybrałaś, zanim ona wybrała jego?

– Wybrałam, jak tylko pana zobaczyłam – zapewniła Jill szczerze.

– Nie lubię kłamców.

– Ja nie kłamię.

Pan przekrzywił głowę i popatrzył na nią nowymi oczami. W końcu rzekł:

– Trzeba cię wykąpać i ubrać, przygotować do życia ze mną. W moim domu obowiązują pewne wymagania. Mary pomoże ci się do nich dostosować. Stawisz się przede mną na każde wezwanie, a poza tym nie będziesz płatać mi się pod nogami. Zorganizuję ci nauczycieli i krawców. Niczego ci nie zabraknie. W zamian proszę jedynie o twoją lojalność, oddanie i posłuszeństwo.

– Chyba że pojawią się drzwi – wtrąciła Mary.

Pan posłał jej ostre spojrzenie spod przymrużonych powiek. Ona odpowiedziała mu nieruchomym wzrokiem. O dziwo, to Pan pierwszy odwrócił wzrok.

– Zawsze będziesz mogła wrócić do swego pierwszego domu – ciągnął, patrząc na Jill. – Zgodnie z porozumieniem starym jak Wrzosowiska będę musiał cię wypuścić, jeśli sobie tego zażyczysz. Ale mam nadzieję, że kiedy drzwi się otworzą, uznasz, że wolisz moje towarzystwo.

Jill się uśmiechnęła. Pan odwzajemnił uśmiech. Jego zęby były bardzo ostre i bardzo białe.

Obie dziewczynki, choć innymi drogami, wróciły do domu.

Żeby przynieść wiadro wody

Doktor Bleak mieszkał poza wioską, z dala od na pozór bezpiecznej wielkiej bryły zamkowego muru. Brama się otworzyła, kiedy do niej dotarł, a on przez nią przeszedł, nie odwracając się, żeby zobaczyć, czy Jack idzie za nim. Ona oczywiście szła, ale jej dotychczasowe życie ograniczało się do siedzenia cicho i bycia ozdobą, dlatego pozwalała, żeby ciekawe rzeczy same do niej przychodziły, zamiast je ścigać przez paprocie i wrzośce. Odnosiła wrażenie, że jej klatka piersiowa jest zbyt ściśnięta, by nabrać dość powietrza. Serce łomotało, w boku ją kłuło, tak że nie mogła mówić.

Raz, tylko raz, potknęła się i zatrzymała ze wzrokiem utkwionym we własnych stopach, próbując złapać oddech. Doktor Bleak zrobił jeszcze kilka kroków, zanim przystanął. Nadal jednak się nie obejrzał.

– Nie jesteś Eurydyką, ale nie będę ryzykował, że cię stracę z powodu czegoś tak trywialnego – stwierdził. – Musisz być silniejsza.

Jack milczała.

– Będziemy mieli czas, żeby naprawić to, co da się naprawić, i zrekompensować to, czego się nie da naprawić. Ale noc tutaj szybko zapada. Bierz się w garść i ruszaj.

Jack wzięła dwa głębokie, drżące oddechy i zrobiła krok, a potem drugi. Doktor Bleak poczekał, aż usłyszy jej trzeci krok. Wtedy ruszył dalej, wierząc, że Jack dostosuje się do jego tempa.

Tak się stało. Oczywiście, że tak. Jack nie miała wyboru. I jeśli z tęsknotą myślała o miękkim łóżku, w którym spędziła noc, albo o wygodnej jadalni, w której Pan zaserwował jej delikatne potrawy na srebrnych tacach, cóż... Miała dwanaście lat, nigdy w życiu na nic nie zapracowała. Było zrozumiałe, że tęskniła za czymś, co wydawało się bliskim krewnym rodzinnego ciepła. Nawet jeśli wiedziała w głębi serca, że nie powinna oczekiwać ani nawet chcieć go dla siebie.

Doktor Bleak prowadził ją przez paprocie i wrzośce w górę stromego zbocza, aż w oddali pojawił się zarys wiatraka. Budowla wydawała się bardzo bliska, ale kiedy wcięż szli i szli, ale wcale się do niej nie zbliżali, Jack uświadomiła sobie, że wiatrak rzeczywiście jest bardzo duży. Zagarniał dla siebie całe niebo. Jack wytrzeszczyła oczy. Doktor Bleak maszerował dalej, aż zielone poszycie pod ich stopami ustąpiło miejsca ubitemu szlakowi, a oni rozpoczęli ostatnie podejście. Ta część wzgórza była bardziej stroma niż pozostałe odcinki i kończyła się jakieś trzy metry od drzwi. Ziemia wokół fundamentów była oczyszczona i zastawiona podwyższonymi grządkami, które zieleniły się od roślin, jakich Jack nigdy wcześniej nie widziała.

– Nie dotykaj niczego, póki nie będziesz wiedziała, co to jest – ostrzegł ją doktor Bleak. – Żadne pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi, ale wiele rzeczy tutaj jest niebezpiecznych dla osób nieprzygotowanych. Rozumiesz?

– Chyba tak – odpowiedziała Jack. – Mogę teraz zadać pytanie?

– Tak.

– Co miał pan wcześniej na myśli, kiedy pan mówił o wykorzystaniu mnie, żeby ratować Jill?

– Miałem na myśli krew, dziewczynko. Wszystko tutaj sprowadza się do krwi, w taki czy inny sposób. Rozumiesz?

Jack się zawahała i pokręciła głową.

– Zrozumiesz – pocieszył ją doktor Bleak, wyjął z kieszeni fartucha duży klucz i otworzył wiatrak.

Pokój był dostatecznie duży, żeby wyglądać na przepastny, kolisty, ale onieśmielający mimo wszystkich zaokrąglenia. Sufit znajdował się na wysokości ponad sześciu metrów i zwiślały z niego rzeczy, jakich Jack nigdy nie widziała: wypchane gady, ptaki i coś, co wyglądało jak pterodaktyl z rozpostartymi skórzastymi skrzydłami, zamrożony na wieczność. Wzdłuż ścian ciągnęły się stojaki z narzędziami i półki z dziwnymi butelkami i jeszcze dziwniejszymi przyrządami.

Obok najmniejszego z trzech kominków stał duży dębowy stół, a na środku pomieszczenia, daleko od źródeł ciepła, coś, co wyglądało na stół operacyjny. Były tam również nieznanne maszyny i słoje ze strasznymi biologicznymi okazami, które wyglądały, jakby śledziły ją martwymi oczami. Jack powoli weszła na środek pokoju, gdzie mogła się obrócić i wszystkiemu przyjrzeć.

Spiralne schody prowadziły na dół do piwnicy i w górę na szczyt budowli, gdzie musiały się znajdować inne pokoje i inne przerażające cuda. Wydało jej się dziwne, że w wiatraku jest piwnica. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała.

Doktor Bleak obserwował ją, stojąc w otwartych drzwiach. Gdyby dziewczynka miała uciec z wrzaskiem w noc, stałoby się to teraz. Spodziewał się, że przyjdzie z nim ta druga, z krótkimi włosami i paznokciami brudnymi i połamanymi od zabaw na podwórku. Dobrze wiedział, że wygląd może być mylący, ale pewne oznaki często mówiły prawdę. Ta dziewczynka wyglądała na rozpieszczoną, chowaną pod kloszem; miejsca takie jak to rzadko służyły podobnym do niej.

Jack przestała się rozglądać i odwróciła się do doktora Bleaka. Skubnęła poplamioną i coraz bardziej sztywną sukienkę.

– Myślę, że ona będzie zahaczać o różne rzeczy – powiedziała. – Znajdzie się tutaj coś innego, w co mogłabym się przebrać?

Doktor Bleak uniósł brwi.

– To twoje jedyne pytanie?

– Nie wiem, czym jest większość z tych rzeczy, ale mówił pan, że mnie nauczy. Nie wiem, jakie pytania powinnam zadawać, więc chyba pozwolę, żeby pan udzielał mi odpowiedzi, a wtedy ja będę mogła dopasować je do pytań. Nie dam rady tego robić, jeśli wciąż będę się o wszystko zahaczać.

Doktor Bleak posłał jej taksujące spojrzenie i zamknął drzwi. Już nie martwił się, że dziewczynka ucieknie.

– Ostrzegałem cię, że będziesz musiała pracować, jeśli ze mną pójdziesz. Będziesz miała odciski na rękach i siniaki na kolanach.

– Nie mam nic przeciwko pracy – zapewniła Jack. – Nie pracowałam za dużo, ale mam dość siedzenia bez ruchu.

– Dobrze. – Doktor Bleak podszedł do jednego z wysokich regałów. Sięgnął na najwyższą półkę i zdjął z niej kufer z taką łatwością, jakby ten był zrobiony z pajęczyn i powietrza. Stawiając go na podłodze, powiedział:

– Bierz, co chcesz. Wszystko jest czyste. Zanim tu trafi, zawsze najpierw jest prane.

Jack wzięła jego słowa za polecenie i ostrożnie podeszła do kufra. Uklękła i otworzyła wieko. W środku było pełno ubrań, dziecięcych, niektóre w stylu, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Większość wydawała się staromodna jak z czarno-białego filmu. Niektóre uszyto z błyszczącego, niemal futurystycznego materiału, inne miały taki krój, że pasowały na ciała, których nie potrafiła sobie wyobrazić: o tułowiach równie długich jak nogi, z trzema rękawami albo bez otworu na głowę.

W końcu wybrała białą bawełnianą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem i mankietami oraz czarną spódniczkę do kolan z tkaniny, która w dotyku przypominała brezent, dostatecznie mocnej, żeby dużo wytrzymać, i niepodatnej na zahaczanie. Na myśl o noszeniu cudzej bielizny, choćby i wielokrotnie wybielanej,

Jack poczuła się nieswojo, ale w końcu wybrała parę białych majtek. Jej policzki płonęły z oburzenia.

Doktor Bleak, który ją obserwował (z wyjątkiem chwil, kiedy wybierała bieliznę; gdy się zorientował, czego dziewczyna szuka, odwrócił się dyskretnie), nie uśmiechnął się, bo nie miał takiego zwyczaju, tylko z aprobatą pokiwał głową.

– Na górze znajdziesz kilka pustych pokojów. Jeden z nich będzie twój, żebyś mogła trzymać w nim rzeczy i korzystać z niego, gdybyś potrzebowała być sama. Ale nie będziesz mieć wielu okazji do bezczynności. Radzę, żebyś się nimi cieszyła, kiedy ci się trafią.

Jack się zawahała.

– Tak? – zapytał doktor Bleak.

– Ja... nie tylko moja sukienka jest brudna. – Jack skrzywiła się lekko, jakby jeszcze nigdy w życiu nie przyznała się do czegoś takiego. I może tak było. Może nigdy nie miała okazji. – Jest jakaś szansa na kąpiel?

– Będziesz musiała sama przydzwigać wodę i ją podgrzać, ale jeśli takie masz życzenie, to owszem. – Doktor Bleak zamknął kufer i odstawił go z powrotem na półkę.

Następnie z haka wiszącego z sufitu zdjął cynowe wiadro, dostatecznie płytkie i duże, żeby Jack się w nim zmieściła w razie potrzeby, niemal tak duże jak wanna w jej domu.

Jej oczy się rozszerzyły. Wanna w domu. Jedno i drugie, choć oddzielone wiekami postępu technicznego, służyło identycznemu celowi.

Doktor Bleak postawił balię przed największym z trzech palenisk, zdjął z innej półki kociołek i podał go Jack.

– Studnia jest na zewnątrz – powiedział. – Wrócę za dwie godziny. Sama wymyśl, jak się umyć.

Po czym ruszył do drzwi i wyszedł na Wrzosowiska, a Jack gapiła się za nim z kociołkiem w ręce, kompletnie oszołomiona.

* * *

– Pan chce, żebyś się umyła i doprowadziła do porządku – oznajmiła Mary, przesuając szczotką po splątanych włosach dziewczynki.

Jill zacisnęła zęby, starając się nie odsuwać od szczotki. Była przyzwyczajona do tego, że sama się czesała, a kiedy indziej całymi tygodniami pozwalała, żeby zrobiły się kołtuny, aż w końcu trzeba było je ściąć.

Mały pokój, do którego ją przeniesiono, pachniał talkiem i miedzią. Ściany były wyłożone bladoróżową tapetą, a jedną z nich zajmowała toaleta bardzo

podobna do tej z sypialni jej matki, tyle że bez lustra. To była jedyna naprawdę dziwna rzecz w tym pokoju, poza tym niepokojąco znajomym, czymś w rodzaju kobiecej twierdzy, do której Jill zawsze zabraniano wstępu. To jej siostra powinna siedzieć na tym stołku, pozwalać, żeby czesano jej włosy i ją upięszano.

– Szkoda, że są takie krótkie – powiedziała Mary, najwyraźniej nieświadoma dyskomfortu Jill. – Cóż, włosy odrosną, a przynajmniej on będzie mógł zdecydować, jaka długość najbardziej mu się podoba.

– Mam zapuścić włosy? – spytała Jill, nagle pełna nadziei.

– Tak, żeby zasłoniły ci szyję – odpowiedziała Mary złowieszczym tonem, ale Jill nie zwróciła na niego uwagi.

Zbyt pochłoneło ją wyobrażanie sobie, jak będzie wyglądać z długimi włosami, jak będzie czuć je na karku. Zastanawiała się, czy dorośli na ulicy będą się do niej uśmiechać, tak jak uśmiechali się do Jack, zupełnie jakby była kimś wyjątkowym i pięknym, a nie tylko kolejną chłopczycą.

Kłopot z odmawianiem dzieciom wolności – poprzez wtłaczanie im do głowy, jakie powinny być, i niepozwalanie im na wybór własnej drogi – aż za często polega na tym, że ten, kto kreśli wzorzec, nic nie wie o pragnieniach swojego modelu. Dzieci nie są bezkształtną gliną, którą można formować według kaprysu rzeźbiarza, ani pustymi, identycznymi lalkami, gotowymi do przestawienia na odpowiedni tryb. Dajcie dziesiątkę dzieci pudełko z zabawkami, a zobaczycie, że wybierają dziesięć różnych, niezależnie od płci, religii czy oczekiwań rodziców. Dzieci mają swoje upodobania. Niebezpieczeństwo rodzi się wtedy, gdy – jak w wypadku każdej ludzkiej istoty – zbyt długo odmawia się im prawa do tych upodobań.

Jill zawsze chciała wiedzieć, jak to jest mieć długie włosy, nosić ładne sukienki, siedzieć obok siostry i słyszeć, jak ludzie pieją z zachwyty nad ich urodą. Lubiła sport, owszem, i czytanie książek również. Lubiła wiedzieć różne rzeczy. Pewnie zostałyaby piłkarką, nawet gdyby ojciec nie nalegał, zdecydowanie oglądałaby statki kosmiczne w telewizji i filmy o superbohaterach, bo to, czym w głębi była Jill, nie miało nic wspólnego z pragnieniami jej rodziców, a wszystko z pragnieniami jej serca. Tylko że robiłaby niektóre z tych rzeczy w sukienkach. Ponieważ połowy atrakcji tak długo jej odmawiano, stała się wobec nich bezbronna: była zakazanym owocem i jak w wypadku wszystkich zakazanych owoców nawet ich obietnica wydawała się rozkoszna.

– Twoje włosy wymagają czasu – stwierdziła Mary, widząc, że jej ostrzeżenia nie zostały usłyszane. – Twoje ubranie możemy od razu naprawić, tak że będzie gotowe przed obiadem. Kąpiel już przygotowana. – Odłożyła szczotkę i skinęła na Jill, żeby wstała ze stołka. – Kiedy skończysz, będzie na ciebie czekał nowy strój.

Jill wstała, pełna oczekiwania.

– Gdzie mam iść?

– Tam. – Mary pokazała drzwi, których chwilę wcześniej nie było.

Jill się zawahała. Drzwi oznaczały niebezpieczeństwo. Pan (i okropny doktor Bleak) mówili o drzwiach, które zaprowadzą je do domu, ale ona nie była gotowa do powrotu. Chciała zostać tutaj i cieszyć się przygodą w świecie, w którym pozwolą jej mieć długie włosy, nosić spódniczki i być, kimkolwiek zechce.

Mary dostrzegła jej wahanie i westchnęła, kręcąc głową.

– To nie jest droga do domu – uspokoiła ją. – Zamek Pana jest elastyczny i dostosowuje się do twoich potrzeb. Idź się umyj. Nie można pozwolić, żeby Pan czekał.

Może Jill nie zwróciła uwagi na ostrzeżenia Mary, ale do tej pory żyła w otoczeniu dorosłych, którzy mówili jedno, a robili drugie, dorosłych, którzy byli tak pochłonięci swoimi potrzebami, że nigdy nie przychodziło im do głowy, by się zastanawiać, czy dzieci też mają jakieś potrzeby. Jill była zbyt rozsądna, żeby kogoś rozczarować, jeśli mogła temu zapobiec.

– Dobrze – powiedziała i otworzyła drzwi.

Ujrzała grootę syren, zatopione dziewczęce sanktuarium. Ściany były wyłożone lśniącymi niebieskimi i srebrnymi płytkami przypominającymi rybie łuski. Zbiegały się wysoko w górze, tworząc kopułę. Ona była jak kwiat zamrożony w chwili tuż przed rozkwitnięciem, łza zamieniona w kryształ, zanim spadła. W ścianach znajdowały się małe wnęki pełne świec, które rzucały tańczący blask na wszystko, co je otaczało.

Podłoga miała nie więcej niż pół metra w najszerszym miejscu i okrążała pokój. Resztę zajmował basen wypełniony wodą o słodkim aromacie i pagórkami piany. Wszystko pachniało różami i wanilią. Jill wytrzeszczyła oczy. To było... zdumiewające, niewiarygodne, i wszystko dla niej.

W jej sercu utknęła mała strzałka zadowolenia z siebie i radości. Jack tu nie było. Jack nie widziała kąpieli godnej księżniczki z baśni. To wszystko należało do niej i tylko do niej. To ona była księżniczką w tej baśni.

(Poczułaby się źle z powodu tego samozadowolenia, gdyby wiedziała, że w tej samej chwili Jack zastanawia się, jak wyciągnąć wodę ze studni, podgrzać ją i wlać do balii, nie parząc się przy tym ani nie zamarzając? Czy ucieszyłaby ją myśl, że jej zrównoważona i rozpieszczona siostra siedzi w letniej wodzie sięgającej do bioder, marynuje się we własnym brudzie i próbuje domyc szorstkimi żółtymi gąbkami, które kiedyś były żywymi stworzeniami, a teraz zostały po nich tylko kości? Jak szybko oddalą się od siebie, skoro pojawiło się coś, z powodu czego można czuć wyższość?)

Jill zdjęła poplamione, brudne ubranie i weszła do kąpieli. Temperatura była idealna, woda gładka jak jedwab dzięki perfumom i olejkom. Jill zanurzyła się po

brodę i zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem, rozkoszując uczuciem, że wkrótce będzie czysta.

Jakiś czas później rozległo się pukanie do drzwi i Jill usłyszała głos Mary:

– Czas wychodzić, panienko. Ubranie gotowe i już pora na obiad.

Wyrwana ze stanu upojenia Jill otworzyła usta, żeby zaprotestować – to nie mogła być pora na obiad, skoro dopiero co jadła śniadanie – i nagle w jej brzuchu głośno zaburczało. Woda nadal była ciepła, ale może to nie miało znaczenia w magicznej komnacie magicznego zamku.

– Idę! – odkrzyknęła i ruszyła przez wodę do miejsca, gdzie zostawiła ubranie.

Jej rzeczy zniknęły, a zamiast nich czekał na nią ręcznik i szlafrok. Rozumiejąc, czego się od niej oczekuje, Jill wytarła się i otuliła szlafrokiem, miękkim, białym i w dotyku niemal tak delikatnym jak piana w wannie. Nie znalazła żadnego wieszaka ani kosza, więc starannie złożyła mokry ręcznik i zostawiła go pod ścianą, mając nadzieję, że gospodarz doceniłby jej schludność.

Gdy wyszła z pokoju kąpielowego, Mary obrzuciła ją taksującym spojrzeniem od stóp do głów i powiedziała lekko zaskoczonym tonem:

– Chyba może być. Proszę. – Wcisnęła jej w rękę kłęb jasnej tkaniny, fioletowo-niebiesko-białej jak siniak w procesie gojenia. – Ubierz się. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy z guzikami, jestem tutaj. Pan czeka.

Jill w milczeniu skinęła głową i wzięła od niej ubranie. Nie była zaskoczona, kiedy zobaczyła, że po drugiej stronie sypialni pojawił się parawan. Wśliznęła się za niego, położyła rzeczy na stołku, rozwiązała szlafrok i zaczęła się ubierać.

Z ulgą stwierdziła, że rozpoznaje bieliznę, majtki i halkę przypominającą cienki top bez rękawów. Ale sukienka... och, sukienka.

Kaskada jedwabiu, morze udrapowanej tkaniny. Ale nie była to sukienka dla dorosłej kobiety, uszyta tak, żeby podkreślić dojrzałą figurę, tylko strój przeznaczony dla dziecka. Jill wyglądałaby w niej nie tyle jak dziewczynka, ile jak odwrócona orchidea. Trzech prób wymagało od niej zorientowanie się, który otwór jest na głowę, a które na rękę, a kiedy w końcu się ubrała, całość wisiała na niej zupełnie niedopasowana.

– Mary?! – zawołała Jill.

Pokojówka zajrzała za parawan i cmoknęła, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest Jill.

– Musisz ją zapiąć, jeśli chcesz, żeby pasowała – stwierdziła i sama zajęła się guzikami, zatrzaskami i wstążkami.

Obserwowanie, jak szybko śmigają palce Mary, mogło przyprawić o zawrót głowy, ale kiedy pokojówka skończyła, sukienka pasowała na Jill tak, jakby została dla niej skrojona. Dziewczynka spojrzała w dół i zobaczyła nagie palce stóp wystające spod kilku warstw spódnic. Poczwała ulgę, bo bez tej jednej małej

niedoskonałości wszystko byłoby zbyt idealne, żeby mogło być prawdziwe. Podniosła wzrok. Mary trzymała fioletowy choker ozdobiony małym wisiorkiem z perłami i ametystem. Minę miała poważną.

– Jesteś teraz jednym z domowników Pana – powiedziała. – Musisz zawsze, ale to zawsze nosić tę opaskę, kiedy jesteś w towarzystwie kogoś innego niż służący. Oczywiście w towarzystwie Pana również. Rozumiesz?

– Dlaczego? – zapytała Jill.

Mary pokręciła głową.

– Wkrótce zrozumiesz.

Pochyliła się i zawiązała opaskę na szyi Jill. Choker był ciasny, ale nie tak, żeby powodować dyskomfort. Jill pomyślała, że się do niego przyzwyczai. Zresztą był taki piękny. Nieczęsto miała okazję nosić piękne rzeczy.

– Proszę – powiedziała Mary, odsuwając się o krok, mierząc ją wzrokiem. –

Lepiej nie będzie, bo teraz nie mamy czasu na nic więcej. Pamiętaj, że masz siedzieć cicho. Mówić, kiedy zostaniesz zapytana. Pomyśleć, zanim na coś się zgodzisz. Rozumiesz?

Nie, pomyślała Jill, ale na głos powiedziała:

– Tak. – I już nie było dla niej ratunku.

Mary, która nie wymówiła słowa „wampir” od ponad dwudziestu lat i aż za dobrze знаła wszystkie ograniczenia, tylko westchnęła i podała jej rękę.

– W porządku. Już czas.

* * *

Kiedy doktor Bleak wrócił z naręczem drewna na opał i pękiem ziół, zastał Jack na frontowym podwórku, starannie wycierającą brzegi cynowej balii. Dziewczynka podniosła wzrok na dźwięk jego kroków. On zatrzymał się raptownie i spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

Wymagało to od niej sześciu wypraw do studni, ale zmyła brud z ciała i włosów, używając kaustycznego mydła, które znalazła obok gąbek. Włosy zaplotła z tyłu, a jedynym, co zostało z jej starego ubrania, były buty z lakierowanej skóry, wyczyszczone do połysku tak samo jak ona. Dziewczynka nadal wyglądała zbyt delikatnie jak na użyteczną pomoc laboratoryjną, ale pozory mogą mylić, a Jack nie wzdragała się przed tym, o co ją prosił.

– Co jest na kolację? – zapytał doktor Bleak.

– Nie mam pojęcia, ale nie chciałby pan jej jeść, gdybym to ja ją przygotowała – odparła Jack. – Nie umiem gotować. Choć chętnie się nauczę.

– Chętna do nauki, ale nie do kłamania?

Jack wzruszyła ramionami.

– Przyłapałby mnie pan.

– Chyba to prawda – przyznał doktor Bleak. – I naprawdę chcesz się uczyć?

Jack skinęła głową.

– Zatem dobrze. Chodźmy do środka.

Bleak ruszył przez podwórze wielkimi krokami pożerającymi przestrzeń, a kiedy wszedł do domu, Jack podążyła za nim bez wahania.

Zamknęła za sobą drzwi.

Część III

Jack i Jill do zabicia mają czas

Niebo zadrży, kamienie będą krwawić

Szybko stałoby się nudne opowiadanie o każdej chwili, każdej godzinie, którą spędziły dwie dziewczynki, jedna w zamku, druga w wiatraku, jedna wśród bogactw, druga w umiejętnie naprawianych łąchmanach. Zatem darujemy sobie szczegóły, bo nie jesteśmy tutaj dla nudy, prawda? Nie. Jesteśmy tutaj dla historii – czy to dzikiej przygody, czy opowieści dla przestrogi – i nie mamy czasu, by tracić go na przyziemne sprawy. A jednak.

A jednak.

A jednak spójrzmy na zamek niedaleko morza, wzniesiony na kruszącym się urwisku w otoczeniu nizin. Spójrzmy na zamek, gdzie złotowłosa dziewczynka chodzi po blankach o zmierzchu i o świcie w sukienkach jak marzenie, z szyją ukrytą przed wścibskimi oczami, a wiatr zaplata jej piękne długie loki. Ona powiększa się i znika jak księżyc, raz blada jak mleko, raz zdrowa i różowa jak wiejska dziewczyna. W wiosce są tacy, którzy szepczą, że dziewczynka jest córką Pana spłodzoną z księżniczką z dalekiego kraju i po latach zwróconą ojcu, który wykrzykiwał jej imię, powierzając je zachodnim wiatrom.

(Są w wiosce tacy, którzy szepczą mroczniejsze słowa, mówią o znikających dzieciach i wargach czerwonych jak róże. Ona jeszcze nie jest wampirem, powiadają, a to „jeszcze” jest tak potężnym, bezlitosnym słowem, że nie można kwestionować jego prawdziwości ani ukryć się przed jego obietnicami).

A jednak spójrzcie na wiatrak na wzgórzach, wiatrak na Wrzosowiskach, który wznosi się wyżej niż wszystko inne wokół niego, zapraszając błyskawice, kusząc nieszczęście. Spójrzcie na wiatrak, w którym złotowłosa dziewczynka grzebie w ziemi przez wszystkie godziny dnia i nocy dłońmi chronionymi przed glebą grubymi skózanymi rękawicami i przed wszystkim innym rękawiczkami z najdelikatniejszego zamszu. Ona trudzi się bez ustanku, osmala sobie rękawy nad dymiącymi maszynami, wyteża wzrok, zaglądając w najwspanialsze dzieła wszechświata. Są w wiosce przy urwiskach tacy, którzy uśmiechają się, kiedy widzą, jak ona idzie, następując doktorowi na pięty, a jej buty stają się coraz

solidniejsze i bardziej praktyczne z każdą mijającą porą roku. Ona się uczy, powiadają, szuka swojej drogi.

(Są w wiosce tacy, którzy szepczą mroczniejsze słowa, którzy zwracają uwagę na podobieństwo między nią a córką Pana, którzy wiedzą, że ciało zawiera tylko określoną ilość krwi, może znieść tylko określoną liczbę szkód. Ona jeszcze nie jest wzywana na służbę, ale kiedy Pan i doktor Bleak się ścierają, nigdy nie ma wątpliwości co do zwycięzcy).

Spójrzcie na nie, jak rosną, dorastają do ról, które im zaoferowano, wyrastają na dziewczyny, których rodzice by nie poznali, na które kręciliby nosem. Spójrzcie, jak odnajdują się w tym miejscu smaganym przez wiatr, gdzie nawet na księżyc nie zawsze jest bezpiecznie patrzeć.

Spójrzcie na ich samotne łóżka, na ich samotne życie, zobaczcie, jak coraz bardziej się od siebie oddalają, ale nie są gotowe całkiem się poddać. Spójrzcie na dziewczynę w sukni cienkiej jak pajęczyna, stojącą na blankach i z tęsknotą wypatrującą siostry. Spójrzcie na dziewczynę w brudnym fartuchu, która siedzi na szczycie wiatraka i patrzy na dalekie mury osady. One mają ze sobą tak dużo i tak mało wspólnego.

Ktoś z dostatecznie bystrym wzrokiem mógłby dostrzec chwilę, kiedy jedno zranione serce zaczyna gnić, a drugie zdrowieć. Czas płynie.

Można odnaleźć w tych latach chwile, które pomijamy, chwile, które same w sobie są historiami. Jack i Jill dostają krwawienia miesięcznego tego samego dnia (słowo pochodzi od wiejskich kobiet i od Mary, która przybyła z innego czasu, a Jack uważa je za czarujące w swojej staroświeckości, natomiast Jill za przerażające w swojej dziwności). Jack wykłada majtki szmatkami i próbuje wymyślić lepszą ochronę. Nie jest bezpiecznie pachnieć krwią na Wrzosowiskach. Doktor Bleak wzywa kobiety ze wsi, żeby jej pomogły. One przynoszą swoje stare ubrania i nowe igły do szycia. Jack przeszukuje jego zioła lecznicze, testuje różne chemiczne kombinacje, aż trafia na właściwą. Razem, ona i wiejskie kobiety, tworzą mocniejsze i pewniejsze zabezpieczenie, które maskuje zapach krwi przed wężącymi nosami. Chroni je, kiedy mają powód, żeby zapuścić się poza swoje domy. Nie pozwala, żeby potwory i Pan je zauważyli.

Tamtego dnia mieszkanki wsi uczą się ją kochać, przynajmniej trochę.

Kiedy to wszystko się dzieje, Jill zanurza się głębiej w swoje perfumowane kąpiele, krwawi do wody, wychodzi tylko po to, żeby zjeść siekaną wołowinę i szpinak, i cały czas kręci jej się w głowie. Kiedy okres się kończy, Pan przychodzi i w końcu pokazuje jej zęby, o których ona śniła od tak dawna. Mówi do niej przez całą noc, niemal do świtu, upewnia się, że ona nie czuje lęku, upewnia się, że ona rozumie.

Nie różni się tak bardzo od chłopców, których Jill tak się obawiała, kiedy zaczęła naukę w gimnazjum. Podobnie jak im, jemu też chodzi o jej ciało. Podobnie jak oni jest od niej większy, silniejszy, potężniejszy pod tysiącem względów. Ale w przeciwieństwie do nich nie mówi jej żadnych kłamstw, nie ukrywa swoich zamiarów; jest głodny, a ona jest mięsem na jego stół, winem do jego kielicha. On obiecuje ją kochać, aż wypalą się gwiazdy. Obiecuje, że kiedy będzie dostatecznie dorosła, uczyni ją taką jak on, żeby nigdy nie musiała opuszczać Wrzosowisk. A kiedy prosi ją o odpowiedź, ona rozwiązuje opaskę, którą nosiła na szyi przez ostatnie dwa lata, i odsłania miękką białą szyję.

Te chwile zmieniają wszystko.

Rok po tym, jak Jill zostaje córką Pana pod każdym względem oprócz nazwiska, Jack stoi obok doktora Bleaka na górnym piętrze wiatraka. Dach jest otwarty, burza, która barwi niebo na atramentową czerń, kłębi się i rozświecila od środka błyskawicami. Wiejska dziewczyna leży na kamiennej płycie, nakryta prześcieradłem, z rękami mocno przywiązany do dwóch metalowych prętów. Jest tylko o rok starsza od Jack, znaleziona martwa, kiedy wstało słońce. Pasma bieli we włosach świadczą o tym, że jej serce się zatrzymało, kiedy widmowy kochanek pocałował ją zbyt mocno. Serca, które stanęły, choć nie zostały uszkodzone, czasami znowu zaczynają bić we właściwych okolicznościach. Kiedy nie można stworzyć odpowiednich warunków, błyskawica może być zaskakująco dobrym zamiennikiem.

Doktor Bleak wykrzykuje polecenia, a jego uczennica śpieszy się, żeby je wypełnić. Gdy błyskawica zygzakuje z nieba i trafia w ich zestaw sprytnych maszyn, impet ciska Jack przez pokój. Smak monet pozostanie w jej ustach jeszcze przez trzy dni. Wszystko jest ciszą.

Dziewczyna na stole otwiera oczy.

Są chwile, które wszystko zmieniają, zanurzone w masie zwyczajnego czasu jak owady schwytane w pułapkę. Bez nich życie byłoby czymś oswojonym, przewidywalnym. Ale z nimi, ach... Z nimi życie robi, co chce, jak błyskawica, jak wiatr, który omiata zamkowe blanki, i nic nie może go powstrzymać, nic nie może powiedzieć „nie”. Jack pomaga dziewczynie wstać ze stołu i wszystko się zmienia. Już nigdy nic nie będzie takie samo.

Dziewczyna ma oczy niebieskie jak wrzos, który rośnie na wzgórzu, a tam, gdzie jej włosy nie są białe, mają złoty kolor schnącej paproci. Ona jest piękna w taki sposób, że Jack brakuje słów, żeby to opisać, w sposób, który zdaje się przeczyć prawom natury i zarazem prawom nauki. Ma na imię Alexis i to zbrodnia, że w ogóle kiedyś była martwa, choćby przez sekundę, bo świat bez niej jest mroczniejszy.

(Jack wcześniej nie zauważyła tego mroku, ale to nie ma znaczenia. Człowiek, który całe życie spędził w jaskini, nie tęskni za słońcem, póki go nie zobaczy, a kiedy je zobaczy, nigdy nie będzie mógł wrócić pod ziemię).

Kiedy Alexis po raz pierwszy całuje ją za wiatrakiem, Jack uświadamia sobie, że ona i Jill mają jedną rzecz wspólną: ona nigdy, przenigdy nie chce wracać do świata, z którego przybyła. Nie, kiedy może mieć ten świat, z jego błyskawicami i niebieskookimi, pięknymi dziewczynami.

Są chwile, które wszystko zmieniają, a kiedy tak się dzieje, nie można odwrócić tej zmiany. Motyl nigdy nie stanie się znowu gąsienicą. Córka wampira i uczennica szalonego naukowca nigdy nie będą z powrotem niewinnymi, nietkniętymi dziećmi, które przeszły przez drzwi na dole schodów.

One się zmieniły.

Ta historia zmienia się wraz z nimi.

* * *

– Jack!

Głos Bleaka jest ostry, rozkazujący, niemożliwy do zignorowania. Nie żeby Jack miała zwyczaj go ignorować. Jej pierwszy rok u doktora aż nadto wystarczył, by do niej dotarło, że kiedy on mówi „skacz”, właściwa odpowiedź nie brzmi: „jak wysoko?”. Jest nią bieg do najbliższego urwiska i wiara, że grawitacja wszystko załatwi.

Mimo to czasami jej mentor wybiera najgorszą chwilę. Jack uwolniła się z ramion Alexis, chwyciła rękawiczki z półki i nałożyła je, krzycząc:

– Idę!

Alexis usiadła z westchnieniem i poprawiła ubranie.

– Czego on znowu chce? – rzuciła z rozdrażnieniem. – Tata oczekuje, że wrócę przed nocą.

Dni na Wrzosowiskach były krótkie i cenne. Czasami słońce tygodniami nie wychodziło zza chmur, pozwalając ostrożnym wampirom i nieostrożnym wilkołakom biegać do woli, choć to nie powinna być ich pora. Rodzice Alexis prowadzili gospodę. Nie musieli się martwić o uprawę ziemi czy polowanie w czasie nielicznych godzin światła dziennego. Nie oznaczało to, że śpieszyło im się do wyprawienia swojemu dziecku drugiego pogrzebu.

(Ci, którzy raz umarli i zostali wskrzeszeni, nie mogli stać się wampirami. Jakikolwiek dziwny mechanizm wykorzystywali nieumarli, żeby się reprodukować, był on magią i nie miał nic wspólnego z nauką o błyskawicach. Alexis nie musiała się obawiać kaprysów Pana, nieważne, na jak ładną

dziewczyne wyrosła. Ale on nie był jedynym potworem na Wrzosowiskach, a większości z nich nie obchodziła medyczna historia Alexis. Po prostu by ją pożarły).

– Dowiem się. – Pośpiesznie zapinając guzki kamizelki, Jack zatrzymała się jeszcze, żeby spojrzeć na Alexis, objąć wzrokiem miękkie, białe kształty jej ciała, zaokrąglenie ramion i piersi. – Po prostu... po prostu zostań tutaj, dobrze? Wróć najszybciej, jak się da. Jeśli się nie ruszysz, nie będziemy musiały brać kolejnej kąpieli.

– Nie ruszę się – obiecała Alexis z leniwym uśmiechem. Położyła się z powrotem i spojrzała w sufit pełen wypchanych stworzeń.

Po czterech latach spędzonych u doktora Bleaka Jack stała się silniejsza, niż kiedykolwiek mogła się spodziewać. Była w stanie dźwigać na plecach martwe ciała i z równą łatwością worki ziemniaków. Jak chwast wystrzeliła w górę o ponad trzydzieści centymetrów, co zmuszało ją do licznych wypraw do wioski po materiał do przerobienia spodni. Zawartość kufra doktora Bleaka przestała na nią pasować, kiedy Jack skończyła czternaście lat, same długie kończyny, pączkujące piersi i nieprzewidywalny humor. (Przez dużą część tamtego roku krzyczała na swojego nauczyciela z powodów, których nie potrafiła zrozumieć ani wyjaśnić. Trzeba Bleakowi oddać, że nad podziw dobrze znosił jej nagłe wybuchy. Ostatecznie sam miał dość nieobliczalne usposobienie).

Gdy rozdarła się trzecia para źle przerobionych spodni, Jack nauczyła się sama szyc stroje. Zaczęła kupować materiały na bele i kroić je według własnego pomysłu. Jej dzieła nigdy nie zyskałyby uznania na modnym dworze wampirów, ale zakrywały ciało i zapewniały konieczną ochronę przed żywiołami. Doktor Bleak kiwał głową w milczącym zrozumieniu, kiedy jej ubrania stawały się coraz bardziej takie jak jego, z mankietami sięgającymi nadgarstków i zapinanymi ciasno na guziki, z krawatami zawiązanymi pod szyją, na pozór ze względu na modę, ale w rzeczywistości służącymi temu, żeby nic nie przedostało się przez misterne sploty jej zbroi. Jack nie zaprzeczała swojej kobiecości, nosząc męskie stroje, a raczej chroniła ją przed żrącymi środkami chemicznymi i innymi, mniej przyziemnymi substancjami.

Nadal była chuda, bo choć brzuch zwykle miała pełny, nie mogła liczyć na luksus dokładek ani słodkich deserów do herbaty. Cerę miała bladą, bo światło dzienne było rzadkością na Wrzosowiskach. Długi, ciasny blond warkocz opadał jej na plecy, rozplatanym i zaplatanym na nowo każdego ranka. Alexis mówiła, że ma kolor masła, i czasami namawiała Jack, żeby zostawiła włosy rozpuszczone, bo wtedy mogła przeczesywać palcami kręcone pasma, wygładzać je i pieścić. Ale one nigdy nie pozostawały rozpuszczone długo. Jak wszystko inne w Jack one też stały się precyzyjne, zorganizowane i znające swoje miejsce w świecie.

Najnowsze w niej były okulary. Soczewki doktor Bleak zrobił w swoim laboratorium i osadził je w drucianej oprawie. Bez nich świat wydawał się lekko rozmazany na brzegach – nic strasznego, zważywszy na to, jaki czasami potrafił być brutalny – ale i nie najlepsza sprawa dla naukowca. Tak więc Jack nosiła okulary i widziała rzeczy takimi, jakie były: ostre, jasne i bezlitosne.

Znalazła doktora Bleaka w wiatraku przy stole autopsyjnym, na którym leżał duży brązowy nietoperz z rozłożonymi skrzydłami. Ich delikatną błonę przybito gwoździami do blatu, pyszczek miał wypchany czosnkiem i płatkami dzikiej róży, tak na wszelki wypadek. W tym stworzeniu nie było nic, co świadczyłoby, że jest to wampir na gościnnych występach, ale też nic nie dowodziło, że nim nie jest.

– Chcę, żebyś poszła do wioski – oznajmił doktor Bleak, nie podnosząc na nią wzroku. W lewym oku miał osadzoną lupę, która wielokrotnie powiększała wewnętrzne organy nietoperza. – Kończą się nam tojad, arsenik i herbatniki czekoladowe.

– Nadal nie rozumiem, skąd tu się bierze czekolada – stwierdziła Jack. – Kakaowce rosną w tropikalnym klimacie. Tu nie panuje tropikalny klimat.

– Straszne istoty, które mieszkają pod wodami zatoki, kradną je z zatopionych przez siebie statków i sprzedają wieśniakom za wódkę – wyjaśnił doktor Bleak. – To również stamtąd mamy rum, herbatę i czasami jakiegoś przeklętego bożka.

– Ale skąd się biorą te statki?

– Z daleka. – Doktor Bleak w końcu na nią spojrzał, nie kryjąc irytacji. – Skoro nie potrafisz przeprowadzać sekcji, wskrzeszać ani w naukowy sposób wykorzystywać morza, daj sobie spokój, uczennico.

– Tak, proszę pana. – Gdy reszta słów doktora Bleaka w końcu do niej dotarła, jej oczy się rozszerzyły. – Do wioski?

– Czy czas spędzony z dorodną przyjaciółką pozbawił cię resztek rozumu? Nie jestem w nastroju, żeby przyjmować nową uczennicę, gdy wreszcie podszkoliłaś się na tyle, żeby być użyteczną. Tak, Jack, do wioski. Potrzebujemy różnych rzeczy. Ty jesteś uczennicą. Przynosisz rzeczy.

– Ale, proszę pana... – Jack spojrzała za okno. Słońce, jakiegokolwiek było, wisiało niebezpiecznie nisko na niebie. – Noc się zbliża.

– I właśnie dlatego kupisz tojad. Żeby odstraszyć wilkołaki. Gargulce z pustkowiec nie będą cię nękać. Nadal są wdzięczne za to, jak w zeszłym miesiącu poskładaliśmy ich przywódcę. Jeśli chodzi o wampiry... cóż. Nie musisz się nimi zbytnio przejmować.

Jack miała ochotę się spierać. Otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, bo potrafiła rozpoznać przegraną.

– Mogę odprowadzić Alexis do domu? – spytała.

– O ile nie spóźnisz się do sklepów, nie obchodzi mnie, co będziesz robić – odparł doktor Bleak. – Przekaż pozdrowienia jej rodzinie.

– Tak, proszę pana.

Przekazanie rodzinie Alexis pozdrowień od Bleaka prawdopodobnie będzie oznaczało, że Jack wróci do domu z garnkiem gulaszu i bochenkiem chleba, co najmniej. Oni wiedzieli, że doktor oddał im córkę, i co więcej, wiedzieli, że Alexis jest piękna; śmierć i zmartwychwstanie zapewne uchroniły ją przed wiecznością wampiryzmu. Tylko z tego powodu mieli mu być wdzięczni, aż wypalą się gwiazdy.

Jack wzięła kosz stojący przy drzwiach i ze słoja, w którym trzymali pieniądze na zakupy, odliczyła dwadzieścia małych złotych monet z twarzą Pana. Następnie lekko zgarbiona poszła powiedzieć Alexis, że idą do wsi.

Po jej wyjściu doktor Bleak z westchnieniem pokręcił głową i sięgnął po następny skalpel. Jack była świetną uczennicą, chętną do nauki i dostatecznie posłuszną, żeby warto było ją szkolić, i dostatecznie buntowniczą, by warto było się o nią troszczyć. Pewnego dnia zostanie dobrym lekarzem, jeśli Wrzosowiska postanowią zatrzymać ją dostatecznie długo. A to był problem.

Niewielu ludzi urodziło się na Wrzosowiskach. Alexis, z jej spokojną wrodzoną akceptacją, że tak właśnie ma działać świat, była raczej aberracją niż normalnością. W przeciwieństwie do niektórych światów z własną zdrową populacją, Wrzosowiska były zbyt nieprzyjazne dla ludzkiego życia, by łatwo dało się je zasiedlić. Dlatego wysyłały drzwi do innych miejsc, po czym sprowadzały dzieci, które mogłyby tutaj przetrwać, a potem pozwalały, żeby w naturalny sposób działo się to, co miało się dziać.

Bleak nie urodził się na Wrzosowiskach. Prawdę mówiąc, podobnie jak właściciel zamku. Pan był tam od wieków, doktor od dziesięcioleci. Dostatecznie długo, żeby wyszkolić się u doktor Ghast o kościstych rękach, która dawno temu pobierała nauki od swojego mentora. Wiedział, że pewnego dnia umrze, a błyskawica nie wystarczy, żeby go ożywić. W niektóre dni myślał, że może nawet z radością powitałby ten ostatni etap odpoczynku, kiedy już nie będzie nigdzie wzywany, żeby odgrywać rolę mniejszego zła i, na zasadzie kontrastu, mimowolnego bohatera. Nie urodził się na Wrzosowiskach, ale mieszkał tu dostatecznie długo, by poznać kształt rzeczy.

Pan wybrał Jill na swoją najnowszą córkę. Dziewczyna co noc spacerowała po blankach, uśmiechając się i nucąc pod nosem. Jej szacunek do ludzkiego życia zmniejszał się z dnia na dzień. Jeszcze nie była wampirem ani nie miała nim zostać przez następne kilka lat, ale to było... niepokojące, że drzwi się otworzyły i przyciągnęły na Wrzosowiska dwie istoty tak do siebie podobne, a jednocześnie tak przystosowane do całkowicie odmiennych ról.

Czyżby Księżyc, wszytkowidzący i osądający, zmęczył się Panem, tak jak zmęczył się tyloma władcami wampirów przed nim? Jill miała zostać prawdziwie brutalną następczynią, gdy już pozbędzie się resztek swojej ludzkiej miękkości. Doktor Bleak umiał przewidzieć, jak potoczy się historia od chwili jej transformacji. Jack, choć już tak niewiele wspólnego miała ze swoją siostrą i wolała unikać przyprawiającej o mdłości uwagi Pana, gdy tylko to było możliwe, nadal miała w sobie tę samą krew. Nie wybaczyła, że Pan odebrał jej siostrę. Zdeterminowany szalony naukowiec mógł się stać godnym przeciwnikiem dla każdego potwora – ludzką stroną równowagi sił między feudalnymi rodami, które rządziły tą krainą – i z łatwością mógł doprowadzić Pana do zguby, kiedy jego nowe dziecko zasiądzie na tronie, bezwzględne i okrutne.

Bliźniaczki były historią, która się przed nim rozwijała, a on nie wiedział, jak ją zatrzymać. Zatem tak, próbował zmusić swoją uczennicę, żeby zobaczyła się z siostrą. Chciał, żeby Jill pamiętała o istnieniu Jack, o tym, że Jack jest człowiekiem, czyli zgodnie z logiką ona sama też musi być człowiekiem.

Tylko to mogło je uratować.

* * *

Alexis usiadła na łóżku, kiedy usłyszała, że Jack się zbliża, i zmarszczyła brwi na widok wyrazu jej twarzy.

– Ta mina nie wygląda jak „wszystko załatwione, możesz mnie całować”.

– Bo taka nie jest – przyznała Jack. – Doktor Bleak chce, żeby poszła do wioski na zakupy.

– Teraz? – Alexis nie starała się ukryć zawodu. – Ale przecież jestem tu dopiero godzinę! – Co oznaczało, że po kąpieli, badaniu lekarskim, wyszorowaniu zębów, wypłukaniu gardła ostrym ziołowym środkiem dezynfekującym i użyciu nici była dostatecznie czysta, według standardów Jack, przez jakieś pięć minut, zanim im przerwano.

– Wiem – powiedziała Jack, z frustracji kopiąc podłogę. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak się uparł, żebym to zrobiła akurat teraz. Przykro mi. Mogę przynajmniej odprowadzić cię do domu?

Alexis westchnęła.

– Chociaż tyle. Moja matka spróbuje wcisnąć ci kolację.

– Którą chętnie przyjmę, bo twoja matka gotuje wszystko niemal na śmierć – odpowiedziała Jack. – Jeśli zapyta, dlaczego nie zdejmuję rękawiczek, powiem jej, że zacięłam się w rękę i nie chcę ryzykować, że rana się otworzy, zacznie krwawić i przyciągnie nieumarłych.

– Właśnie to powiedziałaś ostatnim razem.

– To uzasadniona obawa. Ona powinna być zadowolona, że chodzisz z taką rozsądną młodą uczennicą zamiast z jednym z tych wioskowych prostaków. – Jack podała Alexis dłoń w rękawiczce.

Alexis ujęła ją z kolejnym westchnieniem i wstała z łóżka.

– Te „wioskowe prostaki”, jak lubisz ich nazywać, będą kiedyś miały domy i zawody. Ty dostaniesz wiatrak.

– Bardzo czysty wiatrak – zauważyła Jack.

– Oni mogą dać mi dzieci. Tak mówi matka.

– Ja mogłabym dać ci dzieci. – W głosie Jack brzmiała lekka uraza. – Musiałabyś mi powiedzieć, ile powinny mieć głów i jakiego być gatunku, bo jaki sens mieć tyle cmentarzy, skoro nie mogłabym dać ci dzieci, kiedy o nie poprosisz?

Alexis parsknęła śmiechem i uderzyła ją w ramię, a Jack się uśmiechnęła, wiedząc, że zostało jej wybaczone.

Stanowiły dziwną parę, kiedy szły spacerkiem przez Wrzosowiska. Nie wyglądały na zmartwione. Jack była szczupła, Alexis zaokrąglona i miękka, córka bogatych rodziców, którzy dbali o to, żeby nigdy nie chodziła spać głodna, i wierzyli, że zna swoje ciało i jego potrzeby. (A skoro miejscowe wampiry wołały smukłe dziewczyny, które umarłyby, gdyby zostawić je na najlżejszym mrozie... cóż, podaj ziemniaki i popuść pasa. My będziemy trzymać nasze kochane córki bezpieczne w domu). Jack miała zaplecione włosy, Alexis rozpuszczone, ona rękawiczki na dłoniach, Alexis nie. Ale te ręce były złączone tak mocno jak u wszystkich kochanków, a one szły równym krokiem, nie skręcając sobie kostek ani nie zmuszając drugiej do biegu.

Jack czasami się zatrzymywała, wyjmowała z kieszeni nożyce z kościanym uchwytem i ścinała kawałek jakiegoś krzewu albo chwastu. Alexis zawsze przystawała i patrzyła z pobłażaniem, jak jej ukochana wkłada rośliny do koszyka.

Kiedy kolejny raz ruszyły dalej, spytała lekkim tonem:

– Możesz dotykać każdej brudnej rośliny na świecie, ale mnie boisz się dotknąć bez wiadra wrzącej wody pod ręką?

– Ja ich nie dotykam – odparła Jack. – Dotykają ich moje nożyce. I rękawiczki. Ja nie dotykam niczego.

– A szkoda.

– Ja też żałuję. – Jack uśmiechnęła się krzywo. – Czasami myślę o tym, co by powiedziała moja matka, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć. To ona mi mówiła, żebym się nie brudziła.

– Moja mówiła mi to samo.

– Twoja jest naprawdę groźną kobietą, która przeraża mnie bardziej niż wszystkie wampiry ze wszystkich zamków świata, ale to nic w porównaniu z moją, kiedy istniała możliwość, że któryś z sąsiadów zobaczy mnie w brudnej sukience. – Ton Jack był posępny. – Nauczyłam się bać brudu tak jak literować swoje imię.

– Nie potrafię wyobrazić sobie ciebie w sukience – stwierdziła Alexis. – Wyglądałabyś... – Umilkła, ale było już za późno. Szkoda się stała.

– Jak moja siostra, tak – zgodziła się Jack. – Jesteśmy jak dwa ziarenka grochu w upiornym strąku. Ale nie sądzę, żebym była dobrym wampirem. One nigdy nie mają serwetki w ręce, kiedy zaczyna tryskać krew. – Zadrżała teatralnie. – Możesz sobie wyobrazić mnie całą umazaną? I one nie mają odbić. Nigdy bym nie wiedziała, czy dobrze wytarłam twarz. Jedynym rozwiązaniem byłoby zanurzenie się co noc w wybielaczu.

– To niedobre dla włosów – ostrzegła Alexis.

– Niedobre dla serca. – Jack uściśnęła palce ukochanej. – Jestem, kim jestem. I wielu rzeczy, które we mnie są, nie zmienię, choćbym nie wiem jak chciała. Przykro mi. Dużo bym dała, żeby spędzić z tobą popołudnie na sianie, kurz w powietrzu, pot na skórze, i żadnej z nas to nie przeszkadza. Obawiam się jednak, że to doświadczenie doprowadziłoby mnie do szaleństwa. Jestem istotą ze sterylnej otoczenia. Za późno, żebym się zmieniła.

– Tak mówisz, ale ja widziałam, jak wskakujesz do otwartego grobu, jakby to było nic.

– Tylko we właściwym obuwiu, zapewniam cię.

Alexis się zaśmiała i przysunęła do Jack. Trzymała ją za ramię, kiedy szły w stronę muru wioski mającego w oddali. Położyła głowę na jej ramieniu. Jack wciągnęła nosem słonawy zapach włosów ukochanej i pomyślała, że jednak da się powiedzieć coś na obronę światów krwi i blasku księżycowego, gdzie jedynym zagrożeniem większym niż istoty mieszkające w morzu są istoty mieszkające na brzegu. Na tle wrzośców wyraźniej dostrzegało się piękno.

Spacer był zbyt krótki albo ich nogi za długie. Obie były jeszcze nawiedzane przez duchy dzieciństwa i nie zdążyły poznać sztuki zwlekania, przeciągania wszystkiego, żeby trwało tak długo, jak by chciały. Wydawało się, że w mgnieniu oka stanęły przed wielkim murem.

Alexis puściła dłoń Jack. Stuliła ręce wokół ust i zawołała do strażnika:

– Alexis Chopper wraca do domu!

– Jacqueline Wolcott, uczennica doktora Bleaka, odprowadza pannę Chopper i robi zakupy! – krzyknęła Jack.

Mieszkańcy zawsze odzywali się pierwsi, by w razie konieczności wezwać pomoc. Ta „pomoc” zapewne przybrałaby formę wrzącego oleju albo gradu strzał,

lecz alarmujący zginęliby, wiedząc, że przynajmniej ochronili resztę wsi.

Wydawało się fascynujące, że ludzie, którzy mieszkają na podwórzu wampirów, tak bardzo boją się reszty świata. To, że coś było nieznanym, nie oznaczało, że miało ostrzejsze zęby albo mocniejsze szczęki niż potwory, które już znali. Jednakże doktor Bleak mówił, że przeprowadzanie eksperymentów psychologicznych na sąsiadach nigdy nie kończy się dobrze, a że to on rządził, Jack zatrzymała swoje myśli dla siebie.

– Uważać na bramę! – ostrzegł strażnik.

Potem nastąpiły kolejne okrzyki, po czym drewniana brama otworzyła się ze skrzypieniem, ciężka, powolna i ponoć bezpieczna.

Alexis, która urodziła się za tą bramą, i wiedziała, że Pan obserwuje każdy jej krok, przeszła przez nią z pogodną miną. Z taką beztróską wkraczała na teren łowiecki wampirów, jakby w ogóle się nie bała... i może tak było. Przy kilku okazjach, kiedy Jack próbowała z nią o tym rozmawiać, Alexis posępnym tonem mówiła o wilkołakach grasujących w górach, o Zatopionych Bogach na dnie morza, o wszystkich strasznych niebezpieczeństwach, które miały do zaoferowania Wrzosowiska. Najwyraźniej, kiedy było się zwierzyną łowną, lepiej się żyło pod ochroną drapieżcy.

Może i tak. Jack spędziła tylko jedną noc pod dachem Pana i choć czasami czuła smutek, że nie zdołała uratować siostry, nigdy nie żałowała, że się stamtąd wydostała. Jill dokonała własnego wyboru.

Jack zaśmiała się pod nosem. Alexis na nią zerknęła.

– Coś zabawnego?

– Wszystko – odpowiedziała Jack, kiedy wrota zamknęły się za nimi. Podała Alexis rękę. – Chodźmy zobaczyć się z twoimi rodzicami.

* * *

Słońce, choć blade, nadal świeciło na niebie. Pan przebywał w swoim zamku i odpoczywał przed zbliżającą się nocą. Jill nie dopuszczano do niego przez dwa kolejne dni. Zawsze tak było po żerowaniu. Pan powiedział, że ona musi osiągnąć pewien wiek, zanim będzie mógł zatrzymać serce w jej piersi i w ten sposób zachować je na zawsze. Powiedział, że będzie szczęśliwsza, jeśli stanie wobec wiecznej nocy jako dorosła, z pozycją i przywilejami dorosłej osoby.

Jill pomyślała, że tak naprawdę on się boi. Nikt nigdy nie słyszał o znajdzie wracającej do swojego świata po osiemnastych urodzinach. Jeśli ktoś osiągał na Wrzosowiskach ten wiek, zostawał na nich, aż umarł. Albo nie umarł, jak mogło się zdarzyć. Ona miała dopiero szesnaście lat. Jeszcze dwa lata czekania, dwa

lata, kiedy Pan będzie zostawiał ją samą na trzy dni co dwa tygodnie, dwa lata chodzenia po blankach, okrutnych pocałunków słońca na skórze. Pan nalegał. Chciał, żeby ludzie się do niej przyzwyczaili i żeby ona zrozumiała, z czego rezygnuje.

Nonsens. To wszystko było nonsensowne. Jakby ktoś mógł dostać całą wieczność przywilejów i władzy i odrzucić to z powodu kaprysu. Każdy, kto opuszczał Pana, musiał być głupcem albo gorzej...

Na placu w dole coś się poruszyło. Dwie osoby weszły przez bramę od strony gór. Tłusta dziewczyna z gospody i koścista postać w czarnej kamizelce. Światło odbiło się od okularów Jack, kiedy odwróciła głowę. Jill poczuła, jak jej znienawidzone, znienawidzone serce ściska się w piersi. Jej siostra, tutaj.

To było niedopuszczalne.

Ktoś przychodzi na obiad

Gospoda należąca do rodziców Alexis była mała, przytulna i w miarę czysta jak na taki lokal. Jack mogła siedzieć w niej godzinami, zanim poczuła nieprzeparowane pragnienie, żeby zdrapać sobie skórę, co było nadzwyczajnym osiągnięciem jak na miejsce inne niż laboratorium.

(Alexis raz, po szczególnie napiętej wizycie, rzuciła uwagę, jakie to dziwne, że Jack radzi sobie z pracą w ogrodzie doktora Bleaka, ale zanim usiądzie na krześle, którego wcześniej używał ktoś inny, musi najpierw wyszorować je do lustrzanego połysku. Jack próbowała, niezbyt dobrze, wyjaśnić jej, że brud to brud; w swoim naturalnym otoczeniu mógł nawet być czysty. Tutaj oznaczał mieszaninę różnych rzeczy, jak pot, skóra, wydzieliny ludzkiego ciała, i dlatego stanowił problem. Chodziło o recepturę, nie o składniki).

Matka Alexis wyglądała jak jej starsza wersja, a kiedy się uśmiechała, było tak, jakby ktoś zapalił lampę halloweenową za jej oczami. Jack sądziła, że zniosłaby każdą ilość brudu dla ciepła uśmiechu pani Chopper. Wciąż od nowa przeszukiwała pamięć i nigdy nie znajdowała nawet śladu wspomnienia, że jej matka jest do takiego zdolna.

Ojciec Alexis był drwalem, zanim został właścicielem gospody. Stąd się wzięły rodowe nazwisko i siekiera wisząca nad kominkiem. Wyglądał jak góra, a Jack uważała, że chyba jako jedyny człowiek na Wrzosowiskach miałby szansę w starciu fizycznym z doktorem Bleakiem. (Wilkołaki by wygrały, to oczywiste. Na szczęście mniej interesowały je zapasy i rzucanie siekierą niż kierowanie ludźmi i aportowanie patyków).

Jak zawsze Pod Łanią i Zającem jedzenie było proste, obfite i nieprzyjemnie przypominało Jack o zającu i warzywach zaserwowanych podczas jedynej kolacji, którą dzieliła z Panem. Najwyraźniej on bez ograniczeń czerpał z wioskowych zapasów, żeby nakarmić gości mieszkających pod jego dachem. Jack nie miała wątpliwości, że jej pierwszy posiłek został przygotowany wprawnymi rękami pana Choppera. Może tamtego wieczoru Alexis jadła to samo? Może Jack zaczęła

pobyt na Wrzosowiskach od dzielenia się z nią posiłkiem, całkiem nieświadoma tego, co je czekało?

Miała taką nadzieję. Myśl, że od tak dawna jadały razem, poprawiała smak chleba, a mleko wydawało się słodsze.

Pan Chopper kolejny raz puścił ziemniaki wokół stołu, kiedy drzwi kuchni otworzyły się tak gwałtownie, że całe się zatrzęsły, jakby uderzył w nie silny podmuch wiatru. Alexis podskoczyła, jej ojciec napiął mięśnie i sięgnął ręką do boku, jakby spodziewał się znaleźć tam siekiere. Jego żona zamarła, zaciskając dłonie na tacy.

Jack siedziała spokojnie, ze wzrokiem utkwionym w jedzeniu, starając się wyglądać tak, jakby myślała, że potrawka z grzybów i pieczony zając to najbardziej fascynujące rzeczy na świecie.

– Mogłabyś przynajmniej powiedzieć „cześć”, sostro – wysyczała Jill słodkim głosem, ale tak jadowitym, jakby od gorąca zepsuło się coś, co zbyt długo pozostawało na słońcu.

– Och, przepraszam. – Jack uniosła głowę znad talerza i poprawiła okulary. – Myślałam, że to zabłąkany pies otworzył sobie drzwi. Tam, skąd pochodzę, ludzie pukają.

– Pochodzisz z tego samego miejsca co ja – przypomniała jej Jill.

– Tak, i ludzie tam pukali.

Jill spiorunowała ją wzrokiem. Jack odpowiedziała jej beznamiętnym spojrzeniem.

Ich twarze były identyczne, nie dało się zaprzeczyć. Cały czas świata nie zmieniłby kształtu ich ust ani wykroju oczu. Mogły pofarbować włosy, ubierać się zupełnie inaczej, ale zawsze wyglądały jak odlane z tej samej formy. Na tym jednak podobieństwo się kończyło.

Jill miała na sobie suknię w kolorze fioletu o tak jasnym odcieniu, że mogłby wyglądać jak biały, gdyby nie łączył się z bladą skórą i jasnymi włosami. Suknia odcinana na piersi na razie wyglądała skromnie, choć to niedługo miało się zmienić. Ten strój bardziej pasował do małej dziewczynki, a ona, podobnie jak Jack, znajdowała się na drodze do kobiecości. Długa spódnica ciągnęła się po ziemi. Jej dół był szary od brudu. Jack lekko zadrżała na ten widok, ale miała nadzieję, że siostra tego nie zauważyła.

Nie miała tego szczęścia. Podczas gdy Jack mieszkała w wiatraku i poznawała tajemnice nauki oraz wskrzeszania zmarłych, Jill mieszkała w zamku i poznawała sekrety przetrwania i służenia zmarłym. Jej oczy widziały wszystko. Uśmiechnęła się.

– Och, przykro mi, sostro – powiedziała. – Jestem brudna? Martwi cię to, że jestem brudaską? Panu nie przeszkadza, kiedy niszcę suknie. Zawsze mogę dostać

następną.

– Jakie to miłe – wycedziła Jack przez zęby. – Co tu robisz?

– Zobaczyłam, jak przechodzisz przez bramę. Pomyślałam, że pewnie idziesz do zamku, żeby się ze mną zobaczyć, bo jestem twoją siostrą, a minęło bardzo dużo czasu od twojej ostatniej wizyty. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy poszłaś za swoją małą, tłustą dziewczyną do gospody, żeby się napychać jedzeniem. – Jill skrzywiła nos. – Jak zwierzę. W taki sposób chcesz spędzić młodość? Ze świniami i wieśniakami?

Jack zaczęła wstawać. Alexis chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła w dół.

– Nie warto – szepnęła. – Proszę, nie warto.

Jill się roześmiała.

– Widzisz? Wszyscy tutaj znają swoje miejsce oprócz ciebie. To dlatego, że jesteś zazdrosna? Bo mogłaś mieć to, co ja mam, ale nie działałaś dostatecznie szybko? Czy dlatego, że za mną tęsknisz?

– Nigdy nie znałam swojej siostry dostatecznie dobrze, żeby za nią tęsknić, a sądząc po tym, jak się zachowujesz, nie jestem pewna, czy chcę, żebyś była moją siostrą – odparowała Jack. – A jeśli chodzi o to, co masz... Masz suknię, na której widać każdy pyłek kurzu. Masz dłonie tak białe, że nigdy nie będą wyglądać czysto. Nie chcę tego, co masz. To, co masz, jest okropne. Zostaw mnie w spokoju.

– W taki sposób mówisz do swojej rodziny? Do krwi z krwi?

Jack prychnęła.

– Ostatnim razem, kiedy sprawdzałam, zamierzałaś pozbyć się swojej krwi, gdy tylko Pan zechce ją wziąć. A może się rozmyśliłaś? Chcesz tu zostać i jeszcze trochę pożyć? Polecam. Może złapiesz trochę słońca. Najwyraźniej brakuje ci witaminy D.

– Jack, proszę – szepnęła Alexis.

Jill nadal się uśmiechała. Jack ochłonęła.

Gospoda Pod Łanią i Zającem była jedyną we wsi, ale to nie czyniło jej niezastąpioną. Gdyby coś się jej przydarzyło – gdyby, powiedzmy, spłonęła do szczętu w środku nocy albo gdyby jej właściciele zostali znalezieni bez kropli krwi w żyłach... cóż, po prostu byłoby szkoda. Przed następną pełnią powstałaby nowa oberża, prowadzona przez nową rodzinę, gotową służyć bez łamania zasad.

Jak wszyscy, którzy żyli na łasce Pana, Chopperowie przestrzegali zasad. Robili to, co im kazano. Przychodzili, kiedy ich wzywano. I nigdy się nie spierali, nigdy, ani z nim, ani z dziewczyną wybraną na jego spadkobierczynię.

Jack przełknęła ślinę. Wygładziła kamizelkę dłońmi w rękawiczkach i wstała, zostawiając niedokończoną kolację. Alexis puściła jej ramię. Chwila, gdy Jack przestała czuć jej dotyk, była gorsza niż przegrana.

– Ja... przepraszam, Jillian – powiedziała Jack ostrożnym, spokojnym tonem.
– Byłam głodna. Wiesz, jaka się robię gderliwa, kiedy jestem głodna.

Jill zachichotała.

– Jesteś najgorsza, kiedy nic nie zjesz. Więc naprawdę przyszłaś mnie odwiedzić?

– Tak. Oczywiście. – Jack nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że Alexis drży, a jej rodzice starają się do niej nie podbiec. Nie spodziewali się, że córka sprowadzi niebezpieczeństwo na ich dom. A powinni. Ona również. Była głupia, a teraz oni za to płacili. – Doktor Bleak oczekuje, że wrócę przed północą, ale wcześniej muszę zrobić zakupy na placu. Chciałabyś pójść ze mną? Chyba mam dość monet, żeby kupić ci coś miłego. Może kandyzowany imbir albo wstążkę do włosów.

Spojrzenie Jill zrobiło się ostre.

– Gdybyś naprawdę przyszła się ze mną zobaczyć, wiedziałabyś, czy masz dość monet, żeby kupić mi prezent.

– Doktor Bleak zarządza pieniędzmi. Ja jestem tylko jego uczennicą. – Jack rozłożyła ręce, starając się wyglądać na skruszoną, ale niezbyt gorliwie. Jill chyba jej uwierzyła... a może jej to nie obchodziło, jeśli w rezultacie postawiła na swoim. Teraz jesteśmy sobie obce, pomyślała z żalem. – Dużo się uczę, ale to nie znaczy, że on ufa mi bardziej, niż musi.

– Pan ufa mi we wszystkim – oświadczyła Jill. Pobiegła – pobiegła! – przez pokój i wsunęła rękę pod ramię Jack. – Chyba możemy zrobić zakupy, zanim wybiorę sobie prezent. Gdyby doktor Bleak cię wyrzucił, musiałabyś mieszkać w oborze z jego świniami i przez cały czas chodziłabyś brudna. To byłoby straszne, prawda?

Jack, która już czuła, że potrzebuje kąpieli po tym krótkim kontakcie z siostrą, z trudem opanowała dreszcz.

– Straszne – przyznała.

Chwyciła koszyk i pozwoliła, by Jill poprowadziła ją w noc. Gdy drzwi zatrzęsły się za nimi, pani Chopper upuściła tacę z ziemniakami, tak się śpieszyła, żeby objąć córkę. Wszyscy troje przytulili się do siebie, drżąc i płacząc, nagle aż nazbyt świadomi ciemności panującej na zewnątrz.

* * *

Jill stąpała lekko, jakby tańczyła po ubłoconym bruku wiejskiego placu. Nie przestawała mówić. Słowa wylewały się z niej, kiedy opowiadała o wszystkim, co się jej przydarzyło w miesiącach, które upłynęły od ostatniego spotkania

z siostrą. Jack uświadomiła sobie ze stłumionym poczuciem winy, że Jill jest samotna. Może i miała służących w tym wielkim zamczysku, może miała miłość albo przynajmniej czułość swojego Pana, ale nie miała przyjaciół.

(I prawdopodobnie to było coś dobrego. Jack pamiętała, jak doktor Bleak wracał ze swoich wypraw do wioski krótko po tym, jak z nim zamieszkała. Pamiętała posępny wyraz jego twarzy i dużą czarną torbę lekarską w rękach. Wśród wiejskich dzieci zdarzały się zgony. Jedyne tyle był gotów jej powiedzieć, kiedy naciskała. Dopiero lata później, kiedy pojawiła się Alexis, Jack usłyszała od niej, że wszystkie zmarłe dzieci wcześniej widziano, jak bawiły się z Jill obok fontanny. Pan był zazdrosnym człowiekiem. Nie chciał, żeby przybrana córka miała w życiu kogoś innego oprócz niego, i z radością robił to, co uważał za konieczne, żeby pozostać centrum jej świata. Przyjaciele stanowili utrapienie, z którym należało się rozprawić).

Jack zawsze do tej pory robiła zakupy sama albo w towarzystwie doktora Bleaka. Co zaskakujące, ludzie często zapominali, że Jill jest jej siostrą, i nie czuli potrzeby pilnowania języków w jej obecności. Była przyzwyczajona do żartów i plotek, a czasami nawet chytrych przytyków do polityki Pana.

Kiedy teraz chodziła po sklepach razem z Jill, prawdziwym zaskoczeniem okazała się cisza. Ludzie, którzy znali ją jako uczennicę doktora Bleaka, milki, kiedy zbliżała się ramię w ramię z córką Pana, a niektórzy patrzyli na jej twarz, jakby nagle rozwiązali zagadkę. Jack musiała walczyć ze sobą, żeby się nie skrzywić. Miesiące albo lata miało jej zająć odzyskanie gruntu, który traciła z każdą osobą, która widziała ją w towarzystwie Jill. Raptem znowu stała się wrogiem. Nie była to miła świadomość.

Kilku kupców próbowało dać jej większy upust niż zwykle, nawet jeśli nie mogli sobie na to pozwolić. W miarę możliwości Jack i tak płaciła normalną cenę, kręcąc głową, żeby ich uciszyć. Niestety, jeśli Jill ją na tym przyłapywała, wyrywała monety z rąk kupca.

– My płacimy tylko z grzeczności – mówiła, przewracając oczami. – Płacimy, by pokazać, że jesteśmy częścią tej wioski, a nie tylko bijącym sercem, które utrzymuje ją w świecie wilków. Jeśli oni chcą, żeby ten symbol stał się jeszcze bardziej symboliczny, masz im na to pozwolić. Obiecałaś mi prezent.

– Tak, siostró – odpowiadała Jack.

I szły do następnego kupca, a dziura w jej żołądku stawała się coraz większa, aż wydawało się, że pochłonie cały świat.

Wiedziała, że musi powiedzieć o tym doktorowi Bleakowi. Jeśli nie ona, zrobią to wieśniacy, kiedy następnym razem on przyjdzie na zakupy albo kiedy odwiedzi czyjaś chorą matkę. Będą mówić o jego uczennicy i o córce Pana

idących pod rękę, a jej mentor będzie się zastanawiał, dlaczego to przed nim ukryła. I wszystko obróci się w ruinę. Jeszcze większą.

Koszyk przewieszony przez ramię był ciężki od rzeczy, po które ją wysłano, i od ponadplanowych, które Jill po prostu sobie brała i do niego wkładała. Dzbanek gęstej śmietany, słoik miodu. Luksusy, które nigdy nie zostaną uznane za niezbędne w wiatraku na wzgórzu. W końcu nadszedł czas, żeby Jill wybrała dla siebie prezent.

Właścicielka straganu, smukła wiejska dziewczyna, która trzęsa się jak trzcina na wietrze, stała z rękami ciasno splecionymi na fartuchu, jakby chciała powstrzymać je od dygotania i w ten sposób ukryć strach. I wydawało się, że jest to możliwe, bo Jill była całkowicie pochłonięta przerzucaniem wstążek i zachwytaami nad dotykiem materiału na skórze.

Jack próbowała nawiązać kontakt wzrokowy ze straganiarką, ale ona odwracała głowę, unikając patrzenia jej w oczy. Jack poczuła, że dziura w jej żołądku jeszcze się powiększyła. Mieszkańcy wsi w większości byli przesądni, jeśli można ich tak nazwać w sytuacji, gdy tutaj rzeczywiście grasowały wampiry, podobnie jak wilkołaki w górach, a w morzu straszne istoty z mackami. Wszyscy wiedzieli, że Pan potrafi wpływać na ich umysły, patrząc im w oczy. Nikt od lat bez wyraźnego rozkazu nie spoglądał wprost na Jill, nawet jeśli do czasu transformacji ona jeszcze nie miała władzy nad ludzkimi sercami. Teraz niektóre uprzedzenia najwyraźniej przeniosły się na Jack.

– Podoba ci się ta? – zapytała Jill, podnosząc wstęgę lśniącego szarego jedwabiu, który wyglądał, jakby wycięto go z mgły zalegającej nad wrzosowiskiem. – Mam suknię, do której będzie idealnie pasowała.

– Jest piękna – potwierdziła Jack. – Powinnaś ją wziąć.

Jill wydeła usta.

– Ale jest ich tyle, że nie obejrzałam nawet połowy.

– Wiem. – Jack starała się mówić kojącym tonem, a przynajmniej nie zdradzić się z irytacją. – Doktor Bleak spodziewa się mnie przed północą, pamiętasz? Nie mogę nie słuchać swojego pana, tak jak ty nie możesz być nieposłuszna swojemu.

Było to skalkulowane ryzyko. Jill wiedziała, co to znaczy być posłuszną, stawiać cudze pragnienia ponad własne. Miała również skłonność do wpadania w gniew na najłżejszą sugestię, że jej Pan nie jest jedynym panem na Wrzosowiskach, jakby duża litera na początku dawała mu monopol na wykrzykiwanie rozkazów.

Jill owinęła wstążkę wokół palca i powiedziała:

– Pan byłby szczęśliwy, gdybyś zechciała wrócić do domu. Teraz się nie nadajesz, sama wiesz. Trzeba by cię podszkolić. Musiałabym cię nauczyć, jak być damą. Ale mogłabyś wrócić do domu.

Myśl o nazywaniu zamku „domem” wystarczyła, żeby Jack zrobiło się słabo z przerażenia. Zdusiła je w sobie i pokręciła głową.

– Doceniam propozycję, ale mam dużo pracy u doktora Bleaka. Lubię to, co razem robimy. Lubię to, czego się uczę. – Raptem ożyło w niej dalekie wspomnienie matki w różowym spodniem, tłumaczącej jej, jak należy odrzucać zaproszenia. – Dziękuję bardzo, że o mnie myślisz.

Jill westchnęła.

– Pewnego dnia wrócisz do domu. – Chwyciła garść wstążek. Było ich tyle, że przeplatały się między jej palcami jak tęcza złożona z wijących się robaków. – Wezmę te – poinformowała straganiarkę. – Moja siostra zapłaci.

Następnie odwróciła się na pięcie i ruszyła do bram zamku. Wstążki wypadały niezauważone z jej ręki, kiedy biegła, zostawiając za sobą ślad w kurzu.

Jack sięgnęła po monety leżące na dnie koszyka.

– Przepraszam – powiedziała do straganiarki głosem cichym i nagłym. – Nie chciałam jej tu przyprowadzać. Ona mnie zmusiła. Mogę nie mieć dość pieniędzy, żeby zapłacić, ale obiecuję, że wrócę z resztą, tylko powiedz mi, ile jestem winna.

– Nic – odpowiedziała dziewczyna. Nadal nie patrzyła na Jack.

– Ale...

– Powiedziałam, że nic. – Straganiarka zaczęła porządkować chaos spowodowany przez Jill. – Ona i tak nigdy nie płaci. Później Pan przyśle kogoś ze złotem i zapłaci więcej za następną suknię, którą dla niej zamówi. Ona tym razem mi nie groziła. Nie pokazała zębów ani nie zapytała, czy chcę spojrzeć na skórę pod jej chokerem. Przy tobie stała się lepsza, a nie gorsza.

– Tak mi przykro.

– Idź już. – Straganiarka w końcu spojrzała na Jack. Kiedy się odezwała, jej głos był tak cichy, że ledwo słyszalny. – Wszyscy wiedzą, że dzieci, które rozmawiają z córką Pana, znikają, bo on nie może znieść dzielenia się nią z nikim. Ona z kolei jest zazdrosna o ludzi, którzy rozmawiają z jej siostrą. Odejdź, zanim ona uzna cię za moją przyjaciółkę.

Jack zrobiła krok w tył. Straganiarka wróciła z posępną miną do sortowania wstążek, więc Jack odwróciła się i ruszyła przez cichą wioskę. Słońce już zaszło. Ogromny czerwony księżyc wisiał groźnie tuż nad horyzontem, jakby zamierzał spaść na ziemię i zacząć miażdżyć wszystko na swojej drodze.

Drzwi gospody były zamknięte. W oknie paliła się pojedyncza świeca. Jack spojrzała na nią i pomaszerowała dalej przez wieś, po czym wyszła przez bramę na dzikie, samotne wrzosowisko.

* * *

Światło w oknie sprawiało, że wiatrak wyglądał jak latarnia morska, coś idealnego i czystego, wzywającego zagubione dusze do domu. Jack zaczęła iść trochę szybciej, kiedy sobie uświadomiła, że jest prawie w domu. Gdy to nie wystarczyło, puściła się biegiem i wpadłaby prosto na drzwi, gdyby doktor Bleak nie otworzył ich sekundę wcześniej, tak że trafiła w jego twarde brzuch. Szorstka skóra fartucha otarła jej policzek.

Jack wypuściła koszyk z rąk, a zakupy i reszta monet rozsypały się u jej stóp.

– Co się stało, Jack? – zapytał doktor Bleak. Jego głos był liną rzuconą tonącej dziewczynie, solidnym fundamentem jej świata.

Jack do niego przywarła, ukryła twarz na jego piersi, choć raz nie dbając o brud, i długo, długo płakała pod okiem złowieszczego księżyca.

Część IV

Jill i Jack nie wracają

A z jej grobu wyrosła czerwona, czerwona róża...

Czas mijał. Jack trzymała się z dala od wioski, wybierając raczej dodatkowe prace w domu zamiast towarzyszyć doktorowi Bleakowi na zakupach. Zaczęła układać plany na przyszłość, kiedy będzie miała własny ogród, własny wiatrak i własną rodzinę, którą będzie mogła sama utrzymać.

Alexis nadal ją odwiedzała, z początku ostrożnie, potem coraz śmielej, kiedy nic złego nie przydarzyło się jej rodzinie.

Jill spacerowała po blankach i odliczała dni do swoich osiemnastych urodzin. Akurat leżała w wygodnym łóżku i śniła o rzekach pięknej czerwieni, kiedy słońce nagle zalało pokój i obudziło ją, wymierzając policzek. Jill usiadła prosto, zaskoczona i oszołomiona, mrugając w straszliwej jasności.

– Panienko – odezwała się pokojówka głosem uprzejmym i uniżonym. Używała tego tonu już dwa lata, od dnia, kiedy Jill wpadła w szal i zażądała, żeby Mary zwracała się do niej z szacunkiem, jeśli nie chce zostać zrzucona z blanków.
– Pan prosił, żeby panienkę obudzić.

– Dlaczego? – spytała Jill.

Zaczęła trzeć oczy, aż ból spowodowany przez ukłucie słońca minął. Kiedy opuściła ręce, mrugając szybko, zobaczyła, że Mary trzyma duży wazon z czerwonymi, czerwonymi różami. Zdumiona Jill wyciągnęła dłonie, wykonując przy tym drobne ruchy palcami.

– Daj mi je – rozkazała.

– Tak, panienko.

Mary nie wręczyła jej wazonu, tylko przeszła kilka kroków wzdłuż łóżka i postawiła kwiaty na stoliku obok zagłówek, żeby Jill mogła wdychać ich zapach i podziwiać piękno, nie kłując się kolcami. Gdyby przez nią cenna córka Pana zaczęła krwawić, kiedy nie ma go w pokoju, ona gorzko by tego pożałowała.

– Od Pana? – upewniła się Jill.

– Tak, panienko.

– Są piękne. – Twarz Jill złagodniała, oczy zrobiły się wilgotne od łez wdzięczności. – Widzisz, jakie są piękne? On tak bardzo mnie kocha. Jest dla mnie taki dobry.

– Tak, panienko – potwierdziła Mary, która dobrze poznała miłość wampira. Czasami myślała, że Jill całkiem zapomniała, że dawno, dawno temu była znajdą. I nie pierwszą dziewczyną noszącą jasną suknię i choker na szyi.

– Powiedział ci, dlaczego? – Jill z nadzieją spojrzała na Mary. – Przyjdzie do mnie dzisiaj? Wiem, że to dopiero dwa dni, ale...

– Naprawdę nie wiesz, panienko? – Oczywiście, że nie wiedziała. Wampiry dbały o czas tylko dlatego, że miał on wpływ na innych ludzi, a Jill, choć nadal była człowiekiem, już myślała jak wampir. Mary zmusiła się do uśmiechu. – Dzisiaj jest piąta rocznica twojego przybycia na Wrzosowiska.

Oczy Jill się rozszerzyły.

– Mam siedemnaście lat?

– Tak, panienko.

Czas na Wrzosowiskach nie płynął tak jak w świecie, z którego pochodzili Jack i Jill. Rządził nim inny zestaw praw natury, obowiązywał inny kalendarz. Ale rok to był rok. Nawet jeśli nie dało się wyznaczyć dokładnego dnia ich urodzin, data przybycia była jasna.

Jill zerwała się z łóżka w falbaniastej koszuli nocnej, ciągnąc za sobą pościel.

– Miałam prawie dwanaście i pół, kiedy tu trafiłyśmy – stwierdziła z podnieceniem, zgarniając kołdrę z powrotem na materac. – Czyli teraz praktycznie mam osiemnaście. On mnie chce? Dzisiaj? W końcu nadszedł ten czas?

– Praktycznie osiemnaście to nie to samo co dokładnie osiemnaście. – Mary starała się zachować idealną równowagę między dobrocią a uniżonością niezbędną, kiedy mówiła do Jill. – Wiedział, że o to zapytasz. Mam ci przekazać, że ponieważ nie znamy dokładnej daty twoich urodzin, on woli popełnić błąd nadmiernej ostrożności. Tak będzie do chwili, aż dzwony Zatopionego Opactwa obwieszczą zmianę pory roku.

– Ale to cała wieczność! – zaprotestowała Jill. – Dlaczego tak długo? Nie zrobiłam nic złego! Byłam dobra! Stałam się taka, jak on sobie życzył!

Wyprostowała się i zademonstrowała elegancką koszulę nocną ozdobioną koronkami, pokazała starannie ułożone loki. Dawno opanowała sztukę spania bez ruchu, żeby wstać z idealną fryzurą, gotowa stawić czoło temu, co mogła przynieść noc.

– Masz wszystko z wyjątkiem dorosłości – powiedziała Mary łagodnie. – Drzwi nadal mogą się dla ciebie otworzyć. Świat twoich narodzin nadal może zabrać cię z powrotem.

– To bajeczka do straszenie dzieci na dobranoc – warknęła Jill. – Drzwi nie wracają, kiedy się ich nie chce.

– Wiedziałaś, czym jest wampir, kiedy tu przyszłaś – stwierdziła Mary. – Nie zastanawiałaś się dlaczego? Zasady, które tu obowiązują, istnieją dlatego, że w przeszłości popełniono błędy. Sprawy źle się potoczyły. – Nowe wampiry, istoty pełne gniewu i wielkiego apetytu wpadały przez magiczne drzwi z powrotem do światów, które nie miały przed nimi żadnej obrony. Mary stłumiła dreszcz. Wrzosowiska wiedziały, jak żyć z wampirami. Wrzosowiska były odpowiednio wyposażone, żeby przetrwać obok swoich potworów. – Gdybyś trafiła w góry pod opiekę pana wilkołaków, on by ci powiedział to samo. Albo do morza. Utopieni Bogowie nie zmieniają nikogo tak młodego, że mógłby wrócić tam, skąd przyszedł. Musimy być ostrożni, żeby nie przyciągać uwagi sił, które stwarzają drzwi. Jeśli przestaną to robić, Wrzosowiska będą zgubione.

– Drzwi tworzy księżyc – powiedziała Jill kąśliwym tonem. – Wszyscy to wiedzą.

– Są inne teorie.

– Te teorie są błędne. – Jill spiorunowała ją wzrokiem. – Drzwi, z których my skorzystałyśmy, miały napis: „Bądź pewny”, a ja jestem pewna. Jestem pewna, że chcę zostać wampirem. Chcę być silna, piękna i wieczna. Chcę wiedzieć, że nigdy, przenigdy nikt mi tego wszystkiego nie odbierze. Dlaczego nie mogę tego mieć?

– Będziesz miała – zapewniła ją Mary. – Dostaniesz to, kiedy dzwony Zatopionego Opactwa przemówią. Pan zabierze cię do najwyższej wieży i uczyni bezlitosną, uczyni szybką, a przede wszystkim uczyni cię swoją. Ale musisz poczekać na dzwony, panienko, musisz. Wiem, że to trudne. Wiem, że nie chcesz czekać. Ale...

– Co ty wiesz, Mary? – wyrzuciła z siebie Jill. – Byłaś znajdą. To wszystko mogło być twoje, ale ty mu odmówiłaś. Dlaczego?

– Bo nie chciałam być bezlitosna, panienko. – Z początku wszystko wydawało się grą, jej i wampira z wysokiego zamku. On oferował jej to, czego pragnęła, a ona się śmiała i odmawiała wszystkiego oprócz tego, czego sama potrzebowała. Wszystko wydawało się grą.

A potem on ją zapytał, czy może być jej nowym ojcem, poprosił, żeby została jego dzieckiem i razem z nim rządziła przez niezliczone wieki furii i krwi.

Kiedy odmówiła, wpadł we wściekłość. Jej przyjaciele z wioski zaczęli zniknąć i z początku wydawało się, że to również jest gra, wielka zabawa w chowanego... do dnia, kiedy Pan przywłókł przed nią małego Belę i rzekł:

– To się stanie z tymi, którzy mi się sprzeciwiają.

I rozszarpał szyję chłopca zębami. Czasami Mary miała wrażenie, że nadal czuje krew Beli na twarzy.

Ale Jill nigdy nie widziała tej jego strony. Od początku była jego cenną małą księżniczką. Chodziła w chmurach i marzyła o wampiryzmie jak o cudownej grze, a Mary w żaden sposób nie potrafiła jej przekonać, że jest inaczej.

Rysy twarzy Jill stwardniały.

– Potrafię być bezlitosna – oświadczyła. – Pokażę mu, że potrafię być bezlitosna, a wtedy on zrozumie, że nie musimy czekać. Mogę zostać jego córką od razu.

– Tak, panienko. Chcesz śniadanie?

– Nie bądź głupia – burknęła Jill, co oznaczało „tak”. Przynajmniej pod tym względem dziewczyna już była wampirem. Wiecznie głodna.

– Dziękuję, panienko. – Mary wyszła tak szybko, jak mogła, nie tracąc przy tym gracji.

Jill z zaciętą miną odprowadziła ją wzrokiem. Gdy się upewniła, że pokojówka nie wróci, podeszła do szafy. Gdy jej oczom ukazała się tęczą pastelowych sukien, wybrała najjaśniejszą, z kremowego jedwabiu, który podkreślał złoto jej włosów i kość słoniową skóry. Był to kolor najbardziej zbliżony do bieli sukni ślubnej. Ona mu pokaże, że nie musi czekać.

Pokaże mu, że już zrozumiała, co to znaczy być bezlitosną.

* * *

Tego dnia wypadała rocznica ich przybycia na Wrzosowiska. Kiedy zajdzie słońce, Pan bez wątplenia wyda przyjęcie na jej cześć, coś dekadentckiego i w wielkim stylu. Może nawet zaprosi inne wampiry, żeby piałły z zachwyty nad jego protegowaną, nad tym, ile osiągnęła, jaka jest piękna. Tak, to byłaby cudowna sprawa, a najlepiej, żeby wszystko skończyło się jej wspaniałą śmiercią i jeszcze wspanialszymi powtórnymi narodzinami.

Czekanie nie miało sensu. Nawet gdyby drzwi się otworzyły, ona nie zamierzała przez nie przejść. Nigdy nie opuściłaby swojego ukochanego Pana w taki sposób. Musiała jedynie udowodnić mu, że jest poważna i dostatecznie bezlitosna, by zostać jego dzieckiem, a wtedy wszystko będzie idealne.

Skoro miało się odbyć przyjęcie na jej cześć, cudowne i odpowiednie dla dziecka wampira, ten okropny doktor Bleak też powinien zrobić coś dla Jack. Musiał. Wszyscy wiedzieli, że bycie uczennicą szalonego naukowca nie może się równać ze statusem córki Pana, a to oznaczało, że doktor Bleak nie mógł

przepuścić okazji, żeby mocniej związać ze sobą Jack. Na pewno urządzi przyjęcie.

A jeśli będzie przyjęcie, Alexis się na nim pojawi.

Nienaturalne uczucie Jack dla córki właścicieli gospody nie osłabło z czasem. Jeśli już, to stało się silniejsze. Jill wiele razy widywała je razem. W towarzystwie Alexis Jack się śmiała. Śmiała się, jakby nie stawiała ich obu w złym świetle, włócząc się po Wrzosowiskach w paskudnych kamizelkach i krawatach, zachowywała się, jakby uważała, że miejsce damy jest w brzydkim starym laboratorium szalonego naukowca. To nie było dobre. To nie było właściwe.

Jill mogła wszystko naprawić. Mogła skierować siostrę na właściwą drogę i pokazać Panu, że jest dostatecznie bezlitosna, żeby być jego dzieckiem naprawdę, a nie tylko z nazwy. Wystarczy jeden czyn.

Zmarszczyła nos z odrazą, zanim zdjęła z kołka ciężki brązowy płaszcz i narzuciła go na swoją piękną suknię. Nienawidziła ciemnych, pospolitych kolorów, ale to było konieczne. Wiedziała, jak bardzo się wyróżnia, kiedy nie podejmuje żadnych kroków, żeby się ukryć.

Mary na dole zajmowała się śniadaniem. Jill wymknęła się przez sekretne drzwi na podest – każdy porządny zamek miał sekretne drzwi – i ruszyła po schodach. Pokonywała tę drogę tyle razy, że mogłaby to zrobić z zamkniętymi oczami, więc pozwoliła sobie na rozmyślanie, jak będzie cudownie, kiedy Pan weźmie ją w ramiona i pokaże jej wszystkie tajemnice, które śmierć ma do zaoferowania.

Wkrótce. Tak niedługo.

Wyszła przez małe drzwi w zamkowym murze, odosobnione i ukryte przez załom budowli. Naciągnęła kaptur na głowę i pomaszerowała do wioski, w szczelnie zapiętym płaszczu, nie zwracając na siebie uwagi. Tajemnicze postacie w kapturach były na tyle powszechne na Wrzosowiskach, że nikt nie zaszczycił ich drugim spojrzeniem. Najlepiej nie zaczepiać ludzi, którzy mogli przynieść tajne wiadomości dla Pana albo szukać ofiar dla Utopionych Bogów.

Za dnia wieś wyglądała inaczej. Mniejsza, nędzniejsza, brudniejsza. Jill szła uliczkami, wyobrażając sobie, jak ludzie by się odsuwali, gdyby wiedzieli, kim ona jest. Ta świadomość niemal rekompensowała błoto, które plamiło brzeg jej sukni, zmieniając jego kolor z kremowego na brązowy. Jill brud nie przeszkadzał tak bardzo jak Jack, ale nie był elegancki. Trudno udawać przerażającą postać, kiedy się wygląda, jakby zapomniało się zrobić pranie.

Wieśniacy byli zaskakująco hałaśliwi, kiedy nie pilnowali języków w obecności córki Pana. Śmiali się, krzyczeli do siebie, targowali się, rozmawiali o zbiorach. Jill marszczyła brwi. Ci ludzie wydawali się szczęśliwi. Ale mieli

życie krótkie, brutalne, chronione jedynie łaską Pana. Tarzali się w brudzie, harowali, żeby mieć dach nad głową. Jak mogli być szczęśliwi?

Ten tok myśli mógłby doprowadzić ją do nieprzyjemnych wniosków, gdyby nie został przerwany, i ta historia mogłaby skończyć się inaczej. Pojedyncze objawienie nie zmienia życia. To dopiero początek. Ale niestety drzwi gospody były otwarte. Wyszła przez nie córka właściciela ubrana w coś, co wśród wieśniaków uchodziło za strój na szczególną okazję. Jej suknia była zielona, stanik niebieski, a spódnice tak krótkie, że odsłaniały kostki. Przez ramię miała przewieszony koszyk z chlebem, winem i świeżo zerwanymi jabłkami.

Jej matka wyszła na próg i coś powiedziała. Dziewczyna się roześmiała i nachyliła, żeby pocałować ją w policzek. Potem odwróciła się i skierowała w stronę bramy, idąc takim krokiem, jakby nie miała żadnych trosk.

Jill ruszyła za nią bezszelestnie.

Jill rzadko opuszczała bezpieczny zamek i wieś, gdzie słowo Pana było absolutnym prawem i nikt by się nie ośmielił podnieść na nią ręki. Wrzosowisko za murami też oczywiście do niego należało, ale na otwartym terenie granice terytoriów stawały się niejasne. Ci, którzy chodzili zbyt nieostrożnie, zawsze ryzykowali atak wilkołaka albo to, że zostaną wybrani na ofiarę dla Utopionych Bogów. Dlatego spacer wśród paproci był naznaczony zdrożną lekkomyślnością. Z pewnością udowodni w ten sposób, jak bardzo jest poważna!

Córka karczmarza maszerowała zaskakująco szybko. Jill trzymała się dostatecznie daleko za nią, żeby pozostać niezauważoną.

Alexis dorastała w cieniu zamku, słyszała nocami wycie wilkołaków i dźwięk dzwonów Zatopionego Opactwa. Przetrwiała, ale wiedziała, że jej status wskrzeszonej czyni ją niepociągającą dla wielu potworów, których zawsze się bała. Wiedziała również, że ani gargulce, ani widmowe ogary nie grasują w dzień, a poza tym szła zobaczyć się z kobietą, którą kochała. Była spokojna. Pograżona w marzeniach. Nieostrożna.

Czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. Alexis zeszywniała i odwróciła się, szykując się na najgorsze. Kiedy zobaczyła twarz rysującą się pod kapturem, uśmiechnęła się i powiedziała ciepło:

– Jack. Myślałam, że masz zajęcia przez cały ranek.

Jill zmarszczyła brwi. W tym momencie Alexis się zorientowała, że ta dziewczyna nie nosi okularów, i zrobiła chwiejny krok do tyłu.

– Ty nie jesteś Jack – stwierdziła. – Co tu robisz?

– To, co muszę – odparła Jill.

Rozpięta płaszcz, pozwoliła mu opaść na paprocie, wyciągnęła nóż ze stanika i skoczyła.

Tutaj je zostawimy. Są rzeczy, których nie trzeba widzieć, żeby je zrozumieć; rzeczy, do ogarnięcia których wystarczy jeden ostry krzyk, fontanna krwi barwiąca wrzosa, czerwona jak róże, czerwona jak jabłka, czerwona jak usta jedyne dziecko wampira.

Teraz nic tu po nas.

Az jego grobu wrzosiec...

– Już powinna tu być – stwierdziła Jack, odkładając kość, którą starannie ostrzyła. Pobieгла wzrokiem do otwartych drzwi i wrzosowiska za nimi. Alexis się nie pojawiła. – Mówiłam jej, że będziemy jeść kolację po zapadnięciu mroku.

Alexis dostała pozwolenie, żeby zostać na noc w wiatraku. Mogłoby to być uznane za niestosowne, ale z doktorem Bleakiem jako przyzwoitką nie groziło jej narażenie cnoty na szwank. (Nie żeby rodzice mieli jakieś złudzenia co do jej cnoty albo zamiarów Jack wobec ich córki. Mimo statusu Alexis jako przywróconej do życia oboje czuli ulgę, wiedząc, że znalazła sobie kogoś, kto się o nią się zatroszczy, kiedy ich zabraknie).

Doktor Bleak podniósł wzrok znad blatu kuchennego.

– Może się zatrzymała, żeby nazrywać kwiatów?

– Na wrzosowisku? – Jack wstała i zdjęła kurtkę z oparcia krzesła. – Idę jej poszukać.

– Cierpliwość, Jack...

– To podstawowe narzędzie umysłu naukowca. Nie wskrzeszaj żadnego trupa, póki nie przyjdzie jego czas. Wiem. Ale wiem również, że to niepodobne do Alexis. Ona nigdy się nie spóźnia. – Jack spojrzała na mentora z błagalnym wyrazem twarzy.

Doktor Bleak westchnął.

– Ach, ta energia młodych. Tak, możesz iść i jej poszukać. Ale się pośpiesz. Zabawa się nie rozpocznie, póki nie skończysz swojej pracy.

– Tak, proszę pana.

Jack włożyła rękawiczki, wypadła z domu i popędziła ogrodową ścieżką. Doktor Bleak obserwował ją, aż zniknęła w oddali. Dopiero wtedy zamknął oczy. Mieszkał na Wrzosowiskach od bardzo dawna. Wiedział nawet lepiej od Jack, że spóźnienie rzadko, jeśli w ogóle, jest tak niewinne, jak się wydaje.

– Oby była żywa – wyszeptał i uznał te słowa za bezsensowne, gdy tylko je usłyszał. Siedział bez ruchu i czekał. Prawda wkrótce wyjdzie na jaw.

* * *

To czerwien przyciągnęła uwagę Jack.

Wrzosowiska okazały się dużo bardziej urozmaicone, niż wydawały się tamtej pierwszej nocy, kiedy ona była młoda, niewinna i nieświadoma własnej przyszłości. Dominował na nich brąz z powodu nadmiaru martwej albo umierającej roślinności. Na Wrzosowiskach występował każdy jego odcień. Nie brakowało jednak kolorów: świeżej zieleni, ciepłego złota i tęczy kwiatów – żółtych aksamitek, niebieskich wrzosów i fioletowego tojadu. Szczwół kwitł bielą chmur. Naparstnica mieniła się całym spektrum barw zachodzącego słońca. Wrzosowiska były piękne na swój sposób i jeśli ich uroda należała do rodzaju tych cichych, wymagających czasu i introspekcji, żeby ją dostrzec, cóż, nic w tym złego. Największe piękno bywa dobrze ukryte.

Ale nic czerwonego nie rosło na Wrzosowiskach. Nawet truskawki czy trujące grzyby. Znajdowano je tylko na skrajach lasu należącego do wilkołaków albo w prywatnych ogrodach, takich jak doktora Bleaka. Wrzosowiska stanowiły terytorium neutralne, podzielone między tyle potworów, że nie mogły dopuścić do wykrwawiania. Czerwień była anomalią. Czerwień była następstwem.

Jack przyspieszyła kroku.

Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniejsza stawała się czerwien. Było tak, jakby trysnęła z jednego źródła, przelana z nieokiełznaną rozkoszą przez tego, kto trzymał nóż. Pośrodku niej leżało ciało, miękko zaokrąglone, o bujnych piersiach, kształtnych biodrach. Ciało... ciało...

Jack zatrzymała się w pół kroku, ze wzrokiem utkwionym nie w ciele, tylko w koszu, który upadł na ziemię. Wylądował na boku. Krew zbryzgała część chleba, ale jabłka już były czerwone, więc nie dało się stwierdzić, czy są czyste. W żaden sposób.

Jack powoli osunęła się na kolana wśród paproci, po raz pierwszy nie zważając na możliwość poplamienia się błotem czy trawą. Oczy wyszły jej z orbit, kiedy wbiła spojrzenie w koszyk. Nie patrzyła dalej. Nie patrzyła na rzeczy, których nic chciała zobaczyć.

Czerwień. Tyle czerwieni.

Kiedy zaczęła wyć, było to bezrozumne zawroźwienie kogoś, kto przekroczył granicę wytrzymałości i znalazł ucieczkę w przepastnych grotach własnego umysłu. W wiosce ludzie z drzeniem przygarnęli dzieci do siebie i zamknęli okna. W zamku Pan poruszył się we śnie, zaniepokojony z powodów, których nie potrafił nazwać.

W wiatraku doktor Bleak wstał ze smutkiem na twarzy i sięgnął po torbę. Od tego miejsca sprawy miały się toczyć własną koleją. Było za późno, żeby je

kontrolować albo im zapobiec. Jedyne, co mógł zrobić, to mieć nadzieję, że przeżyją.

* * *

Kiedy doktor Bleak podszedł do Jack, ona nadal klęczała w paprociach. Suche źdźbła trzeszczały pod jego butami, a on nie czynił wysiłków, żeby stłumić odgłos kroków. Chciał, żeby uczennica go usłyszała.

Jack nie zareagowała. Wbijając wzrok w jabłko. Czerwone. Bardzo czerwone.

– Krew powinna robić się ciemniejsza w miarę krzepnięcia – powiedziała Jack stłumionym głosem. – Wtedy będę mogła stwierdzić, które są brudne. A które jeszcze można uratować.

– Przykro mi, Jack – odezwał się cicho doktor Bleak.

Nie podzielał jej przesadnej wrażliwości; zrozumiałej, zważywszy na młody wiek dziewczyny i na to, jak bardzo zależało jej na Alexis. Przesunął wzrokiem po martwym ciele, zauważył głębokie cięcia, utratę krwi, miejsca, które wyglądały, jakby zostały brutalnie odcięte.

Drugie wskrzeszenie zawsze przysparzało trudności, nawet kiedy ciało było w doskonałym stanie. Alexis... Bleak wątpił, czy przy takich obrażeniach by mu się udało albo czy ona pozostałaby sobą, gdyby odniósł sukces. Dwukrotnie zmarli czasami wracali jako złe, niepoohamowane potwory, klęski nauki.

– Zrobię to, jeśli mnie poprosisz – obiecał nagle. – Wiesz, że to zrobię. Ale będę oczekiwał, że mi pomożesz, jeśli coś pójdzie źle.

Jack uniosła głowę i obejrzała się powoli na swojego mentora.

– Nie obchodzi mnie, czy pójdzie źle. Ja po prostu... To nie może się skończyć w ten sposób.

– Zatem podążaj za krwią, Jack. Jeśli bestia zabrała jej serce, chcę je dostać nietknięte. Im więcej ciał będziemy mieli, tym większe są nasze szanse, że ją poskładamy.

To była prawda, ale również wygodne odwrócenie uwagi. Doktor Bleak wiedział dość o ciałach, by zdawać sobie sprawę, że kiedy podniosą Alexis, odsłoni się więcej ran. Tak zawsze było ze zmarłymi. Gdyby mógł oszczędzić Jack tego widoku...

Oszczędzanie Jack nie było jego celem. Jeśli dziewczyna miała przetrwać na Wrzosowiskach, musiała rozumieć świat, do którego trafiła. Ale co innego przygotować ją do przyszłości, a co innego postąpić okrutnie. Bleak spokojnie mógł zrobić to pierwsze. Tego drugiego nigdy. Nie, jeśli miał na to wpływ.

– Tak, proszę pana – powiedziała Jack i wstała chwiejnie.

Ruszyła za kroplami krwi ciągnącymi się przez otwarty teren. Spędziła wiele lat na szukaniu najmniejszych śladów, więc nie miała żadnych kłopotów z podążaniem za krwawym tropem. Była tak skupiona na śledzeniu ich wzrokiem, że nie usłyszała, jak doktor Bleak stęka, podnosząc ciało Alexis i zarzucając je sobie na plecy, a potem kieruje się do odległego wiatraka.

Jack dotarła do wiejskiego muru. Brama stała otworem jak zwykle w środku dnia. Bardziej niezwykły był dźwięk podniesionych głosów dochodzący ze środka.

Gdy weszła przez bramę, hałas przybrał formę okrzyków:

– Bestia!

– Potwór! Potwór!

– Zabić wiedźmę!

Zatrzymała się i ściągnęła brwi, próbując zrozumieć scenę, która ukazała się jej oczom. Połowa wioski stała na placu z gniewnie uniesionymi pięściami. Niektórzy trzymali noże albo widły; jedna przedsiębiorcza dusza znalazła sobie pochodnię. Jack podziwiałaby tę zaradność, gdyby nie postać stojąca pośrodku tłuszczy.

Jill z oszołomieniem na twarzy, w zwiewnej sukni zakrwawionej i klejącej się do ciała, jakby przed chwilą pływała. Jej ręce były czerwone do łokci, dłonie pokryte tak grubą warstwą czerwieni, że wyglądały jak w rękawiczkach.

Pani Chopper przepchnęła się przez ciżbę i wrzasnęła:

– Demon!

Rzuciła jajkiem, a ono trafiło w przód sukni Jill i się roztrzaskało, dodając żółtą plamę do czerwieni.

Oczy Jill się rozszerzyły.

– Nie możecie tego robić – przemówiła zaskakująco dziecinnym głosem. – Jestem córką Pana. Nie możecie mi tego robić. To niedozwolone.

– Jeszcze nie jesteś jego córką, ty głupia dziewczyno! – krzyknął ktoś. To był znajomy głos. Jack i Jill odwróciły się i zobaczyły Mary stojącą na skraju tłumu. –

Mówiłam ci, żebyś była cierpliwa. Mówiłam, że twój czas nadejdzie. Ale ty musiałaś wszystko przyspieszyć, prawda? Powtarzałam mu, że rozpieszczając cię, nie oddaje ci żadnej przysługi.

– Mówiłaś mi, żebym była bezlitosna! – oburzyła się Jill, zaciskając dłonie w pięści. – Mówiłaś, że on chce, żebym była bezlitosna!

– Pan żywi się wioską, ale jednocześnie ją chroni – powiedziała Mary zimno. – Zabiłaś bez jego pozwolenia i bez jego błogosławieństwa, a nie jesteś wampirem, więc nie masz prawa. – Lekko uniosła brodę i przeniosła spojrzenie na watahę. – Pan odwołał ochronę domowników. Róbcie z nią, co chcecie.

Przez tłum przebiegł niski, groźny pomruk. Taki głos mogłaby wydać bestia tuż przed atakiem.

Może Jack uzyskałaby wybaczenie, gdyby odwróciła się plecami do oszołomionej siostry, nadal unurzanej w krwi jej kochanki. Gdyby odeszła. Powstały nadzwyczajne okoliczności i choć Jack była nadzwyczajną dziewczyną, miała tylko siedemnaście lat. Byłoby zrozumiałe, gdyby zachowała urazę, nawet jeśli później mogła tego żałować.

Spojrzała na Jill i przypomniała sobie dwunastolatkę w dzinsach, z krótkimi włosami sterczącymi na tyle głowy, próbującą namówić ją na przygodę. Przypomniała sobie, jak bała się zostawić siostrę, nawet gdyby to oznaczało uratowanie ich obu. Przypomniała sobie babcię Lou, kiedy były małe – takie małe! – a ona mówiła im, żeby się o siebie troszczyły. Nawet jeśli się na siebie gniewają, bo rodzina to coś, czego niczym nie można zastąpić, gdy się ją odrzuci.

Przypomniała sobie, jak kochała siostrę, dawno, dawno temu.

Tłum obserwował Jill, szukając oznak, że ona szykuje się do ucieczki. Nie spodziewali się, że Jack przedrze się na środek kręgu, chwyci Jill za rękę i pobiegnie. Zaskoczenie wystarczyło, żeby dwie dziewczyny dotarły na skraj zgromadzenia. Jack ciągnęła siostrę za sobą, uważając, żeby jej zakrwawiona dłoń nie wysliznęła się z uścisku. Jill zachowywała się dziwnie potulnie, nie stawiała oporu. Zupełnie jakby była w szoku.

Dokonać morderstwa i zostać wydziedziczoną tego samego dnia wystarczy, pomyślała Jack i biegła dalej, gdy za nimi rozbrzmiały pierwsze odgłosy pogoni. Teraz liczyło się tylko to, żeby uciec. Wszystko inne mogło stać się później.

Wszystko, czego nigdy nie chcieliście

Spójrzcie na nie teraz, dwie dziewczyny – prawie kobiety, ale jeszcze nie całkiem, nie całkiem – biegnące ręka w rękę przez rozległe, groźne wrzosowisko. Jedna nosi spódnicę, która płacze się, zahacza o paprocie, rozdziera. Druga ma na sobie dżinsy, mocne buty i rękawiczki dla ochrony przed światem. Obie biegną, jakby od tego zależało ich życie.

Za nimi rzeka gniewu rozdzielona na poszczególne ludzkie ciała pędzi z niepowstrzymaną furią tłuszczy. Znalaziono i zapalono więcej pochodni, zgarnięto więcej wideł. W miejscu takim jak to, pod niebem takim jak to, pochodnie i widły są tradycyjnymi narzędziami rozwścieczonych. Pojawiają się nieproszone, a im więcej ich jest, tym większe niebezpieczeństwo.

Tłum iskrzy się jak rozgwieżdżone niebo od indywidualnych płomieni gniewu. Zagrożenie jest bardzo realne.

Jack biegnie, Jill podąża za nią. Obie szlochają, jedna za ukochaną, która rozkwitła czerwienią jak róża na pustym wrzosowisku, druga za adopcyjnym ojcem, który powinien być z niej dumny, a zamiast tego ją odrzucił. Jeśli bardziej współczujemy tej pierwszej, cóż, jesteśmy tylko ludźmi; możemy patrzeć na tę scenę tylko ludzkimi oczami i sądzić na swój własny sposób.

One biegną, tłum je ściga, wschodzący księżyc obserwuje, bo ta opowieść prawie się kończy.

* * *

Doktor Bleak nakrył Alexis brezentem i wtedy usłyszał kroki na ogrodowej ścieżce. Odwrócił się, spodziewając się ujrzeć Jack, i znieruchomiał, kiedy zobaczył nie tylko swoją uczennicę, ale również jej zakrwawioną siostrę. Za nimi nadciągał wściekły tłum, oświetlony blaskiem własnych pochodni.

– Jack – odezwał się Bleak. – Co...?

– Pan odwołał swoją ochronę, kiedy wieśniacy zobaczyli, co ona zrobiła Alexis – wyjaśniła Jack, ciągnąc Jill do wiatraka. Jej głos był czysty i zimny. Gdyby Bleak nie znał jej tak dobrze, mógłby nawet się nie zorientować, jak bardzo dziewczyna drży. – Oni ją zabijają.

Jill wyszarpnęła rękę z dłoni siostry, w czym pomogła jej śliskość krwi, i krzyknęła:

– To nieprawda! On mnie kocha! – Odwróciła się do ucieczki.

Doktor Bleak znalazł się przy niej w jednej chwili, z białą szmatką w ręce. Zakrył nią usta i nos i mocno przytrzymał. Jill wydała z siebie rozpaczliwe miauknięcie i przez chwilę się szarpała. Potem kolana się pod nią ugięły, a ona upadła bezwładnie na ziemię.

– Jack, szybko! – powiedział doktor Bleak, zatrzasnąwszy drzwi. – Nie ma dużo czasu.

Posłuszeństwo było pierwszą rzeczą, którą wpoił jej mentor; nieposłuszeństwo powodowało przykre konsekwencje, z których wiele mogło okazać się fatalnymi dla dziecka. Jack podbiegła do nieprzytomnej siostry i chwyciła ją w ramiona. Były tego samego wzrostu, ale wydawało się, że Jill nic nie waży, jakby składała się z samego prochu i puchu.

– Musimy ją ukryć – stwierdziła Jack.

– Ukrycie nie wystarczy. – Doktor Bleak chwycił małą maszynę ze stołu roboczego i ruszył do tylnych drzwi wiatraka. – Byłaś doskonałą uczennicą, Jack. Szybka, bystra.... O lepszą nie mógłbym prosić. Przykro mi, że to wszystko się wydarzyło.

– Co ma pan na myśli? – Jack ścisnął się żołądek.

Trzymała na rękach śpiącą siostrę, umazaną krwią jej martwej dziewczyny, a pół wioski maszerowała na wiatrak z pochodniami i widłami. Jeszcze przed chwilą powiedziałyby, że ta noc już nie może być gorsza. Teraz nabrała straszliwej pewności, że jednak może.

Widziałam już ten film, pomyślała, niemal bezsensownie. Ale to nie my stworzyliśmy potwora. Pan to zrobił. My tylko ją kochaliśmy.

Tyle że nie do końca to była prawda. Na początku doktor Bleak uratowałby Jill zamiast jej bliźniaczki, bo uznał Jack za bardziej logiczny wybór dla pana wampirów. To nie oznaczało, że ją zna albo że mu na niej zależało. Czas to alchemia, która zmienia współczucie w miłość, a Jill i doktor Bleak nigdy nie mieli na to czasu. Jeśli ktoś w tym pokoju kochał Jill, to Jack, a najgorsze, że nie miałyby nawet tego, gdyby nie Alexis. Rodzice nigdy nie nauczyli ich kochać się nawzajem. Więź, która między nimi istniała, powstała wbrew dorosłym, a nie dzięki nim.

Jill pobiegła do Pana i choć mogła być tą, która czuła się opuszczona, była również tą, która nigdy się nie oglądała. Chciała zostać dzieckiem wampira, a wampiry nie kochają tego, czym są zmuszone się dzielić. Jack poszła z doktorem Bleakiem, a on się o nią troszczył i ją uczył, ale nigdy nie zachęcił jej do miłości.

To była zasługa Alexis. Alexis, która chodziła z nią po wsi, przedstawiała ją ludziom, którzy wcześniej byli dla jej ukochanej tylko twarzami widzianymi przelotnie, opowiadała jej o ich życiu, aż stali się dla Jack prawdziwymi ludźmi. Alexis, która płakała i śmiała się razem z nią, współczuła jej z powodu siostry, uwięzionej i samotnej w zamku. To ona ukazała Jill z powrotem jako ludzką istotę, a widok siostry przerażonej i porzuconej uświadomił Jack, że nadal ją kocha.

Bez Alexis mogłaby zapomnieć, jak się kocha. Jill nadal by zabijała – tego czy innego wieśniaka, zbyt powolnego, żeby przed nią umknął – ale Jack by jej nie uratował.

– Mam na myśli, że ją zabiją, jeśli ją tutaj znajdą, ale ciebie też mogą zabić. Dałabyś im rzadką drugą szansę na popełnienie tego samego morderstwa. – Bleak przyłożył urządzenie do drzwi i wbił jego zaostroszony koniec w drewno, po czym zaczął obracać tarczami. – Pan musiał ją odtrącić, żeby wieśniacy nie pomaszerowali na zamek, bo nawet wampiry boją się ognia, ale nie wybaczy im zabicia córki. Spali wioskę doszczętnie. Już wcześniej się to zdarzało. Dobrze zrobiłaś, że przyprowadziłaś ją tutaj. Jedyne sposoby, żeby ich uratować, to uratować ją.

– Co to ma wspólnego z...

– Drzwi są największą naukową tajemnicą, jaką ma do zaoferowania nasz świat – powiedział doktor Bleak. Chwycił słój ze schwytaną błyskawicą i rozbił go o framugę. W powietrze poleciały iskry. Urządzenie nagle ożyło, tarcze zaczęły się obracać jak szalone. – Naprawdę myślałaś, że nie znalazłbym sposobu, żeby je okiełznać?

Oczy Jack się rozszerzyły.

– Mogłyśmy wrócić w każdej chwili? – zapytała głosem, który bardziej przypominał pisk.

– Mogłyście wrócić – potwierdził Bleak. – Ale nie do domu.

Jack spojrzęła na zakrwawioną siostrę i westchnęła.

– Nie. Nie wróciłybyśmy do domu.

– Trzymaj się z dala od tego miejsca co najmniej przez rok. Musisz, Jack. Tutaj trzeba roku, żeby tłum się rozproszył. Urazy nie sprzyjają przetrwaniu. –

Teraz już mogli usłyszeć krzyki na zewnątrz. Następne miały pojawić się płomienie. – Krew otworzy drzwi, twoja albo jej, póki będzie na waszych rękach. Zostaw ją albo zabij i zabierz jej ciało, ale ona nie może się tu pojawić. Rozumiesz? Nie sprowadzaj siostry z powrotem, póki żyje.

Oczy Jack rozszerzyły się jeszcze bardziej, aż rozboleły ją okalające je mięśnie.

– Naprawdę pan mnie odsyła? Ale ja nie zrobiłam nic złego!

– Nie pozwoliłaś tłumowi jej zabić. Tutaj to jest aż nadto. Idź, zostań tam i wróć do domu, jeśli nadal będziesz tego chciała. To zawsze będzie twój dom. – Bleak spojrzał na nią ze smutkiem. – Będę za tobą tęsknił, uczennico.

– Tak, proszę pana – wyszeptała Jack, a jej dolna warga drżała z wysiłku, jakim było powstrzymanie się od łez. To nie w porządku. To niesprawiedliwe. To Jill złamała zasady, a teraz Jack miała wszystko stracić.

Doktor Bleak otworzył drzwi. Zamiast ogrodu na tyłach ukazały się kręte schody prowadzące w górę, w ciemność.

Jack wzięła głęboki wdech.

– Wrócę – obiecała.

– Postaraj się – odparł doktor Bleak.

Ona przeszła przez drzwi. On zamknął je za nią.

Tysiąc mil trudności między tym miejscem a domem

Schodzenie po schodach w wieku dwunastu lat było męczące, ale wykonalne: kilka godzin trudu, popołudnie zabawy.

Wdrapywanie się po schodach w wieku siedemnastu lat z bezwładną, śpiącą siostrą na rękach okazało się dużo trudniejsze. Jack gramoliła się w górę metodycznie, skupiając się na powtarzalnych, pozornie bezsensownych zajęciach, które przez lata wyznaczał jej doktor Bleak. Całymi dniami sortowała żabi skrzek według zmian koloru, minuta po minucie, usuwała wszystkie nasiona z leśnych truskawek albo ostrzyła wszystkie kolce w jeżynowym żywopłocie. Każda z tych prac doprowadzała ją do wściekłości, ale lepiej przygotowała do obecnego zadania. A ono do czego lepiej ją przygotowuje?

Do zdradzenia dziewczyny, która ją kochała, która zginęła na Wrzosowiskach, która mogła pozostać martwa, teraz, kiedy doktor Bleak nie miał uczennicy do pomocy.

Do niesienia siostry, przez którą straciła wszystko, i ratowania jej przed losem, na który zasłużyła.

Do zrezygnowania z tego, czego w końcu nauczyła się pragnąć.

Do żadnej z tych rzeczy nie chciała być przystosowana, ale one i tak były odpowiedzią. Jack pokręciła głową, żeby osuszyć łzy, i wspinała się dalej.

Schody nadal była stare, nadal solidne, nadal zakurzone. Wydawało się jej, że tu i ówdzie widzi duchy swoich dziecięcych śladów biegnące w dół, podczas gdy ona szła w górę. To miało sens. Na Wrzosowiskach nie było znajd, odkąd trafiły tam ona i Jill. Może teraz pojawią się jakieś nowe, skoro ich miejsce już nie jest zajęte. Przy każdym oddechu musiała wciągać miliony cząsteczek kurzu. Ta myśl przyprawiała ją o mdłości.

Były w połowie drogi, kiedy Jill się poruszyła, otworzyła oczy i ze zdumieniem spojrzała na siostrę.

– Jack? – wykrztusiła.

– Możesz chodzić? – spytała opryskliwie Jack.

– Ja... Gdzie jesteśmy?

– Na schodach. – Jack się zatrzymała i bezceremonialnie ją upuściła, tak że siostra wylądowała na tyłku. – Skoro możesz zadawać pytania, możesz chodzić. Mam dość dźwigania ciebie.

Jill mruganiem odpędziła łzy. Oczy miała szeroko otwarte. Oszołomione.

– Pan...

– Nie ma go tutaj. Jesteśmy na schodach. Pamiętasz schody? – Jack zatoczyła ręką koło. – Wrzosowiska nas wykopały. Wracamy.

– Nie! Nie! – Jill zerwała się na równe nogi i próbowała pobiec w dół.

Jack była szybsza. Otoczyła ją ramieniem w pasie i pchnęła do góry.

– Tak! – wrzasnęła.

Jill mocno uderzyła w coś głową. Zdezorientowana pomasaowała stłuczenie i obróciła się, macając powietrze nad sobą. To coś uniosło się w górę jak kłapa – jak wieko kufra – a one zobaczyły mały, zakurzony pokój, który nadal pachniał, choć słabo, perfumami Gemmy Lou.

– Schody pode mną zniknęły – stwierdziła Jack głosem przytłumionym i wcale nie zdziwionym. – Lepiej wyjdź, zanim nas wypchną.

Jill wyszła. Jack podążyła za nią.

Obie stały przez dłuższą chwilę, nieświadomie zbliżając się do siebie i patrząc na pokój, który należał do ich pierwszej opiekunki, kiedyś taki znajomy, zanim obie się zmieniły. Kufer się zatrzasnął. Jill krzyknęła, rzuciła się w jego stronę i otworzyła go szarpnięciem. Jack patrzyła na nią niemal obojętnie.

W środku znajdował się kłęb starych ubrań i biżuterii do przebieranek, rzeczy, jakie kochająca babcia odkłada dla wnuków do zabawy. Żadnych schodów, żadnych ukrytych drzwi.

Jill zanurzyła zakrwawione ręce w ubraniach, odgarnęła je na bok. Jack jej na to pozwoliła.

– One muszą tu być! – zawodziła Jill. – Muszą!

Schodów nie było.

Gdy Jill w końcu przestała grzebać w kufrze, zwiesiła głowę i się rozplakała, Jack położyła dłoń na jej ramieniu. Siostra podniosła na nią wzrok, drżąc i załamana. Nigdy nie nauczyła się sztuki samodzielnego myślenia.

Ja dokonałam właściwego wyboru i tak mi przykro, że cię zostawiłam, pomyślała Jack.

– Chodź – rzuciła.

Jill się nie ruszyła. Kiedy Jack wzięła ją za rękę, siostra nie stawiała oporu.

Drzwi poddasza były zamknięte. Klucz, który Jack nosiła w kieszeni – klucz, który nosiła przez pięć długich lat – pasował idealnie. Obrócił się w zamku

i drzwi się otworzyły, a one znalazły się, w najściślejszym i bardzo akademickim sensie, w domu.

Dom, w którym mieszkały przez pierwsze dwanaście lat życia (w którym dorastały; nie, one się tam starzały zamiast dojrzewać), był znajomy i jednocześnie obcy, jakby trafiły do książki z bajkami. Dywan wydawał się zbyt miękki pod stopami przyzwyczajonymi do kamiennych zamkowych posadzek i ubitej ziemi. Powietrze pachniało mdlącą słodyczą zamiast świeżymi kwiatami albo środkami chemicznymi. Zanim dotarły na parter, szły tak blisko siebie, że nie miało znaczenia, czy ich dłonie się stykają. One nadal były ze sobą połączone.

W jadalni paliło się światło. Siostry podążyły za nim i znalazły rodziców siedzących przy stole razem z małym, nienagannie ubranym chłopcem. Jack i Jill zatrzymały się w progu, patrząc z otumanieniem na ten mały rodzinny krąg.

Serena dostrzegła je pierwsza. Zrywając się z krzesła, wrzasnęła:

– Chester!

Jej mąż się odwrócił, już otwierając usta, żeby ryknąć na intruzów. Ale jedna z dziewczyn była umazana krwią, a obie wyglądały, jakby płakały. I coś w nich...

– Jacqueline? – wyszeptał Chester. – Jillian?

Bliźniaczki przywarły do siebie i zapłakały, a na zewnątrz spadł deszcz, niczym kara, i już nigdy nic nie miało być takie samo.